

SENS ZAMIAST SENSACJI | Gra granicą ■ W Starej Wsi można było więcej
Typowy biskup ■ Komiks na telefon ■ Czy muzyka zbawia świat ■ Era Supermana

Kraków 9 – 15 lipca 2025 nr 28 (3966)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Jak rozmawiać o Izraelu bez cenzury



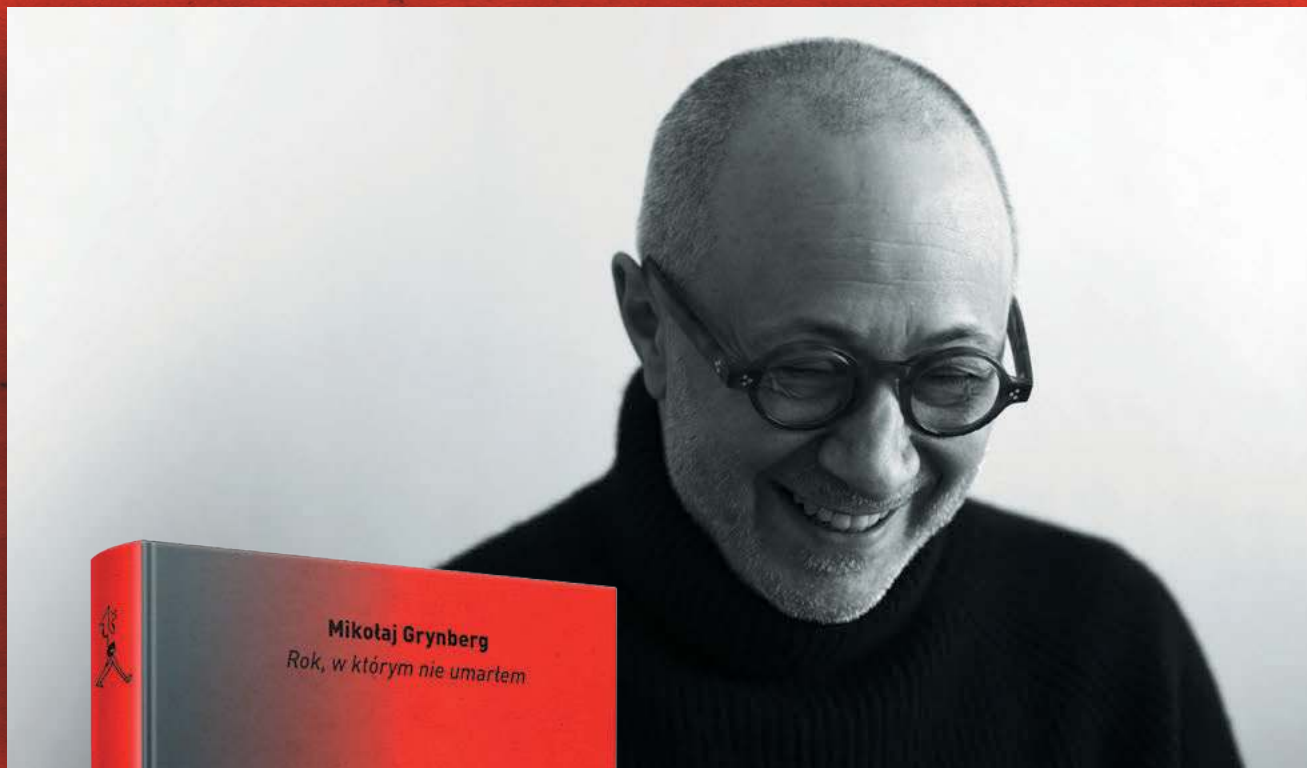
ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



eprasa.pl 344dc81528

Zapiski z niespodziewanego końca i powrotu

FOT. MIKOŁAJ STARZYŃSKI



Polska literatura ma szczęście do zawałów. Po Białoszewskim do szpitala trafił Mikołaj Grynberg. W swoją przejmującą opowieść włożył całe serce; świetnie dało sobie radę.

Marek Bieńczyk

Mikołaj napisał książkę o życiu. Bo jak się pisze o umieraniu, to jednak jest o życiu. Bardzo dużo miłości do życia jest w tej książce i sporo strachu przed śmiercią. Jest nawet o matematycznym wzorze na czas, poruszająca książka, trochę smutna, nawet gdy zabawna. Trzeba przeczytać.

Andrzej Leder

KS. ADAM

Boniecki: Państwo Izraela

HISTORIA PAŃSTWA IZRAEL JEST USŁANA WOJNAMI, A JEDNO-
cześnie jest w niej zapisana tęsknota za własną ojczyzną,
bohaterstwo i okrucieństwo zarazem, przekonanie o niepew-
ności powstałego tak niedawno państwa przy jednoczesnym
poczuciu, że nie może w przyszłości go nie być. I przy jedno-
czesnym sprzeciwie niektórych państw arabskich, które nie
mogą znieść jego obecności. Nawet w zarysie historia Żydów
powracających po blisko dwóch dziesiątkach stuleci nieobec-
ności do Ziemi Świętej jest niesłychanym ciągiem wojen,
a jednocześnie konstruowania silnego państwa. Groźba ze-
pchnięcia Izraela z powierzchni ziemi do morza wydaje się już
historyczna, dziś nierealizowalna.

Dla wielu z nas, zwłaszcza dla tych, którzy tam nie byli, Izrael
to po prostu Ziemia Święta. Dobrzy chrześcijanie jadą
tam, pielgrzymują i często nawet nie bardzo wiedzą,
czym jest ten kraj. Dla pobożnych chrześcijańskich
pielgrzymów to zawsze i po prostu jest kraj proro-
ków i Jezusa. A jednak osobliwość tego państwa nie
przestaje zdumiewać. Zdumiewa życie przy wiszącej
nad nim od początku groźbie nieistnienia. Zdu-
miewa współistnienie ortodoksyjnych Żydów
i Żydów całkowicie nowoczesnych. To do-
strzeże każdy turysta czy pielgrzym, spoty-
kając masy ubranych na czarno uczniów
szkół rabinackich i, na tych samych uli-
cach, zlaicyzowanych Żydów, ale równo-
cześnie zachowujących tradycje wręcz
biblijne. Bo wiele rodzin przez zachowy-
wanie niektórych praktyk wyraża przy-
należność do żydowskiej wspólnoty.
Czy ludzie z różnych zakątków świata,
z różnych tradycji kulturowych, mogą
stworzyć jednolity organizm narodowy?
Chcą i mogą, bo tu przyjechali, osiedlili
się, żyją, cieszą się, że mają swój kraj.

Tak było jeszcze niedawno. Teraz – jak sły-
szę – wielu wyjechało.

O swoją egzystencję i o bezpieczeństwo Ży-
dów w Palestynie Izrael walczy od początku.

O czym mówi się i pisze, przyznajmy to – nie zawsze obiektyw-
nie. Zasadnicze jest pytanie o skuteczne sposoby obrony, czyli
odpowiedź na ataki. Czy skuteczną obroną jest ta uprzedza-
jąca atak, a czasem – to też trzeba widzieć – znacznie bardziej
niszcząca niż sam atak. Nie piszę tu tylko o tym, co dziś spo-
tyka palestyńskich mieszkańców w Gazie, o odcięciu ich od
dostaw żywności, masowych bombardowaniach i ostrzałach
siejących śmierć cywilom. Mam też na myśli obsadzanie swo-
imi osadnikami obszarów nieprawnie zajmowanych, robienie
wszystkiego, co tylko możliwe, by ludzi, którzy mieszkają na
tych terenach od pokoleń, zniechęcić do pozostawiania tam,
zmusić do ucieczki.

Pytanie jest być może czystą teorią, lecz może nie jest: czy
gdyby dziś zmieniono nieco stosunek do arabskiej ludności
żyjącej na terenie Państwa Izrael i w jego sąsiedztwie, czy
gdyby zaprzestano nieustannych szykan, czy gdyby usza-
nowano ludzkie prawa Palestyńczyków, to wrogość wo-
bec Żydów pozostawałaby niezmieniona, czy jednak by
zmaląła? Czy gdyby ustalono i respektowano granice,
oddzielając Izrael od innych państw, potrzebne by-
łyby mury i zasieki? Czy gdyby Izrael zamiast
siły okazał szacunek, a może i miłość ludziom,
na których teren wszedł, nie doznałby od tych,
którzy teraz nade wszystko lękają się o swój
los, ludzkiej wzajemności? Nie jestem na-
iwny i wiem, że nie wszyscy byliby zachwy-
ceni. Ale wiem też, że dobrych relacji są-
siedzkich nigdy się nie wymusi.

Teraz, kiedy giną ludzie i trwa wojna, to, co
napisałem, brzmi jak bajka dla grzecznych
dzieci. Trudno, przynajmniej mogłem wy-
razić swoje przekonanie, że pokoju ani
między państwami, ani między ludźmi nie
będzie bez dobrej woli i bez wiary, że jed-
nak zawsze jest on możliwy, jeśli stworzy
się sprzyjające mu warunki. ©®

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz
i duszpasterz, jest redaktorem
seniorem.

GRAŻYNA MAKARA

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

ZIEMOWIT SZCZEREK

Dlaczego Polak nie śpiewa?

O tym, czy i jak śpiewamy, kiedy już
to robimy, i czym jest dla nas tradycja
przekazu zawartego w pieśniach.

MARTA I ANDRZEJ GOWORSKY

Przeglądanie śmieciowego contentu
w sieci nie jest obojętne dla ludzkiego
mózgu. A zwłaszcza dla zdolności
poznawczych młodych.

FILIP RUDNIK

Chiny kolonizują Rosję. Postępujące
uzależnienie gospodarcze Moskwy
od bogatszego sąsiada wpływa także
na relacje polityczne obu krajów.

Kiedy w 2007 r. podczas reporterskiej podróży po zachodniej granicy zatrzymaliśmy się z Michałem Olszewskim w Görlitz, sądziłem, że ostatni raz w życiu pokazuję niemieckim pogranicznikom paszport. Wśród strażników panowało już rozluźnienie, w grudniu Polska miała wstąpić do **STREFY SCHENGEN**. Zaczynał się czas otwartej Europy. 16 października 2023 r. wyrywkowe **KONTROLE NA GRANICY** przywróciły Niemcy – w odpowiedzi na nielegalną migrację organizowaną przez Rosję i Białoruś. 7 lipca 2025 r. przywraca je Polska – w odpowiedzi na działania Niemców przerzucających do Polski niechcianych u siebie cudzoziemców oraz na presję rodzimej prawicy. Pisze o tym **MAREK RABIJ** w artykule „Strachy w Schengen”.

Dla polityków prawicy to złota okazja, mogą znów mieszać i serwować koktajl ulubionych lęków: muzułmańscy migranci, Niemcy, Tusk uległy wobec Berlina i Brukseli oraz Unia. Nie trzeba się wysilać, wystarczy powtarzać przekazy, podawać dalej filmiki, mniejsza o to, czy prawdziwe, i czekać, aż promujące emocjonalne treści algorytmy społecznościowe zrobią swoje. Wtedy prawda przestaje mieć znaczenie. Choć, jak pisze Rabij, **„KRYZYSU MIGRACYJNEGO”** na zachodzie Polski po prostu nie ma, to narracja działa w najlepszą. PiS i Konfederacja ścigają się o względy sympatyków Ruchu Obrony Granic zwołanego przez **ROBERTA BĄKIEWICZĄ** (który, przypomnijmy, uznał demokrację za jeden z najgłupszych systemów, jakie stworzył człowiek, a Janusza Walusia – za bohatera), do głosu dochodzi nawet przaśny rasizm – bo jak inaczej nazwać zgłoszony przez PiS pomysł ustawy zakazującej wjazdu do Polski osobom z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu? Ale decyzję rządu **DONALDA TUSKA** o przywróceniu kontroli na granicy też tłumaczy logika tej narracji. W ostatecznym rozrachunku Europa znów się zamyka – w granicach i w lęku.

Na szczęście to nie jedyna narracja w Europie. **ANTONINA PALARCZYK** pisze w dziale **WIARA** o tym, jak słynny ośrodek duchowości we francuskim **TAIZÉ POMAGA IMIGRANTOM**. To opowieść o konkretnym działaniu w odpowiedzi na problem, bez demonizowania go, ale też bagatelizowania. Gdy politycy straszą, że migracja zagraża chrześcijańskiej tożsamości Europy, Taizé przypomina, że centralną wartością tej tożsamości jest otwartość. ©P

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Zastępca redaktora naczelnego, twórca podcastu „TP”, współautor powieści kryminalnych i wywiadu-rzeki „Ścigając zło”, autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni”. W „Tygodniku” od 2001 r.



22 Stara Wieś, stary temat ROZMOWA Z MAJĄ KUŹMICH, KIEROWNICZKĄ „NIEBIESKIEJ LINII”:

W wielu krajach Europy osoby z doświadczeniem przemocy domowej mówią o tym, jak ważna była dla nich reakcja sąsiada czy pracownika społecznego.



24 Psy wojny EWA ZGRABCZYŃSKA

Natalia znalazła ją w zgłiszczach spalonego ukraińskiego domu. Głodną, wynędzniałą i przerażoną wybuchami bomb. W Poznaniu potężna suka stała się Ireną, matką zastępczą dla małych szpów.



66 Czytaj, czyli scrolluj REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Komiksy zyskały nowe życie. Ale rewolucja technologiczna wpłynęła w równym stopniu na proces twórczy, dystrybucję treści i kształt czytelnictwa. Tylko na platformach Naver o uwagę czytelników walczy ponad dwadzieścia cztery miliony twórców.

OBRAZ TYGODNIA

6 Rząd na krawędzi
MAREK KĘSKRAWIEC

7–11 Komentarze i informacje

KRAJ

18 Strachy w Schengen

MAREK RABIJ

Pierwszą fazę sporu o migrantów na polsko-niemieckiej granicy gabinet Donalda Tuska przegrał i z Niemcami, i z opozycją w kraju

22 Stara Wieś, stary temat
ROZMOWA Z MAJĄ KUŹMIECZ

25 Psy wojny
EWA ZGRABCZYŃSKA

ŚWIAT

30 Karpacki tygrys z zadyszka

KAMIL CAŁUS:

Czas dobrobytu dla Rumunów się kończy, zyskują narodowcy. Co z tego wyniknie?

34 Ziemie zabliźnione

JULIUSZ PIELICHOWSKI:

30 lat po wojnie. Reportaż z bośniacko-serbskiego pogranicza

37 Dilek znaczy życzenie

MARCELINA SZUMER-BRYSZ:

Nielegalne śluby nieletnich wciąż są w Turcji społecznym problemem

WIARA

42 Episkopat bez właściwości

ARTUR SPORNIAK:

Biskupi niebezpiecznie zmieniają kierunek Kościoła w Polsce

46 Bóg wierzy w człowieka

ROZMOWA Z PROF. MARCINEM

REBESEM, TEOLOGIEM

I KATECHETĄ:

Nie mogą być restrykcyjne, bo to by mogło spowodować zablokowanie się na religię

TEMAT TYGODNIKA

12 Jacyś ludzie

MICHAŁ OKOŃSKI

Czy Izrael popełnia ludobójstwo w Gazie? Czy postawienie takiego pytania czyni mnie antysemitą? A może istnieją pytania ważniejsze?



STRONY SPECJALNE

60 FESTIWAL SZYMANOWSKIEGO

FELIETONY

11 BARTOSZ MINKIEWICZ

29 OLGA DRENDĄ **40** ELIZA KĄCKA

50 ZUZANNA RADZIK

76 PAWEŁ BRAVO **82** TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
MAREK ZALEJSKI / ADOBE STOCK

48 Uczynki miłosierdzia

ANTONINA PALARCZYK:

Jak Taizé pomaga uchodźcom

51 Czytania

O. WACŁAW OSZAJCA

KARD. GRZEGORZ RYŚ

HISTORIA

52 Ikony carskiej armii

ALEKSANDER R. MICHALAK:

Jak Cerkiew święciła żołnierzy idących na wojnę z Japonią

NAUKA

56 Prognoza pod prąd

ROZMOWA Z RENÉ VAN

WESTENEM, KLIMATOLOGIEM:

Co by się stało, gdyby wskutek zmian klimatycznych załamał się atlantycki system prądów morskich? Ryzyko rośnie

KULTURA

62 Czy muzyka może zmienić świat?

FILIP ŁOBODZIŃSKI:

40 lat po Live Aid, pytamy, czy pomoc dotarła tam, dokąd miała dotrzeć

66 Czytaj, czyli scrolluj

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

70 Tropami lisów

PIOTR KOSIEWSKI:

Berlińskie Biennale: czy artyści są zdolni do odnalezienia się w tej nowej rzeczywistości?

73 Polecamy

74 Nauczanie początkowe

ANITA PIOTROWSKA

o filmie „Dzieci z Favoriten” Ruth Beckermann

75 Wakacje

LEKTOR o książce Dentona Welcha „Młodości, w tobie uciech siła”

ZMYŚŁY

78 On w nas wierzy

MICHAŁ WALKIEWICZ:

Przez całe dekady Superman uczył wiary w ludzkość. Bez względu na modę, pozostawał moralnym punktem odniesienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE

39



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY x /TYGODNIK i /TYGODNIK YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY t /TYGODNIKPOWSZECHNY



RZĄD NA KRAWĘDZI

Tajna debata Szymona Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim to kolejny cios w tracący gwałtownie poparcie gabinet Donalda Tuska. Może oznaczać koniec obecnej koalicji.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:

Donald Tusk i Szymon Hołownia podczas 36. posiedzenia Sejmu. Warszawa, 11 czerwca 2025 r.

TEMATEM LIPCA MIAŁA BYĆ REKONSTRUKCJA rządu, który premier postanowił odchudzić o 20 proc., a jednocześnie wzmocnić w nim resorty skupione na gospodarce i energetyce. Nie udało się. Ofensywę wizerunkową Tuska przykryła sytuacja na granicy z Niemcami oraz silne spory wewnątrz koalicji. Dziś nikt już w zasadzie nie rozmawia o planach obozu władzy, dyskusja skupia się na tym, czy w ogóle dotrwa on do zimy, a jeśli nawet dociągnie do wyborów w 2027 roku – to jak wielka grozi mu wtedy klęska.

TUSK ZGUBIŁ społeczne poparcie i śmiem wątpić, czy je odzyska. Cyklicznie ogłaszane kolejne otwarcia i przyspieszenia okazują się pustymi sloganami (czy ktoś jeszcze pamięta obietnicę stu ustaw deregulacyjnych na koniec maja?), a główna energia idzie w poboczne tematy, ekscytujące co najwyżej najtwardszy elektorat KO. Tak było też

w czerwcu, który upłynął w cieniu akcji Romana Giertycha, mającej przekonać społeczeństwo, iż skala nieprawidłowości w wyborach uniemożliwia zaprzysiężenie Karola Nawrockiego na prezydenta. Efekty widać w najnowszym sondażu CBOS: przeciwników rządu jest już 47 proc., a zwolenników ledwie 32 proc. Jeszcze gorzej to wygląda w przypadku samego premiera – jego odejścia pragnie aż 58 proc. badanych. To wynik gorszy od notowań Mateusza Morawieckiego w dniach wyborczej porażki PiS jesienią 2023 roku.

Nic dziwnego, że obóz władzy zaczyna się sypać. Najpierw rozpadła się Trzecia Droga, w której Polskę 2050 łączyła z PSL głównie wiara wyborców, że sojusz ten stanowi osobną jakość w polityce. Gdy tej wiary zabrakło i notowania TD spadły poniżej progu wyborczego dla koalicji, rozwód był tylko kwestią czasu. On jednak zmienił niewiele w sytuacji obu ugrupowań;

samodzielnie też mają dziś wielkie szanse na wejście do Sejmu. Pewności tej nie ma również lewica, której wyborców odbiera opozycyjna Partia Razem i – biorąc pod uwagę różnice w charyzmie między Adrianem Zandbergiem a Włodzimierzem Czarzastym – kierunek ten będzie się raczej utrzymywał.

EROZJA OBOZU władzy została dostrzeżona na prawicy. Karol Nawrocki otwarcie głosi, że liczy na dobrą współpracę z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, ale trzeba przyznać, iż ten ostatni nie daje dowodów nielojalności wobec Tuska. Co innego Szymon Hołownia, który został przyłapany na nocnej wizycie w mieszkaniu posła PiS Adama Bielana, jednego z bohaterów kampanii wyborczej w 2023 r. To przecież jego ludzie mieli wyprowadzić setki milionów z NCBiR. Hołownia co prawda bagatelizuje sprawę, twierdząc, że jako marszałek Sejmu musi się spotykać również z przedstawicielami opozycji, ale fakt, że do takich rozmów dochodzi nocą, w elektoracie koalicji 15 października budzi duży niesmak. Zwłaszcza jeśli w tym samym miejscu jest obecny senator PSL Michał Kamiński (dawny spin doktor PiS), znany z wyrażonego wprost postulatu zmiany szefa rządu – ledwie dwa dni po przegranej Rafała Trzaskowskiego.

„Wzmoczenie i ekscytacja związana z moim wczorajszym spotkaniem nie jest ani uzasadniona, ani wskazana” – napisał w piątek Hołownia, ale niewielu uspokoił. Tym bardziej że, jak się później okazało, w nocnym spotkaniu brał też udział Jarosław Kaczyński (publicznie to potwierdził). Fakt, że marszałek Sejmu dopiero w poniedziałek przyznał, iż debatował z głównym wrogiem koalicji, bardzo źle o nim świadczy.

TRUDNO OCENIĆ, w co naprawdę gra Hołownia. Biorąc pod uwagę poglądy jego posłów oraz elektoratu, pójście na układ z Kaczyńskim byłoby zdradą, która pograży projekt Polski 2050. Być może więc postępowanie marszałka jest formą

nacisku na Tuska; bez ludzi Hołowni nie ma większości w Sejmie. Kłopot w tym, iż nie wiadomo, na ile politycy Polski 2050 okażą się wierni swojemu szefowi. Jeśli nie będzie potrafił im wyjaśnić swej dziwnej strategii, równie dobrze może stracić swych posłów na rzecz KO.

Pewne jest, że między Tuskiem a Hołownią iskrzy, odkąd ten ostatni odmówił udziału w akcji mającej zablokować zaprzysiężenie Nawrockiego 6 sierpnia. Hołownia miał w tym scenariuszu wejść czasowo w rolę p.o. prezydenta RP i podpisać ustawy, które blokował Andrzej Duda. Marszałek nie chciał jednak brać udziału w tej hucpie, znając wszystkie symulacje ekspertów udowadniających, że skala nieprawidłowości nie mogła wpłynąć na ostateczny wynik wyborów. Na dodatek postanowił twardo negocjować zmiany w rządzie, domagając się dla Polski 2050 (reprezentowanej przez Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz) stanowiska wicepremiera; ma to być warunek ustąpienia Hołowni, zgodnie z umową koalicyjną, z funkcji marszałka Sejmu na rzecz Czarzastego.

JAKBY KŁOPOTÓW w koalicji było mało, Tusk staje przed jeszcze jedną bitwą. Prezydenckim Biurem Bezpieczeństwa Narodowego, które powinno utrzymywać regularne kontakty z rządem, ma kierować historyk Sławomir Cenckiewicz. To zaprzysięgły wróg Lecha Wałęsy, opisujący w książkach jego kontakty z SB (w maju wygrał z byłym prezydentem proces o zniesławienie), a zarazem przeciwnik samego Tuska. Stał na czele komisji badającej w poprzedniej kadencji Sejmu rzekome wpływy rosyjskie w czasach rządów PO, co miało uniemożliwić Tusкови pełnienie funkcji publicznych. Jego nominacja na stanowisko szefa BBN to jawna prowokacja wobec premiera i kolejna z czarnych chmur nad jego głową. Jeśli Tusk mimo wszystko przetrwa te burze i zdoła utrzymać władzę w 2027 r., będzie to najbardziej spektakularny powrót do łask narodu w całej historii III RP. ©



Budzenie lęku

**WOJCIECH BRZEZIŃSKI,
AGATA KAŹMIERSKA**

INTERNET WCIAŻ OBRADUJE. KOMENTARIAT NADAL nie zdecydował, czy za ostatnią falę pożarów w Warszawie odpowiada Władimir Putin, który chce zdestabilizować sytuację w naszym kraju, czy ukraińscy uchodźcy działający dokładnie w tym samym celu, czy Jarosław Kaczyński zamierzający obalić rząd Tuska, czy może sam Donald Tusk (tu akurat nie jest do końca jasne, w jakim celu, choć z pewnością „Rudy” coś kombinuje).

Najpierw spaliły się kable w warszawskim metrze, a zaraz potem trzy stacje transformatorowe. Z tego powodu dziesiątki tysięcy warszawiaków utknęły w korkach albo nie miały prądu. Gdy wreszcie dotarli do domów, a dostawy energii przywrócono, to w telewizji można było oglądać na żywo katastrofalny pożar na osiedlu w podwarszawskich Żąbkach.

Gdy do tego wszystkiego w zeszły piątek rzecznik rządu poinformował, że premier „zwołał pilne spotkanie” z udziałem przedstawicieli służb, a wkrótce potem na platformie X pojawiło się zdjęcie wskazanego grona podczas obrad, nie sposób się było oprzeć wrażeniu, że coś jest na rzeczy. Nic, tylko atak. Ale czy? Rzecznik nie zechciał poinformować, co uradzono. Emocje dodatkowo podgrzały doniesienia z Czech, gdzie mniej więcej w tym samym czasie doszło do ogromnego blackoutu.

Komunikat czeskiego premiera Petra Fialy, że przyczyną awarii była usterka techniczna, słabo się w internecie przebił. Równie niewielkim zainteresowaniem cieszyło się oświadczenie mokatowskiej prokuratury, że w sprawie pożaru w metrze „wyklucza udział osób trzecich”. Internetowy komentariat niezbyt zainteresowały też ustalenia energetyków, że transformatory spaliły się z przyczyn technicznych: w jednym pękł izolator i zapaliła się pod nim sucha trawa, w kolejnym przegrzało się szwankujące już wcześniej urządzenie, a w trzecim doszło do awarii przekładnika prądowego.

A że z tym wszystkim mogła mieć coś wspólnego niedawna fala upałów i 35 stopni w cieniu?

Tylko kto by patrzył przez okno i obwinał pogodę? Putin, Ukraińcy (którzy palili już przecież na Wołyniu!), Tusk albo Kaczyński – to się lepiej klika.

Zeszłoroczne pożary, jak ten w warszawskim centrum handlowym, za które odpowiedzialne są rosyjskie służby, jednoznacznie pokazują, że Kreml prowadzi z Polską wojnę hybrydową. Częścią tej wojny jest wywoływanie strachu. Sami nie powinniśmy więc dolewać oliwy do tego ognia. ©



Dymy nad Kijowem

FILIP RUDNIK

WPODEJŚCIU DO TRUMPA Kreml konsekwentnie stosuje dwie metody. Z jednej strony pochlebstwami łechta jego *ego* i to na najwyższym poziomie: niedawno sam Putin określił prezydenta USA mianem „mężnego”. Zarazem Rosja pokazuje, że gardzi pozycją Waszyngtonu i manifestuje siłę. Świadczą o tym coraz potężniejsze ostrzały ukraińskich miast. Rosjanie nie zważają na wezwania Trumpa, by zaprzestali ataków.

W swej ostentacji Rosjanie idą dalej. 3 lipca odbyła się telefoniczna rozmowa między Trumpem a Putinem. W jej trakcie dyktator złożył życzenia prezydentowi z okazji Dnia Niepodległości USA. Poinformował też, że nie ma zamiaru zrezygnować z dążeń co do wyeliminowania „praprzyczyn” konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Postawił zatem sprawę jasno: nie cofnie się, dopóki nie podporządkuje Kijowa.

Kilka godzin po tej rozmowie, jakby dla potwierdzenia tych słów, Rosjanie zaczęli kolejny zmasowany atak: wystrzelili ponad 500 dronów i rakiet, które nekwały Kijów przez całą noc. Poranny Kijów pogrążony był w gęstym dymie. Tego samego dnia Amerykanie świętowali Dzień Niepodległości, urządzając pokazy fajerwerków.

Z tygodnia na tydzień Rosjanie zwiększają częstotliwość i skalę nalotów. Drony „nasycają” przestrzeń powietrzną, przeciążając obronę przeciwlotniczą i w efekcie

coraz więcej ich trafia w cel. To intensyfikacja kampanii terroru, obliczona na złamanie Ukraińców.

Według obliczeń Radia Wolna Europa w czerwcu Rosjanie wystrzelili blisko 5,5 tys. dronów – to 16 razy więcej niż rok temu. Do skutecznej obrony Ukrainie potrzebne jest wzmocnienie obrony przeciwlotniczej. Szanse na to jednak mają, również za sprawą USA. Według doniesień medialnych z 1 lipca, administracja Trumpa wstrzymała część dostaw uzbrojenia – w tym pocisków dla systemów Patriot, chroniących ukraińskie niebo. Powód? Niski stan zapasów armii USA.

Rosjanie czerpią garściami z „okna możliwości”, jakim jest dla nich prezydentura Trumpa. Wykorzystują jego niezdecydowanie dla zwiększenia presji na Kijów i pośrednio na USA – i uchodzi im to płazem. W ich kalkulacji manifestacja nieustępliwości ma stanowić dla Trumpa argument, aby ten – świadomy „nierozwiązywalności” konfliktu – zostawił Kijów na lodzie. Jego retoryka, określająca rosyjską agresję jako „wojnę Bidena”, tylko to ułatwia.

Komentując rozmowę z 3 lipca, Trump powiedział, że jest niezadowolony, bo Putin wydaje się nie być zainteresowany pokojem. To trafna diagnoza. Najwyraźniej wciąż brakuje jednak refleksji, że rosyjski dyktator ostentacyjnie ośmiesza prezydenta USA. ©

Jedno z osiedli w Kijowie po masowym ataku dronów rosyjskich. 4 lipca 2025 r.



LIBKOS / GETTY IMAGES



Studencki upór

JACEK TARAN

PO TYGODNIACH NIEUSTĘPLIWOŚCI PROTESTUJĄCY studenci odnieśli sukces – Uniwersytet Warszawski oraz Ministerstwo Nauki deklarują spełnienie ich postulatów.

Czterdzieści dni studenci Uniwersytetu Warszawskiego zrzeszeni w Kole Młodych Inicjatywy Pracowniczej okupowali budynek Samorządu Studentów UW. Ich determinacja przyniosła efekt – władze UW musiały się ugiąć i zmienić swoje nastawienie: od lekceważenia, po rozmowy i mediacje zakończone podpisaniem porozumienia, do którego weszło też Ministerstwo Nauki. Studenci nazywają to sukcesem, choć na razie są to głównie deklaracje i zapowiedzi działań.

Władze UW przyznały, że domy studenckie powinny być kluczowym elementem polityki socjalnej, i zobowiązały się do powiększania bazy mieszkaniowej. Służyć ma temu budowa nowych akademików, ale też pozyskiwanie miejsc w budynkach już istniejących przy zachowaniu przystępnych cen zakwaterowania. W porozumieniu zapisano również, że UW podejmie współpracę z ministerstwem w celu pozyskania funduszy na rozwój infrastruktury socjalnej.

Najważniejsze z perspektywy protestujących może być zobowiązanie resortu nauki do stworzenia funduszu stołówkowego.

Ma on stanowić wsparcie dla uczelni, które chcą rozwijać własne zaplecze gastronomiczne. Jak zapowiedziała wiceministra nauki Karolina Ziolo-Pużuk na antenie Tok FM, pierwsze programy mają ruszyć już w przyszłym roku. Obecnie trwa szacowanie kosztów inwestycji – pilotażową uczelnią jest Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu, który rozpoczął budowę własnej jadalni. Ministerstwo zwróciło się do władz tej uczelni z prośbą o przygotowanie szczegółowych danych finansowych i organizacyjnych, co ma pomóc w ocenie skali potrzeb w skali ogólnopolskiej.

Protest dobiegł końca, ale wiele zależy teraz od wdrożenia ustaleń. Brak twardych terminów i szczegółowych mechanizmów kontroli może w przyszłości utrudnić rozliczanie władz z obietnic.

Niezależnie od dalszego rozwoju sytuacji, warto odnotować skalę zaangażowania studentów. Czterdzieści dni okupacji, presja medialna, rozmowy z władzami – wszystko to pokazuje, że współczesny ruch studencki potrafi działać konsekwentnie i skutecznie. Nawet jeśli stanowi zdecydowaną mniejszość studenckiej społeczności. ©

NA PUNKTY

WESELE

W Pałacu Prezydenckim wzięła ślub Kinga Duda, córka Andrzeja. Jak podały media, w prywatnej uroczystości uczestniczyło ok. 50 gości; nazwiska pana młodego nie poznaliśmy.

ZEMSTA

Nie wszyscy mogą liczyć na prywatność: pracującą w partii Polska 2050 córkę Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz zaatakowano w mediach społecznościowych. „Ktoś chce uderzyć we mnie. Dlatego, że naciśnęłam swoją działalnością publiczną na odcisk różnym wpływowym grupom i politykom” – skomentowała ministra.

KOSMOS

Nie zawsze prywatność jest najważniejsza. Posłanka PO Aleksandra Wiśniewska-Uznańska – żona goszczącego na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej astronauty – podzieliła się z TVP Info „ładunkiem emocjonalnym” związanym z „odprowadzaniem wzrokiem najdroższego człowieka w tą niesamowicie zaawansowaną technologicznie maszynę, wiedząc, że ja mogę już tylko zaufać, że mogą go otoczyć taką metaforyczną tarzą przyjaźni, miłości, dobrej energii”.

© P



Czy Franciszek nas okłamał?

EDWARD AUGUSTYN

DOKUMENTY DYKASTERII NAUKI WIA-ry, które w ubiegłym tygodniu wyciekły do mediów, stawiają pod znakiem zapytania decyzję Franciszka o zakazie mszy trydenckiej. Od lipca 2021 r., na mocy *motu proprio* „Traditionis custodes”, można ją sprawować jedynie za wyrażną zgodą biskupa, w wyznaczonych przez niego miejscach (poza kościołami parafialnymi) i tylko w istniejącym już wcześniej duszpasterstwie miłośników tradycji. Franciszek uzasadniał restrykcje wynikami sondażu, przeprowadzonego przez Dykasterię Nauki Wia-ry: większość biskupów miała w nim wyrazić opinię, że sympatia do tradycyjnej liturgii zwykle idzie w parze z odrzuceniem nauk Soboru Watykańskiego II i zagraża jedności Kościoła.

Watykan nigdy nie opublikował ankiet, na które papież się powoływał. Amerykańska dziennikarka, Diana Montagna, która do nich dotarła, twierdzi, że mówią coś zupełnie przeciwnego: tylko nieliczni biskupi zgłaszali zastrzeżenia, a zdecydowana większość była za utrzymaniem

w mocy decyzji Benedykta XVI, który zezwolił na powszechny dostęp katolików do tradycyjnej mszy. Opracowany przez dykasterię raport twierdził też, że nadzwyczajny ryt rzymski przyczynia się do ożywienia religijnego, zainteresowania liturgią (zwłaszcza wśród ludzi młodych) i wzrostu powołań kapłańskich.



A pojedyncze przypadki kwestionowania nauk soborowych są efektem zaniedbań biskupów, którzy w niewystarczający sposób tłumaczą wiernym ich sens i wartość.

Rzecznik prasowy Stolicy Apostolskiej jak dotąd nie potwierdził ani nie zaprzeczył autentyczności opublikowanych w mediach materiałów. Zapewnił jedynie dziennikarzy, że „proces decyzyjny opierał się na szerszej dokumentacji”. Wydaje się, że jej ujawnienie to jedyna dziś możliwość, by zdjąć z Franciszka podejrzenie o kłamstwa. A także, że restrykcje nałożone na tradycjonalistów uzupełniły w ostatniej chwili listę problemów do przemyślenia, jaką Leon XIV zabrał ze sobą na urlop do Castel Gandolfo. © P

ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER



Wielka piękna ściema

MARTA ZDZIEBORSKA

PRZYJĘTA PRZEZ KONGRES USA ustawa budżetowa pogłębi dług publiczny, uderzy w najbiedniejszych i namiesza w polityce. W tym wszystkim fakt, że Elon Musk ogłosił właśnie założenie nowej partii, może nie być dla Republikanów największym problemem.

Zanim Musk ogłosił swoje plany, przeprowadził sondę na platformie X. W Dniu Niepodległości, 4 lipca, zapytał inter-
nautów, czy chcą zerwania z partyjnym duopolem w USA. Gdy na „tak” było ponad 65 proc. internautów, Musk

obwieścił, że jego Partia Ameryki, którą tworzy na fali krytyki ustawy budżetowej, „zwróci Amerykanom wolność”.

Jeśli Musk będzie chciał wystawić „swoich” kandydatów w przyszłorocznym boju o Kongres, czeka go jednak trudna przeprawa związana z wciągnięciem ich na listy wyborcze w poszczególnych stanach. Nie potrzeba natomiast ambicji Muska, by Republikanie mieli podczas tych tzw. „wyborów środka kadencji” pod górkę. Zwykle partia urzędującego prezydenta traci wtedy miejsca

w Kongresie i kontrolę nad jedną z izb. Tak było np. za rządów Obamy (2010 r.) i w pierwszej kadencji Trumpa (2018 r.).

Tymczasem ponad połowa Amerykanów jest przeciwna przyjętej ustawie budżetowej, która podniesie dług publiczny o ponad 3 biliony dolarów w ciągu dekady (stąd furia Muska). Aby sfinansować antyimigracyjną agendę i przedłużenie obniżki podatków, na której znów najbardziej skorzystają bogacze, Republikanie obcięli środki na programy społeczne, w tym Medicaid – opiekę zdro-

wotną dla najbiedniejszych. Polise może stracić niemal 12 mln osób; zagrożone są wiejskie szpitale, którym po obcięciu funduszy grozi zamknięcie.

Za sprawą „wielkiej pięknej ustawy” – jak nazywa ją Trump – trudniej będzie też wziąć federalną pożyczkę studencką, co również odbije się na zwykłych ludziach. Na otarcie łez sprezentowano im m.in. ulgi podatkowe od przychodu z napiwków i nadgodzin, ale tylko do końca 2028 r. Potem Trump opuści Białą Dom, a skutki jego reformy będą odbijać się Ameryce czkawką. Najbogatsi zaś dalej będą wypisywać tłuste czeki politykom, by forswali korzystne dla nich przepisy. ©

Autorka jest dziennikarką „Press”.



ELKE SCHOLTERS / GETTY IMAGES

Jubileusz Dalajlamy: kwestia sukcesji

TYBET ■ Obchodzący 6 lipca 90. urodziny Tenzin Gjaco, XIV Dalajlama jest zapewne ostatnim z dalajlamów urodzonym w wolnym Tybecie. Główne obchody jubileuszu, inaugurujące też ogłoszony przez niego „Rok Współczucia”, odbywają się w indyjskiej Dharamsali – od 1959 r. jego uchodźczej siedzibie. Podobnie jak i poprzednie, medialnie głośniejsze, bo sympatia świata dla sprawy tybetańskiej oraz samego Dalajlamy zaliczającego serię wizerunkowych potknięć i gaf, które można tłumaczyć jedynie wiekiem, były nieporównywalnie większe zwłaszcza przed dwiema, trzema dekadami, gdy był on nie tylko duchowym, ale i politycznym przywódcą Tybetańczyków. Dziś nastrój święta ustępuje pytaniom o sukcesję i kontynuację 600-letniej tradycji wyboru nowego dalajlamy polegającego na odnalezieniu pośród najmłodszych Tybetańczyków *tulku*, jego kolejnej inkarnacji. W nagrany przesłaniu emitowanym w poprzedzającym obchody tygodniu XIV Dalajlama potwierdził, że „instytucja będzie kontynuowana”. Choć z modyfikacjami: proces wyboru może ruszyć jeszcze za jego życia, a przyszły dalajlama będzie wywodził się najpewniej z diaspory żyjącej w Indiach, Nepalu lub Bhutanie. Bez wątpienia w proces ten ingerować będą Chiny, wybierając nawet wśród żyjących pod okupacją Tybetańczyków własnego dalajlamę.

Dla tych żyjących na uchodźctwie będzie on – tłumacząc *per analogiam* do bliższej nam tradycji historycznej – odpowiednikiem antypapieża. Takie działanie w czasach postprawdy i nieograniczonych możliwościach propagandowych chińskiego reżimu może być ciosem w duchową jedność i tożsamość Tybetańczyków, dla których instytucja i postać dalajlamy stanowi wartość scalającą. A w obliczu skolonizowanego przez Chińczyków, kulturowo zdewastowanego Tybetu, ciągłość tradycji jest warunkiem *sine qua non* przetrwania narodu.

© BARTEK DOBROCH

Jak być cool? Naukowcy wyjaśniają

PSYCHOLOGIA ■ O tym, że Ameryka jest globalną superpotęgą, być może bardziej niż jej myśliciele i lotniskowce czy wartość gospodarki, świadczy fakt, że kultura tego kraju najsilniej mebluje umysły osób na całym świecie. „Od San Francisco po Santiago, od Sydney po Seul” – zauważają w „Journal of Experimental Psychology” Todd Pezzuti, Caleb Warren i Jinjie Chen – ludzie chcą używać iPhone’ów, piją coca-colę i... „chcą być cool”.

Chęć bycia *cool* już trzy dekady temu opisano jako jeden z najważniejszych markerów globalizacji. Mało jednak było badań wyjaśniających, co wyróżnia *cool* ludzi na tle innych osób. Właśnie na te pytania postanowiła odpowiedzieć wspomniana trójka psychologów z Chile i USA.

Zadanie nie jest proste, ponieważ pragnienie bycia *cool* wpływa na to, „kogo ludzie podziwiają, w jaki sposób mówią, gdzie robią zakupy czy co robią dla rozrywki”, a to będzie się przejawiać inaczej w różnych pokoleniach. Dla nastolatków bycie *cool* może oznaczać słuchanie tych samych influencerów i śledzenie życia tych samych celebrytów, dla pokolenia milenialsów – „buszowanie po sklepach z używaną odzieżą w poszukiwaniu vintage jeansów i podródek winyli”.

Niemniej, jak zauważają badacze, bycie *cool* nie jest wyłącznie sposobem, w jaki ludzie trwonią pieniądze i marnują czas – wpływa także na sposób myślenia o samych sobie i innych ludziach, ocenianych pod kątem tego, czy są wystarczająco *cool*. Dlatego bycie *cool* można badać, korzystając z narzędzi psychologii. I choć temat może się wydawać błąh, to jednak, jak podkreślają badacze, osoby *cool* są postrzegane jako bardziej towarzyskie, kompetentne i atrakcyjne. Bycie *cool* musi więc przekładać się na status społeczny, dobrostan czy dostęp do zasobów.

By zrozumieć fenomen bycia *cool*, badacze przeprowadzili szereg ankiet, w których wzięło udział prawie 6 tys. osób z kilkunastu krajów i sześciu kontynentów; reprezentowane były osoby z państw określanych jako WEIRD (to akronim od angielskich słów oznaczających: zachodni,

wykształcony, zindustrializowany, bogaty i demokratyczny), jak i nie-WEIRD. Autorzy badań chcieli się dowiedzieć, czy bycie *cool* jest tak samo rozumiane w różnych regionach kulturowych i czy istnieje różnica między cechami ocenianymi jako *cool* i takimi, które są po prostu pozytywne. Innymi słowy: czy ludzie *cool* różnią się od dobrych ludzi.

Ankietowanych proszono o wyobrażenie sobie osoby *cool*, nie-*cool*, dobrej oraz niedobrej, a następnie opisanie jej pod kątem 15 cech. Okazało się, że tym, co odróżnia ludzi *cool* od osób dobrych, jest wysoki poziom ekstrawersji, skłonności do hedonizmu, posiadania władzy, skłonności do ryzyka, otwartości i niezależności. W jednym i drugim przypadku ważne są też wysokie kompetencje. Ludzi dobrych, w przeciwieństwie do osób *cool*, cechuje za to wyższy poziom opanowania, sumiennosci, ugodowości, uniwersalizmu (przekonania, że wartości mają charakter powszechny, a te same prawa przynależą ludziom niezależnie od ich pochodzenia czy statusu), serdeczności, pewności siebie, tradycyjności oraz konformizmu.

Co ciekawe, wyniki były bardzo podobne niezależnie od płci, wieku czy kultury, z której wywodzili się ankietowani. Choć akurat ich projekt tego nie dotyczył, badacze podkreślają, że by być postrzeganym jako *cool*, nie można przesadzać z wymienionymi cechami – osoby zbyt skłonne do ryzyka czy nadmiernie poszukujące przyjemności łatwo mogą zostać ocenione jako lekkomyślne, a nie *cool*.

Swoją artykuł badacze kończą refleksją nad funkcją bycia *cool* – i stawiają intrygującą hipotezę. Zgodnie z nią bycie *cool* jest istotnym wynalazkiem społecznym – polega na kwestionowaniu norm i poszukiwaniu nowych rozwiązań, które są kluczowe w gospodarkach opartych na kreatywności i innowacjach. Nagrodą za promocję kreatywności i przełamywanie schematów jest psychologicznie nagradzające poczucie bycia *cool* i wynikające z niego korzyści społeczne. Jednak by zweryfikować tę hipotezę, z pewnością potrzeba więcej badań równie *cool* jak te.

© ŁUKASZ KWIATEK

W upały otworzymy kościoły!

KLIMAT ■ W głównej nawie gotyckiego kościoła św. Jana w Gdańsku można usiąść na soczystej zielonej trawie. Obok podtrzymujących sklepienie filarów wyrosły małe drzewka i krzewy. Z głośników sączą się delikatnie odgłosy lasu i wody, a powietrze przesycają „roślinno-mineralne” zapachy. W dni powszednie świątynia pełni funkcję centrum kultury, msza sprawowana jest w weekendy, ale od kilku tygodni można też złapać tu chwilę oddechu. Z okazji festiwalu Open'er kościół zmienił się w „LeŚnię”, miejsce, które ma działać jak antidotum na wielkomiejskie przeciążenie sensoryczne i zmęczenie upałem. Instalację stworzyła grupa trójmiejskich artystów i aktywistów. Jej roślinne centrum stanowi flora zainspirowana kaszubskim lasem, zaprojektowana przez Remigiusza Dorawę.

Gdański projekt powinien zainteresować władze wszystkich polskich miast, które w najbliższych tygodniach będą rozstawać na placach kurtyny chłodzące, podkreślać klimatyzację w samorządowych obiektach i apelować o niewychodzenie z domu w godzinach największej spiekoty. Letnie upały w mieście stają się nie do zniesienia także



ADAM WARŻAWA / PAP

w naszej szerokości geograficznej. Poszukiwania systemowych rozwiązań krąży dziś wokół ponownego zazieleniania miejskich przestrzeni, które w minionych latach ochoczo betonowano za pieniądze UE, bo place wyłożone kostką brukową są po prostu tańsze w utrzymaniu od trawników i klombów. W istocie mamy w zasięgu ręki rozwiązanie alternatywne, do tego bardzo tanie, bo gotowe do użycia. Wystarczy przekrócić klucz w zamku.

W całej Polsce mamy około 15 tysięcy obiektów sakralnych, z czego dwie trzecie stanowią kościoły rzymskokatolickie. Tylko w Krakowie na każdy z 327 kilometrów kwadratowych powierzchni miasta przypada średnio ponad jeden kościół lub kapli-

Z okazji 30-lecia opieki nad dawnym kościołem św. Jana, Nadbaltyckie Centrum Kultury utworzyło instalację artystyczną „LeŚnia”.

To wyjątkowe doświadczenie, które zamienia gotyckie wnętrza w zielony azyl dający wytchnienie i szansę na kontakt z naturą w centrum miasta.
Gdańsk,
27 czerwca 2025 r.

ca. Takie obiekty, z racji swego przeznaczenia, zapewniają też znakomitą ochronę przed upałem, ale do większości z nich nie można wejść w przerwach między nabożeństwami. Otwarte są oczywiście kościoły dostępne dla turystów. Inne zapraszają najwyżej do dusznego przedśionka.

Kościół zamyka świątynię w obawie przed kradzieżami i aktami wandalizmu. Nie wpuszcza także do przyparafialnych i przyklasztornych ogrodów, choć często pieniądze na ich utrzymanie w części lub w całości otrzymuje od samorządów i państwa. Czas na rozmowę o ich pozasakralnym wykorzystywaniu. Być może prostym rozwiązaniem będzie otwarcie wybranych świątyń w zamian za nadzór strażników miejskich.

© P MAREK RABIJ

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TRZY NAJPOPULARNIEJSZE POPISY KLAUNÓW





TEMAT
TYGODNIKA

JACYŚ LUDZIE

Czy Izrael popełnia ludobójstwo w Gazie?
Czy postawienie takiego pytania czyni mnie antysemitą?
A może istnieją pytania ważniejsze?

MICHAŁ OKOŃSKI

ROZMAWIALIŚMY O TYM TEKŚCIE OD MIESIĘCY. OBSERWUJĄC popularność Gabora Maté – tyleż lekarza, który od dekad pomagał pacjentom z uzależnieniami, ADHD i przebyłą traumą, co myśliciela publicznego, stawiającego na podstawie swojej pracy diagnozę współczesnej kulturze – szukaliśmy kogoś, kto będzie umiał parę wątków uporządkować. Kto rozdzieli trafne rozpoznanie lub wartościową przestrożę (np. przed kosztami ukrytego stresu, którym Maté poświęcił książkę „Kiedy ciało mówi nie”) od czegoś, co wydaje się ryzykowne. Gdzie mówienie o związkach między przeżytą przez nas lub przez naszych przodków traumą a chorobami autoimmunologicznymi czy nowotworowymi może być uwalniające („To nie twoja wina” – streszcza przesłanie Maté osoba występująca w portretującym go filmie „Mądrość traumy”), a gdzie staje się zbyt daleko idącym uogólnieniem. Kto w fascynacji mocnymi tezami, osobistą charyzmą i siłą świadectwa urodzonego w 1944 r. w Budapeszcie żydowskiego chłopca, który wyemigrował z rodzicami do Kanady po upadku powstania węgierskiego, dostrzeże także tęsknotę za guru, a w nim samym, co tu kryć: uwiedzenie tą rolą. Kto sprawdzi, czy tzw. holistyczne podejście nie okazuje się ostatecznie redukcjonistyczne – sprowadzające wszystkie nasze problemy do jednego klucza.

Jacyś ludzie w ucieczce przed jakimiś ludźmi. W jakimś kraju pod słońcem i niektórymi chmurami.

Znaleźliśmy osobę, której kompetencje filozoficzne, psychotherapeutyczne, ale też społeczno-kulturowe, uprawniają ją do napisania artykułu odpowiadającego na interesujące nas pytania. Wydawało się, że czerwcowa seria wykładów Gabora Maté w kilku polskich miastach będzie doskonałym pretekstem do publikacji jej tekstu. Ale ostatecznie zrezygnowała z pisania. Dlaczego?

„Panowała atmosfera ogromnej czułości. Wielu słuchaczy nie ukrywało poruszenia, niektórzy mieli łzy w oczach. Od dawna nie spotkałam się z taką uważnością i otwarciem na wykładowcę” – tak warszawskie spotkanie z kanadyjskim lekarzem relacjonowała na stronie Vogue’a Justyna Kosińska. W innych mediach jednak podkreślano raczej towarzyszące tournée Maté kontrowersje; protesty gmin żydowskich czy wycofany patronat Uniwersytetu Wrocławskiego. Przedstawiany jako „ocalały z Holocaustu” gość z Kanady mówił bowiem i o tym, że w Strefie Gazy Izrael dokonuje ludobójstwa, a w dodatku, że – to cytował z wykładu we Wrocławiu – „jeśli ktokolwiek miałby zrozumieć walkę Palestyńczyków przeciw zewnętrznemu okupantowi, to właśnie Polacy”.

W tym kontekście – uważa osoba, na której tekst o Maté liczyliśmy – jakakolwiek analiza jego poglądów na traumę i toksyczność współczesnej kultury, nie mówiąc o próbie refleksji nad promieniowaniem jego osobowości, jest niemożliwa. Wszystko, co dotąd napisał i powiedział, cała jego droga życiowa i zawodowe osiągnięcia, cała fascynująca nieoczywistość tej sylwetki, zostaje sprowadzona do jednej kwestii. Mówiąc nieco karykaturalnie: zgłaszasz jakiejkolwiek zastrzeżenie, to znaczy bierzesz odwet za jego krytykę Izraela.

Z uznaniem opisujesz lata pracy nad cierpieniem i traumą? Ranisz uczucia swoich żydowskich przyjaciół, którzy w obliczu wzrastającego w Europie fali antysemityzmu mają prawo czuć się zagrożeni.

Kiedy po rozmowie o nienapisanym tekście odłożyłem telefon, miałem poczucie, że to naprawdę karykaturalne streszczenie. Ale teraz już tak nie myślę. W kwestii naszego stosunku do Izraela i Gazy jest coś, co powoduje, że w odległości dwóch i pół tysiąca kilometrów od miejsca tragedii ludzie prawi i otwarci, nawykli do uważnego słuchania siebie i innych, z zainteresowaniem przyjmujący odmienne perspektywy, nagle tracą te umiejętności.

Zostawiają za sobą jakieś swoje wszystko, obsiane pola, jakieś kury, psy, lusterka, w których właśnie przegląda się ogień.

Pytanie, czy istnieje znak równości między poglądem, że Izrael dokonuje w Gazie ludobójstwa, a antysemityzmem, postawiłem pod koniec czerwca podczas debaty „Biedni Polacy patrzają...”, zorganizowanej w ramach Festiwalu Kultury Żydowskiej z okazji 80-lecia „Tygodnika Powszechnego”. Przyznam, że postawiłem je, czując się dość bezpiecznie – w przekonaniu, że po tylu latach zaangażowania mojej redakcji w zwalczanie antysemityzmu i przecieranie szlaków w dialogu polsko- i chrześcijańsko-żydowskim, nie muszę nikomu tłumaczyć, z jakiego miejsca przychodzę.

Rolą dziennikarza, nie tylko tego medium, jest przecież możliwie bezstronne (choć świadome własnych ograniczeń, związanych np. z datą i miejscem urodzenia) opisywanie rzeczywistości, w której – jak w fenomenie Gabora Maté – można rozróżniać. Pisząc np. o kilkudziesięciu tysiącach ofiar śmiertelnych izraelskiej operacji w Gazie albo będąc świadomym, że parę dni temu dziennik „Haaretz” ujawnił, iż żołnierze izraelskiej armii dostawali rozkazy strzelania do cywilów gromadzących się przy tamtejszych punktach dystrybucji żywności, nie unieważniać ani bestialstwa rzezi dokonanej przez Hamas 7 października 2023 r., ani faktu, że celem tej organizacji (i państw, które ją wspierają) jest zniszczenie Izraela – a w związku z tym, że skandowane również w Europie hasło „From the river to the sea” musi brzmieć w uszach obywateli tego kraju złowrogo.

Gdzie, jak nie w „Tygodniku”, można o takich kwestiach rozmawiać w atmosferze zaufania – pamiętając zarówno o tym, że po 7 października trudno znaleźć w Izraelu kogoś, kogo tragedia nie dotknęłaby osobiście, jak i o tym, że żeruje na niej polityk sądzony za korupcję i używający wojny z Palestyńczykami jako sposobu na legitymizację.

W oczach niektórych utraciliśmy jednak to zaufanie. „Tygodnik Powszechny”, puszczający na swoich łamach antysemickie oskarżenia wobec Izraela, w tym powtarzający kłamstwo o rzekomym ludobójstwie w Gazie – współczesny wariant oszczerstw o mordzie rytualnym, które są niechlubnym dziedzictwem historii Kościoła – jest moralnie skompromitowany w kwestii żydowskiej. Zaangażowanie tego medium w dyskusję o relacjach chrześcijańsko-żydowskich jest hipokryzją godną faryzeuszów” – przeczytałem np. w komentarzu pod zaproszeniem na naszą debatę, opublikowanym w jednym z portali społecznościowych.

→

Również i po debacie długo rozmawiałem z tymi, którzy zostali jeszcze w Żydowskim Muzeum Galicja, wysłuchując uwag do tego, co i jak piszemy o tej wojnie, a może bardziej – o czym nie napisaliśmy lub pisaliśmy za mało (np. o opływających w bogactwa przywódcach Hamasu, traktujących ludność Gazy jak żywe tarcze – choć akurat o tym pisaliśmy). Im dłużej to trwało, tym bardziej pytanie, które postawiłem w trakcie dyskusji, nikło pod innymi. Rzec by można: bliższymi ciału.

**Mają na plecach dzbanki i tobołki,
im bardziej puste, tym z dnia na dzień cięższe.**

Istnieje oczywiście grupa czytelników, dla których jasne stanowisko w tej kwestii ma fundamentalne znaczenie. Przypomnijmy: o ludobójstwie – wedle obowiązującej wciąż Konwencji ONZ – mówi się wtedy, gdy sprawca ma zamiar „wypiszczenia w całości lub części” danej grupy narodowej, etnicznej, religijnej lub rasowej „jako takiej” (ludobójstwem nie byłoby więc zrzućenie bomby na Hiroszimę: celem było wygranie wojny, nie wymordowanie Japończyków). Terminem tym w kontekście Gazy posłużył się w „TP” kilka tygodni temu Marek Matusiak, powołując się na międzynarodowe autorytety prawnicze, związane z ONZ czy organizacjami obrońców praw człowieka, ale też na badaczy Holokaustu, którym i konsekwencja, z jaką działa armia, i jednoznaczność deklaracji członków rządu Izraela („Niszczymy w Gazie wszystko, co jeszcze zostało, bo wszystko tam jest jednym wielkim centrum terroru” – to minister finansów Becał Smotricz; „Ten obszar zostanie zupełnie odcięty od dostaw żywności, elektryczności i paliw. Walczymy z ludźmi-zwierzętami i postępujemy adekwatnie” – to minister obrony Joaw Galant) kojarzy się jednoznacznie.

Inaczej jednak rzecz widzi – i tu również cytuję tekst z „TP” – Dariusz Rosiak: „W wojnie prowadzonej w terenie miejskim ofiary cywilne są nieuniknione. W trakcie ofensywy sił alianckich na Mosul i Rakkę w latach 2016-17 ginęli liczni cywile niemający związków z Państwem Islamskim. Mimo to działania aliantów i ich miejscowych sojuszników były akceptowane przez rządy zachodnie i arabskie (i krytykowane przez organizacje praw człowieka). Nie znaczy to, że nie należy rozliczyć Izraela ze zbrodni, które zapewne popełnia w Gazie. Ale wśród nich nie ma zbrodni ludobójstwa” – pisze twórca „Raportu o stanie świata”.

Jasne: wielu doniesień z Gazy nie sposób zweryfikować. Na teren konfliktu od dawna nie są wpuszczani niezależni obserwatorzy, obie strony toczą go również w warstwie propagandowej. Ale z tekstu Rosiaka zapamiętałem także zdanie: „Wobec sytuacji skomplikowanych i niejednoznacznych wielu wyłącza myślenie. Łatwiej osądzać”.

Coś podobnego mówił w rozmowie z „La Repubblica” izraelski pisarz Etgar Keret, którego trudno nazwać zwolennikiem Netanjahu: „Żyjemy w świecie uproszczonych narracji: kiedy ktoś z nas rozmawia z kimś spoza naszego kraju, od razu zauważa, że ludzie zawsze przejawiają silną potrzebę określenia się albo za Palestyną, albo za Izraelem, i nikt nie jest gotowy do słuchania czy prawdziwego dialogu. Nikt nie podważa krzywdy Palestyńczyków, bo z rąk Izraela zginęły ich tysiące. Ale my też mamy listę zarzutów wobec innych dookoła, moglibyśmy np. bez końca mówić o terroryzmie”.

**Odbyna się po cichu czyjeś ustawianie,
a w zgiełku czyjeś komuś chleba wydzieranie
i czyjeś martwym dzieckiem potrząsanie.**

Szykując się do napisania tego tekstu, przeczytałem m.in. książkę Pawła Mościckiego „Gaza. Rzec o kulturze eksterminacji” – najmocniejsze dotąd w polszczyźnie oskarżenie Izraela o dążenie do „ostatecznego rozwiązania kwestii palestyńskiej”, szczegółowo zbierające wszelkie argumenty za określeniem tego, co dzieje się w Gazie mianem ludobójstwa, a zarazem zdumiewająco łatwo przechodzące do porządku dziennego (choć teoretycznie autor poświęca temu cały rozdział) nad zbrodniami z 7 października 2023 r.

Daruję sobie cytowanie pojawiających się w wywodzie świetnego eseisty spiskowych teorii na temat zachowań izraelskich służb przed atakiem Hamasu albo organizacji festiwalu Supernova w tym akurat miejscu i czasie. Pominę też milczeniem kwestionowanie liczby ofiar „palestyńskich organizacji bojowych” i przypisywanie odpowiedzialności za część z nich Izraelczykom. Interesuje mnie osobność światów, w których tkwią obserwujący tę samą rzeczywistość autorzy.

„Izrael – niezależnie od swojej polityki wobec Palestyńczyków – wciąż traktowany jest przez rządy krajów zachodnich z pobłażaniem” – twierdzi np. Mościcki. Rosiak pisze: „Dla wielu ludzi na świecie Izrael pod wodzą Netanjahu zamienia się w pariasa: państwo, które ma za nic zachodnie wartości i międzynarodowe prawo, codziennie zabija cywilów w Gazie i dokonuje zniszczenia Strefy. Nawet ci, którzy współczuli Izraelczykom po zbrodniach Hamasu z 7 października 2023 r., zmieniają zdanie. Kolejne kraje Europy uznają państwowość Palestyny. Pogłębia się globalna niechęć, a w niektórych krajach wręcz wrogość do Izraela. A niekiedy też kwestionowanie jego prawa do istnienia”.

Opisu europejskich i amerykańskich demonstracji czy aktów przemocy wymierzonych w Izrael i Żydów w zasadzie u Mościckiego nie znajdziemy, a jeśli, to służą mu do wzmocnienia tez o „kulturze eksterminacji”, w której „w złym tonie jest urazić oprawców albo ich zwolenników. To oni mają mandat do tego, by uciszać protestujących, są w stanie ich zaszczuć, szantażować moralnie, wywierać instytucjonalną, symboliczną, finansową i fizyczną presję. W kulturze eksterminacji moralne autorytety – pisarze, filozofowie, artyści, działacze – milczą na temat dokonywanego mordy albo jawnie popierają jego sprawców”.

**Przed nimi jakaś wciąż nie tędy droga,
nie ten, co trzeba most
nad rzeką dziwnie różową.**

Autor „Gazy. Rzeczy o kulturze eksterminacji” nie jest w tej obserwacji odosobniony: o „ogłuszające milczenie” w sprawie palestyńskiej tragedii pytała Jacka Leociaka Hanka Grupińska w rozmowie opublikowanej przez „Krytykę Polityczną”. Choć przecież nawet w książce Mościckiego znajdziemy wypowiedzi czołowych humanistów naszej epoki niezostawiających na polityce Izraela suchej nitki, a zapoznawałem się z nimi równolegle z – niewątpliwie ważniejszymi, jeśli idzie o oddziaływanie na zbiorową wyobraźnię Europejczyków – relacjami z festiwalu w Glastonbury, gdzie nad tłumami powiewały palestyńskie flagi, a punkowy duet Bob Vylan

wzywał ze sceny do mordowania izraelskich żołnierzy. Chodząc po ulicach europejskich miast, siadając na widowni koncertów czy meczów, trudno nie odnieść wrażenia, że bycie propalestyńskim stało się wręcz modne.

Miriam Synger, biorąca również udział w debacie na FKŻ, podkreśla, że Polska wciąż pozostaje dla Żydów jednym z najbezpieczniejszych miejsc w Europie, ale w ubiegłorocznej rozmowie z „Tygodnikiem” mówiła też o wrogości doświadczanej ze strony środowisk, które zawsze wspierała: LGBT+ czy feministycznych: „Rozumiesz to? Boję się walczącego o prawa Palestyńczyków geja bardziej niż faceta spod hasła »Polska dla Polaków«...”

Niby nie ma w tym nic nowego. „Chaos informacyjny, szantaż moralny i coraz bardziej wykluczające się narracje na temat zbrodni, winy i cierpienia” towarzyszą konfliktowi dwóch narodów o jedną ziemię od zawsze – przypomina Rosiak. W dodatku konflikt ten żeruje na mitach i fantazjach religijno-mesjanistycznych, a „każdy lider, który próbował odrzucić te ograniczenia i sprowadzić spór do polityki, czyli do negocjowania interesów i szukania kompromisów, kończył zwykle znienawidzony przez swoich, w splocie wewnętrznych sprzeczności (jak Jasir Arafat, lider Organizacji Wyzwolenia Palestyny) albo w grobie (jak Icchak Rabin, premier Izraela zabity przez izraelskiego ekstremistę)”.

Zawrzeć pokój to zapomnieć: by doszło do pojednania, pamięć musi być wybrakowana – to jedna z myśli, które Susan Sontag rzuciła w „Widoku cudzego cierpienia” niemal na marginesie: „Jeśli celem jest posiadanie odrobiny przestrzeni, w której można przeżyć życie, warto, żeby relacja konkretnych niesprawiedliwości rozplynęła się w ogólniejszym zrozumieniu, że istoty ludzkie wszędzie wyrządzają sobie nawzajem okropne krzywdy”. Ale w obecnej fazie konfliktu zacytowanie takich słów wydaje się aktem naiwności.

Może lepiej przywołać inny fragment eseju amerykańskiej pisarki i aktywistki, analizującej postawy wobec relacji z wojen i kataklizmów (także postawy dwuznaczne, związane z ekscytacją i poczuciem komfortu widza z dalekiego kraju): „»My« – my, czyli każdy, kto nigdy nie przeżył niczego takiego jak to, przez co przeszli oni – nie rozumiemy. Nie dociera do nas. Naprawdę nie potrafimy sobie wyobrazić, jak to było. Nie potrafimy sobie wyobrazić, jak potworna, jak przerażająca jest wojna; ani jak normalna się staje. Oto, co uparcie czują wszyscy – każdy żołnierz, każdy dziennikarz, każdy pracownik pomocy humanitarnej i niezależny obserwator – którzy spędzili dużo czasu pod ostrzałem i mieli szczęście wymknąć się śmierci, która obaliła innych, w pobliżu”.

Dokoła jakieś strzały, raz bliżej, raz dalej, w górze samolot trochę kołujący.

Nie rozumiemy więc, ale patrzymy na obrazy stamtąd. Ze zgrozą, płomiennym oburzeniem, wydaje nam się także: ze szczerą empatią. Z bagażem dostępnych nam w tej części



NEIL MILTON / ZUMA PRESS / FORUM

GABOR MATÉ, 81-letni lekarz i myśliciel publiczny zajmujący się traumą, podczas tournée po naszym kraju mówił, że jeśli ktokolwiek miałby zrozumieć walkę Palestyńczyków przeciw zewnętrznemu okupantowi, to właśnie Polacy. Przeciw odczytom przedstawianego jako ocalałego z Holocaustu badacza protestowały gminy żydowskie, Uniwersytet Wrocławski wycofał swój patronat.

Na zdjęciu w Teatrze Nowym w Warszawie, 6 czerwca 2025 r.

Europy – na „Skrwawionych ziemiach”, w „Traumalandzie” – skojarzeń i pojęć. Z erozją wyobraźni religijnej, powodującą wypieranie metafizyki przez moralizm. Niektórzy również ze świadomością, że postawa świadka straszliwych wydarzeń rodzi ambiwalentne emocje (Michael Steinlauf w „Pamięci nieprzyswojonej” pisał wręcz o „winie wobec śmierci”, odczuwanej przez tych, którzy zachowali bierność). Czasami: z lękiem o bliskich, znanych osobiście ludzi. To też pewnie są powody, dla których trudno nam o tym rozmawiać. Ale są jeszcze inne.

Nie wykluczam, że część czytelników „Tygodnika” oburza samo przywoływanie książki Mościckiego, zawiera ona jednak obserwację, nad którą trzeba się zatrzymać: „W Gazie spotykają się i krzyżują dwie wielkie historyczne formacje, dwa wielkie historyczne paradygmaty, których koegzystencja, jak się okazuje, tworzy raczej szereg tragicznych zderzeń niż konstelację nowego międzynarodowego porządku opartego na pokoju. Chodzi oczywiście o Zagładę i kolonizację. Dziedzicem jednej linii jest Izrael, dziedzicem drugiej zaś – Palestyna. Tyle że obie przeglądają się w swoich historiach i rywalizują ze sobą o pierwszeństwo, biorąc udział w osobliwej psychomachii. Skoro państwo Izrael, jak głosi jego doktryna, powstało po to, żeby dać schronienie ludowi, który padł ofiarą tak okropnej zbrodni jak ludobójstwo Żydów europejskich dokonane przez nazistowskie Niemcy, nie można odmówić mu prawa do istnienia. Skoro jednak, jak uważają Palestyńczycy, powstało ono jako projekt kolonialny od ręki pozbawiający miliony rdzennych mieszkańców Palestyny praw do własnej ziemi, jego istnienie nie jest absolutem, a może nawet stanowi formację, którą jak najszybciej należy unieważnić”.

Palestyńczycy uznający się za ofiary czystki etnicznej, czyli Nakby, żyją obok Izraelczyków uznających się za potomków ofiar Shoah: „Ten trudny do rozwikłania spłot historycznych katastrof ma jeszcze jeden istotny napęd, który być może odpowiada za »popularność« tego konfliktu na świecie – pisze Mościcki. – Chodzi o to, że zarówno Zagłada, jak i kolonializm stanowią dwa najbardziej wstydlive, a zarazem potężne elementy dziedzictwa europejskiej historii, dwa nawiedzające naszą tradycję, nieprzepracowane wyrzuty sumienia”.

**Przydałaby się jakaś niewidzialność,
jakaś bura kamiennosc,
a jeszcze lepiej niebyłość
na pewien krótki czas albo i długi.**

→ Do tych wyrzutów sumienia – nieprzepracowanych i jednak przepracowywanych – odwołują się osoby, które na pytanie o ludobójstwo odpowiadają radykalnie odmiennie. „Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tym, co dzieje się w Gazie, leczymy sobie w Polsce wszystkie bolesne debaty na temat Holocaustu” – uważa np. Miriam Synger [czytaj: wreszcie możemy powiedzieć, że Żydzi też nie są w porządku – MO]. „Polacy mówią o niej, że sytuacja jest »skomplikowana« [czytaj: nie potrafią jednoznacznie potępić Izraela – MO], m.in. dlatego, że dźwigamy tu pohołokaustowe poczucie winy wobec Żydów” – mówi Hanka Grupińska w rozmowie z Adanią Shibli, palestyńską pisarką przenoszącą traumę swojego narodu w wymiar literatury pięknej.

Jest i poczucie winy, o którym opowiadał w rozmowie z Grupińską Leociak. Dla niego pozostawanie w „paraliżującej aurze Holocaustu” i zawierzeniu ofiarom Zagłady długo wiązało się z przeniesieniem tego zawierzenia na współczesnych Izraelczyków, a w konsekwencji: z niewidzeniem Palestyńczyków.

O tym ostatnim mówił, szczęśliwie, w czasie przeszłym. Trudno nie dostrzec, że rozważając żydowskie i polsko-żydowskie sprawy, otworzyliśmy się również na Palestynę. Na półkach księgarń coraz więcej dzieł tamtejszych pisarzy – oprócz Shibli np. Rajy Shehadeha (oboje gościli na współorganizowanym przez „TP” Festiwalu Conrada). Wydawnictwo Literackie opublikowało właśnie „Palestynę: wojnę stuletnią. Opowieść o kolonializmie i oporze” Rashida Khalidiego. Z zachodnich uczelni szerokim strumieniem dociera opowieść o Izraelu toczona w dyskursie antykolonialnym i antyrasistowskim. Narracja o „splocie historycznych katastrof” stała się polifoniczna.

**Coś jeszcze się wydarzy, tylko gdzie i co.
Ktoś wyjdzie im naprzeciw, tylko kiedy, kto,
w ilu postaciach i w jakich zamiarach.**

W tle jest coś jeszcze: wykorzystywanie kodów językowych związanych z Holocaustem do opisu dzisiejszej wojny. Niby to też nic nowego: „Może płynę [do Gazy – MO], bo na placu Krasińskich kręciła się karuzela, kiedy po 19 kwietnia 1943 getto płonęło, walcząc” – pisał np. Roman Kurkiewicz na łamach „Tygodnika”, tłumacząc swój udział w tzw. Flo-tylli Wolności, która w 2011 r. usiłowała przełamać morską blokadę Strefy.

Mościcki mówi jeszcze mocniej: to, co dzieje się dziś w Gazie, dotyczy całej ludzkości, tak jak wcześniej całej ludzkości dotyczyło Auschwitz. Mówiąc o tym, wręcz trzeba odwoływać się do Zagłady, ba: to być może sposób ocalenia Auschwitz przed całkowitą instrumentalizacją.

W naszym stosunku
do Izraela i Gazy jest coś,
co powoduje, że ludzie
prawi i otwarci,
nawykli do uważnego
słuchania siebie i innych,
chętnie przyjmujący
odmienne perspektywy,
tracą te umiejętności.

O tym, czy Zagłada była czymś wyjątkowym, powstają filozoficzne traktaty i historyczne opracowania (książka Konstantego Geberta o współczesnych ludobójstwach, od działań cesarskich Niemiec w Namibii po wyniszczenie Ujgurów przez Chiny, nosi tytuł „Ostateczne rozwiązania”). To dyskusja, której nie sposób zamykać, niezależnie od dobiegających z Izraela pomruków gniewu. Można jednak dostrzegać,

oprócz analogii, także fundamentalne różnice – nie traktując tego jako próby pomniejszania dziejącej się w Gazie tragedii.

Nie trzeba sakralizować Shoah, wystarczy zachowywać intelektualną precyzję. A zachowując ją, opowiadać się także przeciw dyskursowi, w którym (ostatni raz zacytuje Mościckiego) „antysemickie staje się jednocześnie i w tym samym stopniu: sprzeciwianie się wojnie, antysemityzm, solidarność z palestyńskimi ofiarami, zadawanie pytań wobec izraelskiej wersji wydarzeń oraz wątpliwości w sprawie działań odwetowych, antyimperializm, rzeczywisty antysemityzm”.

„Odruch moralny nie powinien zastępować myślenia – i *vice versa*” – to zdanie wypowiedział ważny uczestnik debat na temat Izraela, Palestyny, antysemityzmu, ludobójstwa i losu polskich Żydów. Zanim sprawdzicie, który, sprawdzicie, czy uważacie je za słuszne.

**Jeśli będzie miał wybór,
może nie zechce być wrogiem
i pozostawi ich przy jakimś życiu.**

Siadając do pisania tego tekstu, nie miałem gotowej konkluzji. Szukając jej, wynotowałem sobie i tę obserwację Susan Sontag: „Dla Żyda z Izraela zdjęcie dziecka rozerwanego na strzępy w pizzerii Sbarro w centrum Jerozolimy jest przede wszystkim zdjęciem żydowskiego dziecka zabitego przez Palestyńczyka w samobójczym ataku. Dla Palestyńczyka z Gazy zdjęcie dziecka rozerwanego na strzępy pociskiem wystrzelonym z czołgu jest przede wszystkim zdjęciem palestyńskiego dziecka zabitego pod izraelskim ostrzałem. Dla bojownika tożsamość jest wszystkim. I wszystkie zdjęcia czekają, aż podpis wyjaśni je lub zafałszuje”.

Patrząc na samo zdjęcie, nie wiem przecież, jakiej narodowości jest ofiara – tak samo jak nie wiem, jakiej narodowości są „jacyś ludzie” z wiersza Wisławy Szymborskiej, którym ten tekst kontrapunktuję. Bardzo się obawiam, że w poszukiwaniu jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o ludobójstwo i antysemityzm zaczynam widzieć podpis zamiast obrazu. I że przestaję widzieć spletające się z tymi pojęciami poczucie winy, uświadomioną i nieuświadomioną traumę, utknięcie w przeszłości, bezradność wobec cierpienia i zła.

Szkoda, że ten tekst o Gaborze Maté dotąd nie powstał.

© P MICHAŁ OKOŃSKI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Pomóż nam tworzyć lepszy „Tygodnik”

Zeskanuj kod, wypełnij ankietę i odbierz trzy cyfrowe Wydania Specjalne „Tygodnika” w prezencie, prosto na maila. Twoje odpowiedzi pomogą nam rozwijać „Tygodnik Powszechny” – redakcyjnie, technologicznie i organizacyjnie. Chcemy tworzyć pismo jeszcze bardziej odpowiadające na wyzwania współczesności, ale wciąż bliskie Wam w tonie, treści i formie.

W podziękowaniu za wypełnienie ankiety **prześlemy bezpłatny dostęp online do trzech naszych wydań specjalnych: „Terapia dla Polski”, „Sztuczna inteligencja” oraz „Szerokiej drogi”.**



ZESKANUJ I WYPEŁNIJ



TygodnikPowszechny.pl/ankieta

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Włara: Edward Augustyn (kierownik),
 Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
 Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmitowicz,
 Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
 Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoedycja: Grażyna Makara (kierownicza),
 Katarzyna Buttowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda
 (kierownicza), Maciej Müller, Monika Ochędowska,
 Katarzyna Rutkowska, Patryk Stanik, Oliwia Świątek
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
 Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
 Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
 Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierownicza),
 Lech Krupa, Anna Pietrzykowska
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
 Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
 Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszki
Dział IT: Łukasz Biełkowski, Paweł Maliszewski,
 Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
 Wojciech Bonowicz, Beata Chomałowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
 Jakub Dymeck, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
 Łukasz Grajewski, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller,
 Łukasz Kabata, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kiełzun,
 Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska,
 Ryszard Koziołek, Magdalena Łanusza, Szymon Łucyk,
 Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
 Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
 Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
 o. Wacław Osajza, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński,
 Karolina Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
 Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
 Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
 Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
 Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik,
 Marta Zdziebowska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
 ■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

STRACHY W SCHENGEN

Pierwszą fazę sporu o migrantów na polsko-niemieckiej granicy gabinet Donalda Tuska przegrał i z Niemcami, i z opozycją w kraju. W drugiej sporo jest jeszcze do wygrania. Na czele z przyszłością strefy Schengen.

MAREK RABIJ



GDY RZĄD NIE DOSTRZEGA PROBLEMU, który mieszkańcy pogranicza widzą z okien własnych domów, kryzys jest nie do uniknięcia. Zwłaszcza gdy władza próbuje ich jeszcze uspokajać i przekonywać, że przesadzają. Bo co z tego, że na zachodniej granicy nie wzrosła znacząco liczba migrantów, których strona niemiecka nie wpuściła do kraju lub cofnęła do Polski w trybie readmisji przewidzianej unijnymi przepisami? W oficjalnych statystykach faktycznie mowa o raptem kilkuset osobach. W przygranicznych miejscowościach ludzie stojący za tymi liczbami stali się jednak na tyle widoczni, by wzbudzić zaniepokojenie i wątpliwości co do dokładności rządowych danych. Trudno

się temu dziwić. Mieszkańcy polsko-niemieckiego pogranicza od kilku dni publikują w sieci kolejne nagrania, na których widać z grubsza to samo. Do polskiej miejscowości wjeżdża niemiecki wóz policyjny. Funkcjonariusze wysadzają na pobocze kilka osób i odjeżdżają w stronę dal. Bez udziału polskich kolegów, a chyba także bez ich wiedzy.

Obóz Koalicji Obywatelskiej początkowo nie dostrzegał w tym zagrożenia. Problem ze zrozumieniem, o co toczy się gra na granicy, mieli też jego akolici, bagatelizujący problem. Czy członkowie patroli obywatelskich pilnujących granicy zdają sobie sprawę, że jej nielegalne przekroczenie w polskim prawie jest tylko wykroczeniem? – pytał w „Krytyce Politycznej” prawnik Łukasz Hassliebe, publikujący pod pseudonimem Galopujący Major. Zapewne nie mieli błędnego pojęcia, ale zapoznanie ich z treścią artykułu 49a kodeksu wykroczeń (chodzi o przekroczenie granicy bez użycia przemocy albo podstęp), który publicysta erudycyjnie przywoływał w tym kontekście, raczej nie uspokoiło kogoś, kto nad ranem, wychodząc do pracy, potyka się o migrantów śpiących ukradkiem na klatce schodowej.

W końcu jednak premier Tusk ogłosił, że na zachodniej granicy samowolne patrole antyimigranckie, zwoływane m.in. przez sympatyzujących z PiS-em Ruch Obrony Granic Roberta Bąkiewicza, zastąpi Straż Graniczna. Od 7 lipca na przejściach z Niemcami i Litwą przywrócono kontrole. Nie po to, żeby zatrzymywać migrantów usiłujących przedostać się do Niemiec, lecz po to, by stronie niemieckiej utrudnić przetrzymywanie cudzoziemców, których nie chcą widzieć u siebie.

Realia kontra statystyki

Od stycznia do połowy czerwca niemiecka policja miała w ten sposób odesłać do Polski zaledwie 170 osób. Czyli średnio 28 na miesiąc i zaledwie 3,2 osoby na każde z 52 przejść granicznych, na których Warszawa właśnie wznowiła kontrole. Tak wynika z oficjalnych statystyk niemieckiej policji. Inna sprawa, że składają się na nie wyłącznie przypadki spełniające kryteria rozporządzenia Dublin

III, które przewiduje, że po zatrzymaniu migranta bez prawa wjazdu do danego kraju członkowskiego można odesłać go do państwa, w którym po raz pierwszy postawił stopę na unijnej ziemi.

Czy takie kryteria spełnia również sytuacja, która miała miejsce nad ranem 29 czerwca na drodze pomiędzy przygranicznym Ostritz a położonym kilka kilometrów dalej na zachód Kiesdorf, na której zatrzymano ośmiu Somalijczyków i jednego Marokańczyka? Mężczyźni mieli od 18 do 27 lat i zostali przewiezieni do Niemiec przez nieznanego wcześniej przemytnika. Nie posiadali dokumentów wymaganych do przekroczenia niemieckiej granicy. Po przewiezieniu na posterunek policji i po wykonaniu niezbędnych czynności wszyscy zatrzymani zostali odesłani do Polski.

Na jakiej podstawie? W odpowiedzi na pytanie zadane przez „Tygodnik” Marcel Pretzsch z lokalnej policji wyjaśnił, że migranci zostali dostrzeżeni przez okolicznych mieszkańców w momencie, kiedy przekraczali granicę. Żaden z zatrzymanych nie złożył wniosku o azyl (nie wiadomo czy im to umożliwiono), a niemiecka policja przewiozła ich do Polski i pozostawiła po prostu przy drodze, ponieważ wspólnotowa procedura readmisji, która miała w tym przypadku zastosowanie, nie wymaga asysty polskich służb. Wiele wskazuje na to, że podobnych przypadków jest więcej, niż wynika ze statystyk. Strona niemiecka oficjalnie zapewnia, że odsyła do Polski jedynie migrantów zatrzymanych „na granicy”, ale z tych samych wyjaśnień tamtejszych funkcjonariuszy wynika, że „granica” w ich interpretacji może oznaczać... całe Niemcy. Federalne przepisy stanowią, że do czasu zakończenia działań policyjnych bezpośrednio związanych z przekroczeniem granicy nikt formalnie „nie wjeżdża” na teren RFN – nawet jeśli w rzeczywistości przekroczył linię graniczną. Przy takiej wykładni do Polski można odesłać nawet osoby zatrzymane w Zagłębiu Ruhry.

W praktyce, jak można usłyszeć od funkcjonariuszy polskiej straży granicznej, ich niemieccy koledzy najczęściej odsyłają na wschód migrantów zatrzymanych bez stosowanych papierów w pasie około 30-50 kilometrów od granicy z Polską. Większość z nich nie ma również dokumentów, które poświadczałyby, że do



KRZYSZTOF CÍWIK / PAP

Pikieta Ruchu Obrony Granic przy polsko-niemieckim moście na Nysie Łużyckiej. Porajów, gmina Bogatynia. 3 lipca 2025 r.

→ strefy Schengen wjechali w Polskę – bo mieć ich nie mogą. Przemysłowcy, którzy nad Odrę zwożą ich z nad białoruskiej granicy, nie wystawiają przecież paragonów. Niemiecka policja jako dowód wskazuje czasem na kwity z polskich „Żabek” i „Biedronek”, albo bilety PKP rzekomo znalezione przy migrantach. Żaden sędzia nie przyjąłby takiego dowodu w trakcie procesu, ale procedura readmisji nie wymaga ani wyroku sądu, ani nawet poinformowania zainteresowanej strony, że zostaną do niej odesłani migranci.

System jest więc dziurawy i niespójny, przyznają nieoficjalnie polscy strażnicy graniczni. Procedury strefy Schengen pisano z myślą o czasach, gdy do unijnych bram nie pukały co roku miliony zdesperowanych ludzi uciekających do lepszego świata. A co ważniejsze, nie pisano ich także z myślą o świecie polityki, w którym bezpieczeństwem można grać jak piłeczką.

Przepis na kryzys

Nieprzypadkowo wspólnym mianownikiem publicznych wystąpień polityków PiS od kilkunastu dni jest opowieść o „kryzysie migracyjnym” na naszej zachodniej granicy, wywołanym nie tyle przez Niemcy, ile przez uległość rządu Tuska wobec Berlina. Rzeczywista skala problemu nie ma tu najmniejszego znaczenia. Fakty nie mogą przecież psuć dramaturgii opowieści o zachodniej granicy trzeszczącej pod naporem niemieckich pushbacków.

Sytuacja na zachodzie kraju stała się paliwem m.in. dla Konfederacji. Wicemarszałek Krzysztof Bosak stwierdził na antenie Polsatu, że „rząd obecnej koalicji traktuje Polskę jak pojemnik na odrzuty”. „Murem za polskim mundurem” stanął z kolei Mateusz Morawiecki, zarzucając swemu następcy na fotelu premiera, że wskutek decyzji jego podwładnych policjanci i strażnicy graniczni „w bardzo szczupłym składzie etatowym usiłują bronić granicy”. O „kryzysie migracyjnym” wielokrotnie mówił także Mariusz Błaszczak, zapowiadając w Świecku kon-

Niemiecka policja wskazuje na kwity z polskich „Żabek” i „Biedronek”, albo bilety PKP rzekomo znalezione przy migrantach.
Żaden sędzia nie uznałby takiego dowodu przekroczenia granicy.

trole poselskie parlamentarzystów PiS na przejściach granicznych. W Gorzowie Wielkopolskim, czyli ponad sto kilometrów od pasa przygranicznego, miejscowy działacz PiS za nielegalnych migrantów uznał członków senegalskiego zespołu Saly Velingara Ballet, którzy na zaproszenie miasta przyjechali na tamtejszy festiwal tańca Folk Harbour. Pocho- dząca z Gorzowa europosłanka PiS Elżbieta Rafalska zdążyła z tej okazji nawet zmyć w sieci głowę Tusкови za lekceważenie wysiłków Ruchu Obrony Granic. Gdy migranci okazali się artystami, a policja musiała im zapewnić ochronę, Rafalska po prostu usunęła wpis ze swoich kont, nie publikując wyjaśnień. Podobną strategię obrał jej kolega z brukselskiej ławy Dominik Tarczyński, który wzywał do „Wielkiej Deportacji”, ilustrując ten apel... nagraniem z kamer przemysłowych z Lubina (111 kilometrów od najbliższego przejścia granicznego z Niemcami), na którym widać dwóch nagich Etiopczyków, którzy zdołali zbiec handlarzom ludzi.

Nietrudno zgadnąć, jaki cel mają takie zagrania. W przekazie polityków opozycji sytuacja na granicy ma przybierać wymiary kryzysu porównywalnego z apogeum hybrydowych ataków na nasze wschodnie rubieże z jesieni 2021 r. Prawo i Sprawiedliwość gładko weszło wtedy w rolę szeryfa, który broni polskiej racji stanu bez oglądania się na krytykę, normy społeczne i potencjalne kon-

sekwencje prawne czy dyplomatyczne. Dziś na zachodzie Polski nie ma wprawdzie ostrego kryzysu, a prawdę powiedziawszy, nie ma go w ogóle. Są jednak punktowe objawy niepokoju i niezadowolonia, które można nanizować na nić spójnej politycznej narracji, aby następnie pokazać opinii publicznej jako „pogranicze w ogniu”, pozostawione na pastwę niemieckiej policji przez niekompetentną władzę. Cokolwiek zrobi wtedy rząd Tuska, będzie krokiem spóźnionym, jakże różnym od zdecydowanych ruchów Polski, która pod rządami PiS miała odwagę bronić granic przed sabotażem ze strony Białorusi i Rosji.

Schengen trzeszczy

Prymitywne? Ale działa. Pod względem stosunku do przybyszów spoza Starego Kontynentu od innych europejskich nacji różni nas bowiem siła naszego resentymentu. Jak wynika chociażby z badań Instytutu Pew Research, od lat przodujemy w Unii w nieufności wobec migrantów z krajów muzułmańskich. Dotychczas te obawy bazowały jednak bardziej na naszych wyobrażeniach niż doświadczeniach. Polska po 1945 roku stała się państwem monoetnicznym i praktycznie jednowyznaniowym. Narastająca fala migracji z Ukrainy po 2014 roku nie zmieniła pod tym względem wiele, bo nasi wschodni sąsiedzi byli nam bliscy kulturowo i nie tworzyli zamkniętych społeczności. Migranci zarobkowi z Azji i Afryki, nowość ostatnich lat, są z kolei wciąż zbyt nieliczni i zepchnięci zbyt głęboko do zakamarków polskiej codzienności, aby przykuwać szczególną uwagę. Podobnie było do niedawna z tysiącami osób przekraczających nielegalnie granicę Schengen na wschodzie naszego kraju – oni parli przecież głównie w stronę Niemiec. Z punktu widzenia temperatury nastrojów społecznych polska polityka migracyjna mogła zatem sprowadzać się do ściągania cichaczem tanich pracowników z Nepalu czy Filipin oraz czekania, aż ci, którzy przedostali się do nas przez dziurę w podlaskim płocie, znikną z horyzontu na drugim brzegu Odry.

Mogła – do czasu, aż przyciśnięte falą migracji Niemcy nie powiedziały dość. Nawet jeśli to niemieckie „genug” jest na razie poza potrzebę wewnętrzną polityki, to dla Polski i innych państw granicznych strefy Schengen stanowi

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



PATRICK PLEUL / AFP / EAST NEWS

Niemiecka policja prowadzi kontrolę na granicy z Polską. Frankfurt nad Odrą, 4 lipca 2025 r.

ostrzeżenie, że mogą mieć problem, kiedy Niemcy, dotąd będące migracyjnym drenem UE, naprawdę uszczelnia swe granice. Jak podaje Eurostat, w 2023 r. do krajów Wspólnoty nielegalnie przedostało się ok. 385 tys. osób, ale z wydanymi prawidłowo wizami wjechało ich ponad 3,7 mln. Zamknięcie unijnych granic, które dziś postulują niektórzy politycy polskiej prawicy, zapewne doprowadziłoby do skokowego wzrostu liczby tych pierwszych. A Polska, której granice w aż jednej trzeciej długości są też wschodnią rubieżą strefy Schengen, odczuje to jako jedna z pierwszych.

Oficjalne statystyki Berlina mówią, że tylko w ubiegłym roku do Niemiec przybyło ok. 1,7 mln migrantów. Na granicy odmówiono wjazdu zaledwie 10 tysiącom, co może świadczyć zarówno o tym, że niemiecka polityka migracyjna, mimo politycznych pohukiwań, nie rezygnuje z inkluzywności, jak i o tym, że nadzór nad granicami państwa pozostawia wiele do życzenia. Nieprzypadkowo antyimigracyjna AfD największym poparciem cieszy się dziś we wschodnich landach. Przy granicy z Polską nie brak miejscowości niemal opustoszałych po eksodusie na zachód kraju, który nastąpił tuż po zjednoczeniu Niemiec. Rząd w Berlinie stara się co prawda wysyłać migrantów z prawem do azylu do ośrodków rozsiąanych po całym kraju, ale właśnie na wyludnionym wschodzie ma naj-

lepsze warunki do zakładania i prowadzenia takich placówek. Nie znaczy to, że wybór ten cieszy okolicznych mieszkańców. Gdy w miejscowości liczącej mniej niż sto dusz nagle powstaje ośrodek dla kilkuset azylantów, o konflikt naprawdę nie trudno. Jeszcze łatwiej o niego w sytuacji, gdy realia względnie hojnego socjału dla migrantów zderzą się ze wspomnieniami pierwszych lat po zjednoczeniu, które wielu mieszkańcom byłych Niemiec Wschodnich przyniosły biedę i bezrobocie. Widok kolejnego zmęczonego człowieka o śniadej cerze, który chyłkiem usiłuje opuścić strefę przygraniczną, już dawno przestał tu budzić współczucie. W komunikatach niemieckiej policji coraz częściej pojawia się za to informacja, że zawiadomienie o grupie migrantów funkcjonariusze dostali od miejscowych.

W interesie obywateli

Niemiecka gospodarka drobi w miejscu. Tamtejsze giganty tracą przewagę konkurencyjną nad rywalami z Dalekiego Wschodu i tysiącami zwalniają ludzi. Kleszcze niemieckiej polityki fiskalnej, które przez lata nie pozwalały Berlinowi finansować rozwoju kraju poprzez zwiększanie długu publicznego sprawiły, że niedomaga infrastruktura. Państwo znane dotąd obywatelom niknie w oczach. Ale nadal wydaje co roku miliardy euro na pomoc ludziom, którzy

często nie potrafią złożyć prostego zdania po niemiecku.

To rodzi frustrację, napędzaną dodatkowo wstrząsającymi przypadkami przemocy ze strony migrantów. Podobnie jak inne społeczeństwa krajów rozwiniętych, w których wyczerpał się model rozwoju oparty na symbiozie liberalnej demokracji i wolnego rynku, Niemcy zerkają w stronę autorytaryzmu, w nadziei, że to on zapewni im lepszy byt i spokój. W majowym sondażu instytutu INSA dla gazety „Bild” – AfD osiągnęła 24 proc. poparcia, zrównując się tym samym z chadeckim sojuszem CDU/CSU, rządzącym dziś Niemcami. W USA tego samego politycznego klienta obsługuje Donald Trump, otwierając na bagnach Florydy „Aligator Alcatraz” dla migrantów, i szyderczo tłumacząc, jak powinni uciekać przed gadami. Prawa człowieka i wartości europejskiej myśli politycznej w tym rachunku nie mają wagi równej interesom „rdzennych obywateli” – jakkolwiek by ich definiować. Doraźny interes większości nie zamierza zaprzętać sobie głowy żadnymi konwencjami. W polityce większe znaczenie mają tzw. rolki na portalach społecznościowych z relacjami młodych kobiet z Francji, Belgii, Szwecji czy Niemiec, nagabywanych przez migrantów na ulicach.

W Polsce tym samym językiem mówi Konfederacja, gdy jej posłowie nawołują do „oczyszczenia kraju z ludzi obcych kulturowo”. Prawo i Sprawiedliwość, które panicznie boi się silnej alternatywy na prawo od siebie, zapowiedziało nawet projekt ustawy zakazującej wjazdu do Polski obywatelom państw Bliskiego Wschodu, po czym doszło do wniosku, że na taką nowalijkę jeszcze za wcześnie i ucięto temat. O odpowiedni klimat dla takiego aktu prawnego posłowie z partii Jarosława Kaczyńskiego pracują jednak na zachodniej granicy, zachęcając do uczestnictwa w „obywatelskich” patrolach antyimigranckich.

Być może to tylko zbieg okoliczności, ale na mapie takich blokad na przejściach granicznych najwięcej punktów widnieje dziś w Zachodniopomorskiem. Regionie Polski, w którym – podobnie jak w niemieckich wschodnich landach – transformacja lat 90. kojarzy się z państwem, które niemal z dnia na dzień wycofało się z ich życia.

© MAREK RABIJ

Współpraca: ŁUKASZ GRAJEWSKI z Berlina

Stara Wieś, stary temat

MAJA KUŹMICZ, KIEROWNICZKA „NIEBIESKIEJ LINII”:

SPOŁECZEŃSTWO | W wielu krajach Europy osoby z doświadczeniem przemocy domowej mówią o tym, jak ważna była dla nich reakcja sąsiada czy pracownika społecznego. Nam takich relacji brakuje.

ANNA GOC: W Starej Wsi Tadeusz Duda zastrzelił córkę i jej męża, ciężko postrzelił teściową. Przemoc domowa w tej rodzinie trwała od kilku lat. Czyich reakcji i jakich działań zabrakło?

MAJA KUŹMICZ: W tej historii, na ile znamy jej przebieg z mediów, podjęto sporo działań, by nie doszło do tak dramatycznego finału. Sprawa była w prokuraturze, Tadeusz Duda miał postawione zarzuty znęcania się nad członkami rodziny. Pokrzywdzone kobiety – żona i teściowa – a także świadkowie przemocy, czyli córka i jej rodzina, nie mogli na tym etapie zrobić nic więcej.

Pokrzywdzone nie mogły, a służby?

Jeśli chodzi o działania służb, to należało skutecznie odizolować sprawcę i zabezpieczyć broń, jednak ciężko mi o tym mówić bardziej szczegółowo. Bez dostępu do akt trudno powiedzieć, jak do tego doszło, że sprawca, który miał sądowy zakaz zbliżania się do teściowej, dzielił z nią podwórko. W zależności od tego, na jakim etapie jest sprawa, zakaz zbliżania się sprawcy do osoby pokrzywdzonej mogą wydawać policja, prokuratura lub sąd. Wezwana na interwencję policja może dodatkowo wydać nakaz opuszczenia mieszkania przez sprawcę. Nakaz jest wykonywany natychmiast, funkcjonariusze towarzyszą sprawcy w opuszczeniu domu, dopilnowują, aby oddał klucze i zabrał potrzebne mu rzeczy. Policja nie ma obowiązku zapewnić sprawcy lokum, to jest jego sprawa. Ma opuścić miejsce, w którym przebywa osoba pokrzywdzona.

Policja wykorzystuje te narzędzia?

Od 2020 r., czyli od momentu, kiedy na-
była te uprawnienia, do końca 2024 r. wyda-
no prawie 44 500 nakazów/zakazów,

co pokazuje, że procedura jest wykorzystywana coraz częściej. Czy wystarczająco często? Trudno powiedzieć: w 2024 r. liczba procedur Niebieskich Kart w szczególności tylko przez policję wynosiła ponad 59 tys. Nakaz opuszczania mieszkania wydany przez funkcjonariusza może zabezpieczyć osobę czy osoby pokrzywdzone. Jednak nakaz ten, podobnie jak zakaz zbliżania się sprawcy do pokrzywdzonych, to narzędzia, które dopiero od kilku lat leżą w kompetencjach policji.

Może się wydawać, że kilka lat to wystarczająco, by przeszkolić się z nowych rozwiązań. Jednak interwencje dotyczące

przemocy domowej okazują się najtrudniejsze. Funkcjonariusze oprócz wiedzy i doświadczenia muszą zmierzyć się z własnymi przekonaniami na ten temat, mając przed sobą rodzinę, zastaną sytuację i związane z nią emocje.

Jak Pani ocenia zaufanie do policji, gdy trzeba wezwać funkcjonariuszy, bo w sąsiedztwie dzieje się coś niepokojącego?

Mamy różne doświadczenia w tej sprawie. Tak jak w innych instytucjach – w policji są osoby zaangażowane i rozumiejące misję przeciwdziałania przemocy, ale też takie, których działania można nazwać zaniedbaniami i powodowaniem wtórnej wiktymizacji pokrzywdzonych.

Jeśli chodzi o reagowanie świadków na przemoc, która dzieje się za ścianą, rolę odgrywa tu nie tylko zaufanie do policji, istotne są także mity i stereotypy, np. „nie należy się mieszać w sprawy rodzinne”, „a może moje zgłoszenie tylko pogorszy sprawę?”. To bardziej złożony i trudny temat działalności społecznej.



Brakuje przeszkolonych ludzi?

Brakuje działów, zespołów zajmujących się przemocą domową, wyspecjalizowanych w tym temacie. W wielu miejscach przemocą zajmujemy się „przy okazji”. A warto zaznaczyć, że nie każdy policjant, psycholog czy pracownik socjalny ma predyspozycje do tej pracy, nie każdy chce się tym zajmować. Tego nie można nie zauważać.

Kolejną kwestią są osobiste przekonania. Ze szkoleń, które prowadzimy dla policji, wynika, że funkcjonariusze w sytuacji interwencji muszą szybko połączyć wiedzę z własnymi przekonaniami dotyczącymi przemocy domowej. I tu pojawia się problem, bo w Polsce dalej bywa ona traktowana jako wewnętrzna sprawa rodziny, w którą nie zawsze należy się mieszać. Wciąż mamy społecznie tendencję do tego, żeby nie dostrzegać przemocy. A w sytuacjach, które wzbudzają nasz niepokój, należy raczej zakładać przemoc i uruchamiać procedurę, by ją później ewentualnie wykluczyć, niż sprawę bagatelizować. Należy sprawdzić zagrożenie, a nie je umniejszać.



ARCHIWUM PRYWATNE

MAJA KUŹMICZ jest kierowniczką „Niebieskiej Linii” Instytutu Psychologii Zdrowia PTP. Psycholożka, trenerka, superwizorka, specjalistka ds. przeciwdziałania przemocy domowej z ponad 20-letnim doświadczeniem.

Analiza danych z ośrodków pomocy społecznej pokazuje, że przemoc domowa bywa też traktowana jako tło dla innych problemów. Zgłaszane są problemy z uzależnieniem, bezrobociem, zdrowiem czy innymi trudnościami, przemoc jest tłem.

Członkowie rodziny Tadeusza Dudy i jego sąsiedzi – jak wynika z przekazów medialnych – wiedzieli, że ma broń. Dlaczego nie została mu odebrana, skoro miał zarzuty o znęcanie się nad członkami rodziny?

Zgodnie z procedurą „Niebieskiej Karty” policja, jeszcze przed wpłynięciem zawiadomienia w tej sprawie do prokuratury, mogła odebrać broń i zabezpieczyć amunicję, właśnie po to by zapobiec takiemu rozwojowi sytuacji. Dlaczego do tego nie doszło? Trudno powiedzieć. Na pewno procedury do tego zobowiązywały. Prawdopodobnie można było również zastosować tymczasowy areszt wobec sprawcy.

Abstrahując od tej sytuacji: procedura „Niebieskiej Karty” służy m.in. temu, aby zbadać sytuację, gdy podejrzewamy, że dochodzi do przemocy domowej. Nie musimy mieć pewności, wszczynając procedurę.

Okolice Starej Wsi, oddziały specjalne policji przeszukują zabudowania w poszukiwaniu Tadeusza Dudy, który zastrzelił córkę i jej męża. 1 lipca 2025 r.

Wciąż przeważa inne podejście?

Funkcjonuje przekonanie, że jeśli ktoś zgłosi niepokojące zachowania u sąsiadów, a okaże się, że do przemocy w ich domu nie dochodzi, to zgłaszający powinien się wstydzić wtrącania w nie swoje sprawy.

Tymczasem przemoc domowa jest zbyt skomplikowanym problemem, by można ją było wychwycić gołym okiem. To wymaga czasu, obserwacji i analizy, a także współpracy różnych instytucji i służb – policji, pomocy społecznej, przedstawicieli oświaty, ochrony zdrowia. Czyli ludzi, którzy mogą mieć wiedzę na temat rodziny i którzy powinni się tą wiedzą umiejętnie wymieniać. Jednak żeby to zadziałało, musimy mieć też przekonanie, że przemoc domowa nie jest sprawą wewnętrzną rodziny, tylko przestępstwem i że naszym zadaniem jest ją zatrzymać. Moje słowa mogą brzmieć banalnie, ale życie pokazuje, że przeciwdziałanie przemocy nie jest takie oczywiste. Wystarczy, że jeden członek tej grupy – policjant, nauczyciel, lekarz – będzie miał podejście umniejszające przemoc, i to już może zaszkodzić rodzinie, która potrzebuje pomocy.

Z danych policji za 2024 r. wynika, że osób, które doznały przemocy domowej, było blisko 87 tys. Jak to się ma do skali zjawiska?

Pełnych danych nie posiada żadna instytucja. Gdy wraz z zespołem SGH pracowaliśmy nad raportem „(Nie)widzialne koszty przemocy domowej w Polsce”, zobaczyliśmy czarno na białym, że właściwie każdy resort, który zajmuje się przeciwdziałaniem przemocy domowej albo reaguje na jej konsekwencje, gromadzi je w zupełnie inny sposób. Gdy próbowaaliśmy te dane zestawić, okazało się, że to jest niemożliwe. Policja ma swoje, pomoc społeczna – swoje, podobnie ochrona zdrowia. W Ministerstwie Cyfryzacji powstał więc pomysł na cyfryzację procedury „Niebieskiej Karty”, co – miejmy nadzieję – sprawi, że dane będą gromadzone w jednym miejscu w jeden sposób.

Jednak nie wszędzie tam, gdzie dochodzi do przemocy, ta procedura jest rozpoczynana. Osoby upoważnione do jej wszczynania nie zawsze podejmują właściwą decyzję o tym, czy dana sytuacja kwalifikuje się jako przemoc domowa. I tu jest moment krytyczny, bo umykają



→ nam z pola widzenia rodziny z tym doświadczeniem.

Warto byłoby zapytać przedstawicieli rządu, decydentów, komendantów o priorytet przeciwdziałania przemocy domowej i o działania, które w tej sprawie podjęli. Także o środki finansowe, które na te działania przeznaczyli. Ten temat jest pomijany.

Czy zmienia się obraz osób z doświadczeniami przemocy domowej?

Na takie osoby wciąż patrzy się podejrzliwie. I nawet jeśli coraz mniej jest komentarzy, że same są sobie winne, to brakuje podejścia rozumiejącego, że w takiej sytuacji może znaleźć się każdy. Osoby, którym udało się wyjść z przemocy domowej, rzadko też chcą dzielić się tym, że im się powiodło.

W Polsce brakuje tego, co w wielu krajach Europy funkcjonuje jako społeczne wsparcie – zbierania relacji osób z doświadczeniami przemocy domowej, które opowiadają o tym, jak ważna była dla nich reakcja sąsiada czy pracownika społecznego. Jak im pomogła w najgorszym momencie, albo wręcz uratowała życie. Czyli historii, gdzie wsparcie państwa, społeczeństwa, pomaga wyjść z przemocy domowej. Pozytywnych przekazów, które mogłyby także wspomóc osoby pracujące w tych instytucjach i realizujące trudne zadania. Dodać im wiatru w żagle, bo to trudna i obciążająca psychicznie praca.

„Mów o tym, co dzieje się w domu” – to przekaz zespołu Dagadana w teledysku, który miał premierę na 30-lecie „Niebieskiej Linii”. Czy widać zmianę pokoleniową w mówieniu o przemocy domowej?

Obserwujemy, że dzisiejsi dwudziestolatkowie dostrzegają ją zdecydowanie wyraźniej. W poprzednich pokoleniach obawa przed stygmatyzacją była dużo większa. Mniej było możliwości korzystania z fachowej pomocy. Świadkowie przemocy często nie zgłaszali jej także w obawie przed pogorszeniem sytuacji osób pokrzywdzonych. Młodzi nie mają trudności w nazywaniu tego, czego są świadkami. To budujące i dające nadzieję.

© Rozmawiała ANNA GOC



Psy wojny

EWA ZGRABczyńska

ZWIERZĘTA | Natalia znalazła ją w zgłiszczach spalonego ukraińskiego domu. Głodną, wynędzniałą i przerażoną wybuchami bomb. W Poznaniu potężna suka stała się Ireną, matką zastępczą dla małych szopów.

LWY, NIEDŹWIEDZIE, TYGRYSY, WILKI i mnóstwo innych dzikich zwierząt. Ewakuacja dużych drapieżników z piekła wojennego zaczęła się ponad trzy lata temu, ale trwa nadal. Ocalone z ukraińskiej pożogi rękami Natalii Popowej, po krótkim pobycie w jej ośrodku pod Kijowem wyruszają w podróż po lepsze życie – do azyli i ogrodów zoologicznych w tych częściach świata, do których wojna nie dotarła. Na ich drodze znalazł się Poznań.

To największa i najtrudniejsza z moich misji ratunkowych, której bohaterami stało się kilkaset zwierząt uratowanych od śmierci z głodu i od działań militarnych.

Irena

W wojennej zawierusze zdarzało się, że w transportach przypominających arki Noego, przedzierających się do Polski i dalej, znajdowało się miejsce dla mniej egzotycznych podróżników, zmuszo-



EWA ZGRABCYŃSKA X3

Kolejno na zdjęciach: Irena, Akiki i Maks

psa cudem ocalonego od okrucieństwa wojny. Był optymizm suki powalający dosłownie, bo ledwo wypuściłam ją z klatki, ścięła mnie z nóg. Groziła mi śmierć przez zalizanie, Irena anektowała mnie na własność, skacząc po mnie i zupełnie nie zdając sobie sprawy z własnej mocy oraz ciężaru kości. Bo ten wielki pies składał się niemal z samych kości, chudzieńki jak portfel tuż przed wypłatą.

Zdałam sobie sprawę, że mam do czynienia z tzw. psem nieadopcyjnym: wielka jak kucyk, z wojenną traumą, barbarzyńską siłą i brakiem kindersztuby – Irena nie miała szans na dobry, zwyczajny polski dom. Smyczy i obroży nie znała.

Ale psia radość i pasja życia, gdy mogła wreszcie rozprostować wielkie łapy i pożegnać się bez żalu z zestresowanymi podróżą lwami, tryskała z niej litrami śliny. Po pierwszych minutach kontaktu z Ireną byłam zziębnięta, potargana i obklejona śluzem, z sinymi szramami na rękach od smyczy, którą Irena przeciągała z siłą konia pociągowego.

Los nie miał nade mną litości, tego psa nie dało się oddać znajomym „na jakiś czas” albo schować w biurze zoo. Irena pojechała do mojego domu, już wtedy pełnego zwierząt. Podróżowała z mordą na kolanach, zadowolona z życia, ale bojąca się każdego głośniejszego dźwięku.

Dom

Moje psy zdębiały na widok Ireny, nie pewne, co to za stworzenie śmierdzące lwim moczem do nich zawitało. Tymczasem ona radośnie do nich pogalopowała, skróciła powitanie do minimum, naruszając wszelkie zasady psiej etykiety: te psy, które nie zwały na jej widok, zostały ścięte z łap, zalizane i... pozostawione same sobie, bo Irena zobaczyła szopy i stanęła jak zaklęta (mój dom to również azyl dla inwazyjnych gatunków obcych, takich jak szop prac, jenot czy nutria). Przy siatce woliery stłoczyły się osierocone szopki, wychowane na smoczku i skazane ustawą o IGO na dożywotnie więzienie. Szopkom bardzo spodobał się wielki pies, wyciągały łapki, żeby go dotknąć i posmakować: szopie łapy to przecież arcydzieła detektorów wszelkich wrażeń zmysłowych, szopy nimi „widzą” i czują.

Podeszliśmy do woliery. Zrozumiałam, że Irena po prostu zakochała się od pierwszego wejrzenia. Przypadła do szopków, wylizła im pyszczki i łapki, położyła się przy woliery, dając się skubać, miętolić fafle, podgryzać. Jakby odnalazła dzieci specjalnej troski i dla nich obudziła się jej matczyzna miłość.

Nie znam historii tej suki, była wysterylizowana, a więc zapewne część życia spędziła w ukraińskim schronisku. Natalia znalazła ją w zgłiszczach spalonego domu. Głodną, wynędzniałą i przeżartą wybuchami bomb. Być może wcześniej urodziła szczeniąt, a może biologia obdarzyła ją wysoce rozwiniętym instynktem macierzyńskim. Bez względu na wszystko, szopki zyskały zastępczą matkę. Irena zajmowała się maluchami z niezwykłym oddaniem i cierpliwością: służąc za matę grzewczą, pole do zabaw i wspinaczek, nie dopuszczając innych psów i czuwając, żeby się maluchy nie oddaliły.

Z niewzruszoną cierpliwością znosiła też przeglądy uszu, zębów, próby oderwania kikuta ogona oraz zagłębienie tu i ówdzie. Podsuwała im nosem pokarm i zasypiała w wtulonych w siebie nosami maleństw. Jej oddanie zasługuje na wszystkie medale tego świata, bo małe szopki to diabły wcielone, a Irena kochała je bezgranicznie i bezwarunkowo. Zresztą one ją też. Gdy Zombiaczka, Jacuś z Agatką i Tomcio Paluch podrosły, więc z psicą nie uległa rozluźnieniu.

Ogień

Zapomniałam o jej wojennych przejściach aż do pierwszej chłodniejszej jesiennej nocy, gdy odpaliłam kominek. Przy pierwszym płomieniu i trzasku polana przeżarta Irena wyskoczyła z domu – wraz z zamkniętymi drzwiami, wyrwanymi z futryną. Skomlęca, wielka suka przypadła do szopiej woliery; nie słyszała moich kojących słów, nagle bała się dotyku.

Ale nie dotyku łapek szopich dzieci. Czwórka podrostków przypadła do matki, czule ją wylizując, delikatnie głaszcząc i dając wsparcie. Ja zaś, przedstawiciel najbardziej inwazyjnego gatunku na Ziemi, mogłam tylko z pokorą i wzruszeniem stać obok, obserwując tę międzygatunkową więź i empatię, która trwa do dziś.



nych do tułaczki koniecznością dziejową. Transporty lwów miauczały, auta pełne tygrysów i niedźwiedzi czekały. Bo jak tu zostawić na pastwę losu i rosyjskiego okrucieństwa domowe psy i koty...

W sierpniowym upale kolejne dwice przyjeżdżały na krótki postój do zoo w Poznaniu. Pośród metalowych klat z przeżartymi wielkimi kotami stała jedna ze stworzeń zupełnie dwicę nieprzymierzającym. W środku siedziała ona, Irena.

Na powitanie zaszczekała basem. Z przyciętymi uszami, kikutem ogona i dość płaską czaszką, wyglądała jak wyjęta żywcem z jakiejś opowieści, a nie jak żywy pies z wojenną traumą. Na pierwszy rzut oka rozmiarami nie odstawała od lwic, widać było geny ałabaja i kangala – psich olbrzymów.

Nie zdążyłam się jeszcze zapobiegawczo przeżegnać, przeżarta jej gabarytami, gdy Irena uśmiechnęła się do mnie pełną papą i spojrzała głęboko w oczy, jakby mówiła, że już mnie do końca życia nie opuści i uda się ze mną na koniec świata. Była tam wierność i ufność

Maks

→ Życie psów na Ukrainie to z jednej strony ogromna bezdomność, z jej głodem i chłodem oraz przepełnionymi schroniskami, a z drugiej ogromne hodowle „rasowców”, blichtr wielkich wystaw i handel w całej Europie cennymi szczeniakami. Hodowlane kenele to często i kilkadziesiąt psów w ręku jednego hodowcy. W domach i mieszkaniach utrzymuje się od kilku do kilkunastu psiaków, często towarzyszą im inne zwierzęta, jak wilki i borsuki. Wojna straszliwie te psy dotknęła: zbombardowane i opuszczone schroniska, śmierć z głodu i od ran, ucieczka właścicieli.

W Kijowie w zamkniętym mieszkaniu utknęła dwójka psów: pinczer Spinner oraz łajka jakucka Maksiu. Przez dwa tygodnie psom nie miał kto podać karmy i wody. Przypadek sprawił, że Natalia dowiedziała się o ich losie, po czym zapakowała w transport niedźwiedzi do Polski. Spinner trafił do Polskiego Teatru Tańca, głód odchorowywał jeszcze miesiącami. Maksiu został rezydentem w moim domu i rozpoczął karierę wioskowego śpiewaka operowego. Łajki to psy znane z niezwyklej siły i odporności (Jakuci używali ich w ekstremalnie niskich temperaturach do polowań i ciężkiej pracy w zaprzęgu), ale też... hałasu. Od rosyjskiego łajak („szczekać”) wzięła się ich nazwa: miały w trakcie polowań wytopić ofiarę i osadzić ją w miejscu szczekiem, aż do przybycia myśliwego.

Maksiu był ośmiomiesięcznym podrostkiem, ale – jak to odporna łajka – zregenerował się w kilka tygodni po przybyciu do

Akiki na spacerach
stąpała po ziemi tak,
jakby to było pole minowe.

**Okazało się, że podczas
nalotu dosłownie spłonęła
jej pod łapami podłoga.**

Polski. Przyjechał z łepetyną pełną szczeniackich głupot, zagryzając pół umeblowania w domu i ganiając za każdą muchą.

Żaden z dorosłych psów nie traktował młokosa poważnie i nie karcił. Jednakowoż wszystkie zwięwały i zwięwały do teraz, gdy w trakcie szaleńczych gonitw Maks nagle kogoś lub coś zobaczy. Zobaczy, stanie w miejscu, zadrze łeb i rozpocznie swą pieśń. Ni to szczek, ni to wycie, kakofonia dźwięków rozdzierająca uszy. Drze mordę na dwie wioski, wzniecając pożar szczeków najdramatyczniejszych, bo lisich. Lisy zamieszkujące azyl, uratowane z ferm, czują jakieś wyjątkowe powinowactwo z jego skowyczącą duszą i włączają się w chór. Brzmi to jak oratorium dusz potępionych, bo lisi szczek to śmiechy i chichoty. Maksiu chórowi nadaje ton, bierze górne rejestry, ale lisy nie ustępują. Ostatnim akordem koncertu staje się gardłowe hau, kiedy uratowana ze schroniska-mordowni Carmen, babcia bernardynopodobna, obudzi się i w swej demencji przypomni, że tkwi w niej pies strażnik. Wtedy zapada cisza jak makiem zasiał.

Akiki

Wśród psów hodowanych na Ukrainie dużą popularnością cieszyły się akity. Jedną z większych hodowli, posiadającą kilkadziesiąt osobników, została zbombardowana na początku wojny. Ocalało tylko kilka psów. I one mogły wyostać się z piekła dzięki ewakuowanym lwom. Jedną z suczek była bardzo zamknięta, wycofana. Jak na stabilną emocjonalnie i zdystansowaną do świata akity, bardzo wyraźnie okazywała stres. Bała się... stąpać po ziemi. Kolejny pies nieadopcynny już różnicy mi nie czynił, więc...

Próbowałam sunię rozgryźć. Bała się wchodzić do mojego domu, na spacerze bardzo uważnie wybierała miejsce, w którym postawi łapę. Wyglądało to tragicomicznie, bo pies dreptał jak po polu minowym. Próbowałam dowiedzieć się, co spowodowało takie zachowanie. Odpowiedź była prosta i tragiczna: psom dosłownie spłonęła pod nogami podłoga, niektóre z nich spaliły się żywcem. Akiki ocalała. Od tego czasu rozkładałam jej dywany i dywaniki aż po wyjście do ogrodu, tak żeby nie musiała dotykać gołej podłogi – wciąż bardzo się jej boi. Nadal uważnie stąpa, ale kiedy pasja życia bierze górę – biega jak szalona i bawi się tak samo jak psy, które nie doświadczyły wojny.

Ale wojna wciąż trwa, wyniszcza i zbiera żniwo pośród zwierzęcych ofiar: dzikich i oswojonych, egzotycznych i domowych, pojedynczych i całych populacji. A wszystko przez najbardziej inwazyjny gatunek na Ziemi: człowieka.

© EWA ZGRABczyńska

FOT. GRAZYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**TYCZNIK
POWSZECHNY**

**Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!**

ZŁOTY WIEK

O życiu osób dojrzałych, opiece nad seniorami i roli starszego pokolenia w kulturze i polityce

Prowadzi MAREK RABIJ



dowiedz się więcej!

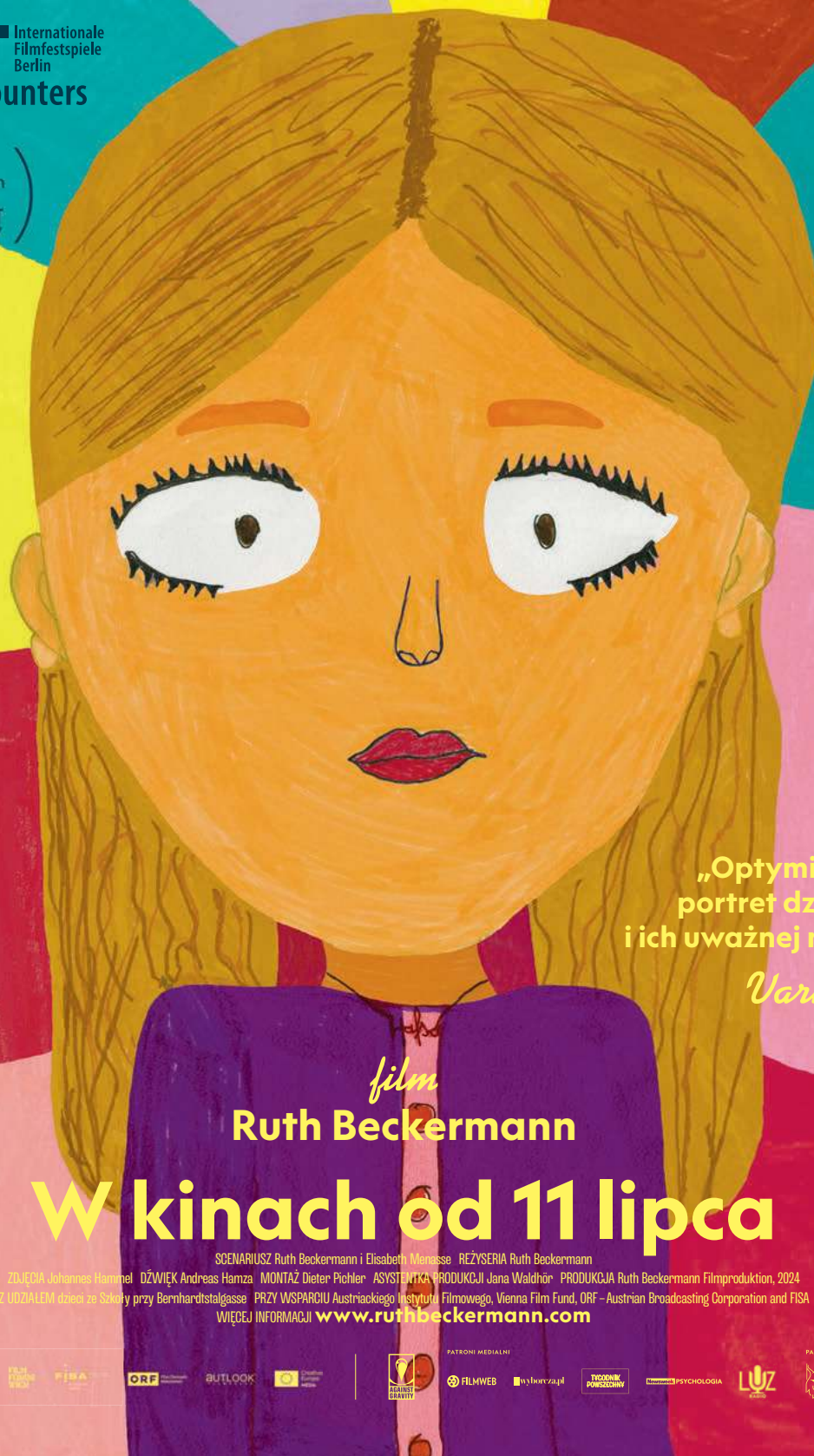


TygodnikPowszechny.pl/newsletter

Dzieci z Favoriten

Berlinale
74th Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Encounters

2025
OFFICJALNA SELEKCJA
22nd Millennium
DOCS
AGAINST
GRAVITY



„Optymistyczny
portret dzieciaków
i ich uważnej nauczycielki”

Variety

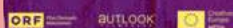
film

Ruth Beckermann

W kinach od 11 lipca

SCENARIUSZ Ruth Beckermann i Elisabeth Menasse REŻYSERIA Ruth Beckermann
ZDJĘCIA Johannes Hammel DŹWIEK Andreas Hamza MONTAŻ Dieter Pichler ASYSTENTKA PRODUKCJI Jana Waldhör PRODUKCJA Ruth Beckermann Filmproduktion, 2024
Z UDZIAŁEM dzieci ze Szkoły przy Bernhardstalgasse PRZY WSPARCIU Austriackiego Instytutu Filmowego, Vienna Film Fund, ORF – Austrian Broadcasting Corporation and FISA
WIĘCEJ INFORMACJI www.ruthbeckermann.com

REKLAMA



PATRONI MEDIALNI



PARTNERZY



POSTER-DESIGN: GÖRNET TYPE CO.

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy, sygn. II Ns 1087/21, toczy się postępowanie z wniosku Jolanty Bronis-Antonkiewicz z udziałem Renaty Rubaj, Patryka Rubaja, Kingi Rubaj i Anastazji Rubaj o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Rubaju, zmarłym 17 maja 2014 r. w Crawley w Wielkiej Brytanii, stanowiącym jego ostatnie miejsce zwykłego pobytu.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Gliwicach toczy się pod sygnaturą I Ns 146/24 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Mizia, synu Jana i Marty, zmarłym w dniu 16 sierpnia 2019 r. w Sierakowicach, ostatnio stale zamieszkałym w Sierakowicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłego, by w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 273/24 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Komar, synu Bolesława Komara i Anny z domu Niewiadomskiej, urodzonym 3 stycznia 1902 r. w Wilnie, ostatnio stale zamieszkałym w Wilnie, zmarłym w dniu 28 lipca 1941 r. na terenie byłego ZSRR.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Gliwicach toczy się pod sygnaturą I Ns 252/23 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Zajdel, synu Stanisława i Franciszki, zmarłym w dniu 30 grudnia 2021 r., w Gliwicach, ostatnio stale zamieszkałym w Gliwicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłego, by w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 738/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Nowickim, synu Ryszarda i Krystyny z domu Łapińska, zmarłym w dniu 24 września 2021 r. w Sheffield, ostatnio stale przebywającym w Workop.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie pod sygnaturą akt VII Ns 492/22 toczy się sprawa z wniosku m.st. Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Grzegorz Demianiuku, zmarłym dnia 5 kwietnia 2020 r. w Warszawie, ostatnio zamieszkałym w Warszawie przy ul. Szwedzkiej 17.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

REKLAMA

 **Kraków**

**PLENEROWE
KINO
LETNIE** **W MOCAK-U**

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

 **MUZEUM
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
W KRAKOWIE
MOCAK**

**W KAŻDY WAKACYJNY PIĄTEK
O GODZ. 21 ZAPRASZAMY NA LEŻAKI
DO PODCIENI MOCAK-U**

WIECEJ INFORMACJI
I BILETY ONLINE



PARTNER GŁÓWNY WYDARZENIA



PATRON GALERII RE



PARTNER MEDIALNY



PROJEKTOR LASEROWY ZAKUPIONO DZIĘKI PROJEKTOWI „WZMOCNIENIE OFERTY MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK POPRZECZ ZAKUP NOWOCZESNEGO SPRZĘTU MULTIMEDIALNEGO” WSPÓŁFINANSOWANEMU PRZEZ UNIE EUROPEJSKĄ W RAMACH REGIONALNEGO PROGRAMU OPERACYJNEGO WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO 2014-2020



OLGA

Drenda: W przeklętej szympansiarni



ANKIETY DOTYCZĄCE ŻYCIA OSOBISTEGO naszego społeczeństwa to temat-samograj. Wszak każdy jakieś życie prywatne, lepsze lub gorsze, ma i może się ustosunkować do uzyskanych wyników. Tak stało się z ogłoszonymi przez CBOS wynikami badania „Życie towa-

rzyskie i uczuciowe młodych Polaków”, które komentował m.in. prof. Ryszard Szarfenberg. Wśród pytań zadanych ankietowanym znalazło się i takie, w którym należało podać najważniejsze kryteria wyboru kogoś na partnera czy partnerkę. Odpowiedzi jawią się jako umiarkowane, zdroworozsądkowe i wręcz odświeżająco, jak na epokę epatowania sensacją, przyjemnie nudne.

I mężczyźni, i kobiety podobnie cenią sobie „dobry charakter”, „spokój w relacji” i „wspólne cele życiowe”. Po stronie męskiej padało więcej życzeń dotyczących urody, ale mimo wszystko nie był to priorytet ankietowanych. Zupełnie jakby odpowiedzi udzielali ludzie odpowiedzialni i dojrzali.

Można byłoby sobie pomyśleć: ależ to normalne, zupełnie jak w życiu! – gdyby nie ciekawość, co o badaniu sądzą ludzie (i boty, gdyż działa się to wszystko w internecie). Tam sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej, kipiąc od podejrzliwości i zgorzknienia. Głosy twierdziły, że deklaracje to humbug i matriks, za którym skrywa się rzeczywistość pełna bezdusznych materialistek i obleśnych drani, zainteresowanych jedynie – odpowiednio – milionerami albo miss świata. Nie ma w ogóle

*A czy te parę
łączy zaufanie,
czy iluzja?*



OLGA DRENDA

czegoś takiego jak sympatia, przyjaźń czy prosta chęć budowy wspólnego frontu przeciw samotności, nie mówiąc o miłości – są tylko pieniądze, narządy płciowe i zimna kalkulacja. Oni to przejrzeni. A kto chciałby wierzyć, że jest inaczej, na pewno jest tak naiwny, że zaraz okradną go na wnuczka.

Takie produkty uboczne rozmaitych badań bywają ciekawsze od samych badań, gdyż mówią nam o pewnej potrzebie. W tym przypadku potrzeba ta nosi imię: przyznajcie mi, że wszystko to kłamstwo. Ten, kto ją wygłasza, pragnie potwierdzenia, że żyje w świecie z zasady podłym, a co gorsza, w świecie, w którym podłość tę zakłamują ludzie względem potencjalnych towarzyszy życia, siebie samych oraz ankieterów CBOS.

Oczywiście, żyją wśród nas ludzie wyrachowani, poządlivi i chciwi. Są i tacy, którzy specjalizują się w mydleniu oczu, i tacy, którzy święcie wierzą w kłamstwo, które sami sobie wmówili. Ale zapewne częściej świat dookoła uparcie nie chce potwierdzać, żeby była to norma, bo zupełnie zwyczajni, niedoskonalci, nieprzypominający Barbie ani Kena, zarabiający kiepskie pieniądze ludzie wciąż dobierają się w pary na podstawie tego, że dobrze czują się w swoim towarzystwie albo mają podobny pomysł na pozbawione fajerwerków, względnie satysfakcjonujące życie. A w szczęśliwej godzinie nigdy nie wiemy, kto wyda się nam urodziwy – choć już Irena Gumowska wyjaśniała w „ABC dobrego wychowania”, że od wymiernych przymiotów urody większe znaczenie ma tak ulotna kategoria jak wdzięk. Wystarczy jednak tych przykładów nie zauważać, by spokojnie cieszyć się swym cynizmem i deklarowanym brakiem złudzeń.

Być może z tej potrzeby da się coś wyczytać między wierszami o osobistym położeniu mówiących, ale takie wróżbo-diagnozy na odległość zawsze wydają mi się niecelne i niezbyt uczciwe. Ciekawsze jest to, dlaczego myślą, że innym wypada kłamać, im zaś – wypada przedstawiać najgorszy możliwy scenariusz. Albo dlaczego uważają obraz bardziej pesymistyczny, a nie średni czy taki sobie, za z gruntu prawdziwy. Wreszcie – jak deklaracje te mają się do rzeczywistości, w której mówiący przebywa? Wszak i cynicy żyją w związkach, zapewne nierzadko małżeńskich, i możliwe, że są z nich zadowoleni. Może nawet mówią czasem komuś, że kochają. Jak do tego mają się ich wypowiedzi o „prawdzie, której nie wypada ujawniać”? Czy myślą „wszyscy to płytkie kreatury, ale ja to co innego”? A może chcą subtelnie orzec mężowi czy żonie: „przebac mi Brunhildo, jestem tak na prawdę prostakiem, a może i prosiakiem”?

Być może banał i proza życia, w której jest miejsce na ludzkie uczucia, może pozbawione wysokich temperatur, ale dające zadowolenie i spokój ducha, jest dla niektórych ludzi nie do zaakceptowania. Nie pasuje do chodliwej wizji losu ludzkiego jako przeklętej szympansiarni. Wizja ta, być może, obiecuje jakąś asekurację, ochronę przed cudzym kłamstwem. Ale fałsz przebrany za „chłodny realizm” – to dopiero przewrotne. ©

Olga Drenda jest etnologką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.



KARPACKI TYGRYS Z ZADYSZKĄ

Prawie dwie dekady, które minęły od ich wejścia do Unii, to dla Rumunów czas rosnącego dobrobytu. Teraz to się kończy, a na wstrząsach ekonomicznych zyskują narodowcy. Co z tego wyniknie? Prześledźmy tę historię.

KAMIL CAŁUS Z BUKARESZTU

PO SIEDMIU MIESIĄCACH GŁĘBOKIEGO kryzysu politycznego, który zaczął się z chwilą unieważnienia przez Sąd Konstytucyjny wyborów prezydenckich z końca 2024 r., rumuńska scena polityczna w końcu wraca do równowagi. Kruchej równowagi. Pod koniec czerwca – po trwających ponad miesiąc niełatwych negocjacjach – przegłosowano bowiem wotum zaufania dla rządu premiera Ilie Bolojana, lidera centro-

prawicowej Partii Narodowo-Liberalnej (PNL).

Nowy gabinet ma poparcie szerokiej koalicji – powołanej pod auspicjami Nicușora Dana, nieco miesiąc wcześniej zaprzysiężonego nowego prezydenta. Zrzesza ona właściwie wszystkie ugrupowania proeuropejskie zasiadające w parlamencie, od prawa do lewa. Poza Partią Narodowo-Liberalną nowego premiera w jej skład weszli liberałowie z bli-

skiego prezydentowi Związku Ocalenia Rumunii (USR), postkomunistyczni socjaldemokraci z PSD oraz reprezentująca mniejszość węgierską partia UDMR.

Narodowcy na fali

Złożona z tak różnorodnych ideologicznie, a niekiedy wprost zwalczających się środowisk politycznych, większość rządząca stoi teraz przed trudnym zadaniem: musi opanować narastające la-



Lider rumuńskich narodowców George Simion i jego sympatycy podczas nocy powyborczej w Bukareszcie, 4 maja 2025 r.

To ugrupowanie – narodowo-konserwatywne i niechętnie wobec Ukrainy (choć nie wprost prorosyjskie) – notuje obecnie 35-40 proc. poparcia. Co czyni je najpopularniejszą partią, wyraźnie wyprzedzającą kolejne na liście PSD czy PNL (notujące po 16-17 proc.).

Jak Rumuni dogonili Polaków

Rumunia uważana jest dość powszechnie za przykład historii sukcesu transformacji ekonomicznej. Niektórzy mówią nawet o rumuńskim cudzie gospodarczym.

Trudno się z tym nie zgodzić – dość spojrzeć na liczby. Od momentu akcesji do Unii Europejskiej w 2007 r. aż do roku 2024 rumuński PKB wzrósł ponad dwukrotnie, a przepaść między Rumunią a państwami Unii została w dużej mierze zasypana.

O ile jeszcze 18 lat temu rumuński PKB per capita (w tzw. PPS, czyli według standardu siły nabywczej) był stosunkowo niski i wynosił zaledwie około 44 proc. średniej unijnej, o tyle w 2024 r. osiągnął wysokość aż 78 proc. tejże średniej. Pod tym względem Rumunia wyprzedziła więc tradycyjnie zamożniejsze od niej kraje Europy Środkowej, na czele z Węgrami – co zresztą wywołało w Bukareszcie niezwykle entuzjazm – i dogoniła Polskę.

Odczuli to także obywatele: w tym samym okresie wynagrodzenia brutto wzrosły ośmiokrotnie, z około 1230 lei na początku roku 2007 do 9415 lei (równowartość ok. 7,6 tys. zł) w 2024 r.

Sukces jednak na kredyt?

W ostatnim czasie „karpacki tygrys” zaczął jednak łapać zadyszkę.

Tempo wzrostu gospodarczego – utrzymującego się w ciągu ostatnich 20 lat średnio na poziomie 3,5 proc. rocznie – spadło w roku 2023 do 2,4 proc., a w 2024 – do zaledwie 0,9 proc. Wedle prognozy Banku Światowego kolejne dwa lata także będą należeć do „chudych”: w roku 2025 i 2026 gospodarka ma wzrosnąć o skromne 1,3 proc. i 1,9 proc.

Kluczowym problemem jest przede wszystkim stan finansów publicznych i rosnące w błyskawicznym tempie zadłużenie kraju. Od 2020 r. Rumunia objęta jest tzw. unijną procedurą nadmier-

nego deficytu, uruchamianą, gdy różnica między wydatkami a wpływami budżetowymi w danym roku przekracza 3 proc. PKB albo gdy ogólne zadłużenie jest wyższe niż 60 proc. PKB.

O tym, jak bardzo Rumunia nie radzi sobie z opanowaniem tej sytuacji, niech świadczy fakt, że mimo objęcia jej wspomnianą procedurą (co teoretycznie powinno sprzyjać stopniowemu ograniczaniu zadłużenia), deficyt budżetowy tego państwa wyniósł w 2024 r. rekordowe 9,3 proc. (dla porównania: w 2023 r. było to „zaledwie” 6,6 proc.).

Rośnie zadłużenie, rośnie inflacja

Jeszcze większe wrażenie robią wskaźniki długu publicznego. O ile w 2019 r. wynosił on tylko 35 proc. PKB, o tyle w 2024 r. osiągnął już poziom 55 proc., a w tym roku (lub najpóźniej w kolejnym) przekroczy na pewno 60 proc. Na Rumunach – którzy za sprawą szaleństwa polityki oszczędności, zaprowadzonej przez komunistycznego dyktatora Nicolae Ceaușescu w latach 80. XX w. weszli w erę demokratyczną z zerowym długiem – liczba ta nie może nie robić wrażenia.

Największy skok zadłużenia Rumunia odnotowała – podobnie zresztą jak wiele innych krajów na świecie – w trakcie pandemii. Obfite programy pomocowe, mające chronić przedsiębiorców przed skutkami lockdownów, zadziały, ale były niezwykle kosztowne. W efekcie w 2020 r. dług skoczył ze wspomnianych 35 proc. do niemal 47 proc. PKB.

Po pandemii – zwłaszcza w latach 2022-23 – przyszła z kolei wysoka inflacja, znana również z Polski i związana m.in. z rosnącymi cenami energii. W końcu 2022 r. sięgnęła tutaj niemal 17 proc. Inflacja zaś zmusiła rząd do dużych podwyżek wynagrodzeń w sektorze publicznym i większej rewaloryzacji świadczeń emerytalnych i rent.

Kasę państwa drenowały także – na kredyt – dopłaty do rachunków za prąd i gaz, które miały ulżyć przedsiębiorcom i odbiorcom indywidualnym.

Podatki: niskie i nieściągane

Jednocześnie, mimo rosnących kosztów, wpływy do budżetu pozostawały na dość niskim poziomie. Jest tak z dwóch powodów.

winowo zadłużenie Rumunii i zrestawować gospodarkę, która popada w stagnację.

Oznacza to jednak konieczność wprowadzenia szeregu niepopularnych reform – w tym istotnej podwyżki podatków, połączonej z cięciami w wydatkach publicznych oraz ze zwolnieniami w sferze budżetowej.

To zaś nie tylko będzie prowokować napięcia wewnątrz większości rządzącej, i tak skłóconej – część wchodzących w jej skład partii ponosi przecież odpowiedzialność za obecną sytuację finansową kraju, za co pozostałe partie słusznie je krytykują. Co równie ważne, może to wzmocnić eurosceptyczny Związek Jedności Rumunów (AUR), który w ostatnim roku zyskuje na popularności.

ANDREEA ALEXANDRU / AP PHOTO / EAST NEWS

→ Pierwszym i najbardziej bodaj oczywistym były niskie podatki, którymi od wielu lat wciąż – przynajmniej: na razie – cieszą się Rumuni i firmy tutaj zarejestrowane. W Rumunii PIT jest liniowy i wynosi zaledwie 10 proc. (gdy w Polsce najniższy próg podatku od osób fizycznych to 12 proc.), a stawka CIT to 16 proc., co czyni ją jedną z najniższych w Unii. Niski jest też podatek VAT – podstawowa stawka to 19 proc. – oraz podatek od dywidend (wynosi 10 proc.).

Drugim powodem jest nieefektywność aparatu fiskalnego i wynikająca stąd niska ściagalność podatków. Najlepiej widać ją na przykładzie tzw. dziury VAT-owskiej, która przybrała tu rozmiary absurdalne. Komisja Europejska szacuje, że do skarbu państwa co roku nie trafia ponad 30 proc. środków, które powinny zostać wpłacone z tytułu podatku VAT.

Dla porównania: w 2022 r. wskaźnik ten wyniósł w Polsce 8,4 proc., a ogółem w Unii zaledwie 7 proc.

Nowy rząd planuje reformy

Aby opanować sytuację i powstrzymać finansową erozję państwa, nowy rząd Ilie Bolojana ogłosił projekt pakietu reform, który natychmiast wzbudził emocje.

W centrum propozycji jest bowiem znacząca podwyżka podatków. Już od sierpnia podstawowa stawka VAT ma wzrosnąć do 21 proc., a od stycznia 2026 r. obowiązywać zacznie 16-procentowy podatek od dywidend. Podatek obrotowy, do którego płacenia (równoległe z podatkiem CIT) zobowiązane są banki, ma wzrosnąć z 2 do 4 proc.

Dalej: fiskus zamierza też sięgnąć do kieszeni tych, którzy zarabiają na obrocie kryptowalutami. O 10 proc. wzrosną także i tak nie najniższe akcyzy. Choć Rumunia jest jednym z największych w Unii producentów ropy, to już dziś (ze względu na obciążenia podatkowe) kierowcy muszą płacić za litr benzyny i oleju napędowego co najmniej o kilka, a niekiedy kilkanaście procent więcej niż ich polscy koledzy.

Obciąć, uszczelnić, ścigać!

Ale to nie koniec. Nowy rząd zapowiada też ostrą dietę dla sektora publicznego: w planach są szeroko zakrojone cięcia budżetowe, w tym redukcja zatrudnienia w administracji. Dokładne liczby nie są w tym wypadku znane (mówi się nawet

o redukcji o jedną piątą), ale wiadomo już, że od 2026 r. zamrożone zostaną niemal wszystkie konkursy na wakuujące stanowiska urzędnicze.

W ramach oszczędności rząd zapowiedział także zwiększenie obciążeń dla nauczycieli poprzez dołożenie im dodatkowych dwóch godzin dydaktycznych w tygodniu (przy zachowaniu obecnego wynagrodzenia).

Uszczelnieniu ma podlegać również system poboru podatków – w tym niewydolna dziś ANAF, czyli agencja zajmująca się walką z oszustwami skarbowymi, oskarżana m.in. o dopuszczenie do wspomnianej wcześniej luki VAT-owskiej. Dojdzie także do zamrożenia (przynajmniej do 2026 r. włącznie) emerytur i wynagrodzeń w sektorze publicznym.

Niezależnie od tych zmian rząd wygasza też obowiązujące od ponad trzech lat mechanizmy pomocowe, w tym wspomniane dopłaty do prądu i gazu; te oficjalnie przestały być stosowane z końcem czerwca. Szacuje się, że instrument ten kosztował budżet w sumie ok. 6 mld euro (tj. 1,5 proc. rocznego PKB).

Czarny scenariusz

Nowy rząd tłumaczy, że podwyżki i cięcia są niezbędne, bo dalsze zamykanie oczu na rosnący deficyt będzie mieć katastrofalne skutki dla całej gospodarki i budżetu.

W minionym tygodniu minister finansów Alexandru Nazare wygłosił swego rodzaju exposé, malując nie tylko obraz ponurej sytuacji finansów, ale wskazując też na zagrożenia z niej wynikające. „Rumunia objęta jest unijną procedurą nadmiernego deficytu od pięciu lat. Jeśli nie podejmimy zdecydowanych działań, stracimy dostęp do środków unijnych i zaszkodzimy naszemu ratingowi inwestycyjnemu” – tłumaczył Nazare.

Minister dał do zrozumienia, że utrata zaufania inwestorów i zawieszenie funduszy unijnych (w tym środków z Krajowego Planu Odbudowy) mogą wpędzić kraj w jeszcze poważniejsze tarapaty. Dość powiedzieć, że niższy rating utrudnia zdobywanie pieniędzy na finansowanie zadłużenia i de facto zwiększa koszty jego obsługi.

„Przez zbyt wiele lat ignorowaliśmy problemy i teraz płacimy za to cenę. Pa-

kiet reform (nowego rządu – red.) nie jest motywowanym ideologicznie wyborem, lecz decyzją o przetrwaniu naszej gospodarki” – mówił minister, dodając że pięć lat w procedurze nadmiernego deficytu uczyniło z Rumunii kraj postrzegany jako niepoważny i lekkomyślny.

Reformy mają doprowadzić do stopniowego ograniczania deficytu i około roku 2030 wyłączyć Rumunię spod wspomnianej procedury.

Polityczna zawierucha

Przychylając się do oceny ministra, rumuńscy komentarzy zwracają uwagę, że w wizerunek kraju uderzyły ostatnio nie tylko problemy związane z długiem i spowolnieniem gospodarczym. Cieniem na image'u „karpackiego tygrysa” położył się – trwający od grudnia 2024 r. – okres politycznej niestabilności, niekiedy przybierającej formy karykaturalne.

Przypomnijmy: najpierw w grudniu 2024 r. Sąd Konstytucyjny podjął kontrowersyjną decyzję o anulowaniu wyborów prezydenckich, w których w pierwszej turze sukces odniósł Călin Georgescu – prawicowy radykał sympatyzujący z Rosją, wcześniej szerzej nieznanym. Potem tenże sąd wydał orzeczenie przedłużające kadencję prezydenta Klausa Iohannisa (równie wątpliwe). Mimo niskich rankingów popularności i płynących z różnych stron sceny politycznej wezwań do rezygnacji, rozpaczliwie trzymał się on urzędu. Ostatecznie Iohannis podał się do dymisji, a w urzędzie zastąpił go tymczasowo obecny premier Bolojan.

Nie był to jednak koniec zamieszania. Po pierwszej turze powtórzonych wyborów prezydenckich, w maju 2025 r., upadł rząd PSD-PNL, powołany ledwie kilka miesięcy wcześniej. Przyczyną była porażka wyborcza Crina Antonescu – wspólnego kandydata obu partii na prezydenta, który nie zdołał nawet wejść do drugiej tury.

Państwo pełniące obowiązki państwa

Jakby tego było mało, pogarszającemu się wizerunkowi rumuńskiej elity politycznej nie pomógł fakt, że przez kolejne miesiące nie była ona w stanie przedstawić wiarygodnych dowodów na rosyjską ingerencję w grudniowe wybory. Ingerencję, która stanowić miała w domyśle

główne uzasadnienie dla tak ostrej reakcji władz na sukces Georgescu.

O tym, w jak kuriozalnej i niesprzyjającej zachowaniu twarzy sytuacji znalazła się w pewnym momencie Rumunia, świadczyć może nagłówek jednego z lokalnych portali informacyjnych, opublikowany tuż po pierwszej turze powtórzonych wyborów. Brzmiał on: „Pełniący obowiązki przewodniczącego PNL został mianowany przez pełniącego obowiązki prezydenta Rumunii na stanowisko pełniącego obowiązki premiera”.

Faktycznie, Ilie Bolojan (pełniący obowiązki prezydenta) po rezygnacji dotychczasowego szefa rządu mianował na p.o. premiera Cătălina Predoiu, który chwilę wcześniej zastąpił Bolojana – gdy ten zajął chwilowo stanowisko głowy państwa – na fotelu przewodniczącego PNL. Sami Rumuni gubili się już w tej karuzeli stanowisk.

Wybuchowy potencjał

Przed nowym rządem stoją dziś więc trzy kluczowe i powiązane ze sobą zadania. Są to: naprawa finansów publicznych, re-

start gospodarki oraz odbudowa zaufania obywateli do dotychczasowej klasy politycznej oraz do instytucji państwa (w tym Sądu Konstytucyjnego).

Żadne z tych wyzwań nie będzie łatwe. Nie ulega wątpliwości, że planowane reformy spotkają się z oporem społecznym. Protesty grup zawodowych, które obawiają się skutków nowych regulacji fiskalnych i redukcji etatów, już się rozpoczęły – chociaż zmiany nie zostały jeszcze oficjalnie zatwierdzone. Trudno oczekiwać, aby w najbliższych miesiącach emocje miały opaść. A im silniejsze będą napięcia na ulicach (i spadki w sondażach), tym ostrzejsze będą konflikty w koalicji rządzącej.

Najbardziej wybuchowy potencjał kryje się w relacji między antysystemowym Związkiem Ocalenia Rumunii (USR) a „starymi” formacjami PSD i PNL. Dla Związku, który swoją tożsamość budował na ostrej krytyce „duopolu” rządzącego od lat 90. XX w., wspólne sprawowanie władzy z dawnymi przeciwnikami to eksperyment o wysokim ryzyku. Z kolei socjaldemokraci i liberałowie coraz czę-

ściej dają do zrozumienia, że są zmęczeni konfrontacyjnym i bezkompromisowym stylem partnerów ze Związku.

Czas gra na rzecz narodowców

W rezultacie rządowy układ trzyma w całości nie tyle wspólna wizja, ile wspólny strach – przed przyspieszonymi wyborami i marszem narodowców z AUR po władzę.

Bo w efekcie największym wygranym obecnego kryzysu wydaje się George Simion, stojący na czele tej partii. Choć przegrał on w maju prezydencki wyścig z Danem, to w drugiej turze uzyskał znaczące 47 proc. głosów – i nie może chyba narzekać na kształt obecnego powyborczego scenariusza.

Czas, narastający gniew społeczny i reformy, tyleż bolesne, co konieczne, a przy tym realizowane rękami jego oponentów – wszystko to gra dziś wyłącznie na jego korzyść.

© KAMIL CAŁUS

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, stale współpracuje z „TP”.

Żabka podbija Rumunię

Polskie firmy są tu widoczne na każdym kroku. A jedną z najbardziej widocznych jest Żabka, występująca jako Froo.

Planowane zmiany w systemie podatkowym mogą uderzyć w wizerunek Rumunii jako jednego z najbardziej atrakcyjnych dla inwestorów krajów Unii. W tym także atrakcyjnego dla przedsiębiorców z Polski, którzy w ciągu ostatnich lat czuli się tutaj doskonale. Świadczy o tym mnogość rodzimych marek na rumuńskim rynku.

NAJWIĘCEJ POLSKIEGO

KAPITAŁU skupiają w Rumunii branże spożywcza oraz odzieżowa, choć firmy znad Wisły coraz śmielej i skuteczniej rozpychają się także w sektorze bankowym i handlu detaliz-



Jeden z czterech tysięcy sklepów rumuńskiej Żabki. Bukareszt, czerwiec 2025 r.

nym. Bardzo mocną pozycję ma tutaj Grupa Maspex (spożywczy gigant na skalę europejską, właściciel m.in. Tymbarka i Lubelli). Maspex ostrzy sobie zresztą właśnie zęby na spółkę Purcari – to jeden z największych w regionie producentów win, notowany na bukareszteskiej giełdzie (główna winnica tej marki znajduje się w sąsiedniej Mołdawii).

DUŻYM GRACZEM lokalnym jest także firma LPP (właściciel takich marek jak Reserved, Sinsey i Cropp). W 2024 r. dysponowała ona w Rumunii ponad 250 sklepami i była trzecią pod względem obrotów grupą modową w tym kraju – po Inditexie, właścicieli Zary, oraz po Pepco. Warto przy tym zaznaczyć, że Pepco także jest na swój sposób rodzima: spółka zaczęła swoją działalność w Polsce, jej centrala znajduje się w Poznaniu, a akcje notowane są na warszawskiej giełdzie.

GDY IDZIE O BANKI, od początku 2025 r. na rynku rumuńskim działa korporacyjny oddział banku PKO BP. Inny znany polski fintech (tj. spółka działająca w sektorze technologii płatniczych i finansowych), BLIK, uzyskał zaś w październiku 2024 r. autoryzację Rumuńskiego Banku Narodowego. Ponadto w wielu rumuńskich

miastach można spotkać produkowane w Polsce autobusy marki Solaris czy tramwaje bydgoskiej fabryki PESA. Dostarcza ona też kolejom rumuńskim pociągi regionalne.

NAJBARDZIEJ RZUCAJĄCĄ się jednak w ostatnim czasie w oczy inwestycją o polskim rodowodzie jest sieć sklepów Żabka. A raczej Froo, bo to pod takim szyldem działają one w Rumunii od połowy 2024 r. Obecnie Froo posiada tutaj ponad 100 sklepów, ulokowanych w Bukareszcie, Konstancji i Pitești. Spółka szacuje, że docelowo na rynku rumuńskim mogłoby funkcjonować 4 tys. sklepów. Dla porównania: w Polsce, której populacja jest mniej więcej dwukrotnie wyższa od rumuńskiej, jest nieco poniżej 12 tys. sklepów sygnowanych charakterystycznym zielonym logotypem. © KC

Ziemie zabliźnione

TEKST I ZDJĘCIA

JULIUSZ PIELICHOWSKI

Z BOŚNI I HERCEGOWINY

BAŁKANY | Choć wojna w Bośni zakończyła się 30 lat temu, to bośniacko-serbskie pogranicze do dziś nie otrząsnęło się z bólu i cierpienia. Ale nie wszystko ulega tu przeszłości.

PRZEJAZD PRZEZ GRANICĘ CHORWACKO-bośniacką w Orašje przebiega sprawnie. Kontrola to formalność. Spojrzenie celnika na tablice rejestracyjne, sprawdzenie dowodu osobistego w bazie i można jechać.

Krajobraz się zmienia. Po bogatszych Węgrzech i wschodniej Chorwacji, w której ślady wojny sprzed 30 lat się zacierają – nawet w obróconym wtedy w gruzy Vukovarze – pierwsze kilometry po bośniackiej stronie przenoszą w inny świat. Jest wieczór. Skromne markety przy drodze sprawiają wrażenie prowizorycznych. Stacje benzynowe są już zwykle zamknięte.

Tu zaczynają się Bałkany

Po chwili kolejna granica, tym razem bez punktów kontrolnych. Łatwo przeoczyć powitalne tablice. Republika Serbska, autonomiczna część Bośni i Hercegowiny. W Lončari odbijam w lewo na Brczko. To niewielkie, ale kluczowe dla regionu miasto nad Sawą.

Wkoło ubogi rolniczy krajobraz. Samochody jadą powoli, gorliwość tutejszej policji jest słynna. Po kolejnych kilometrach pierwszy szok: na ścianie przydrożnego budynku wielka podobizna Ratko Mladicia, zbrodniarza wojennego. Pod nią domalowana litera „Z”, symbol rosyjskiego imperializmu.

Mijam kolejną granicę. To już Dystrykt Brczko: kondominium Federacji Bo-

śni i Hercegowiny i Republiki Serbskiej, utworzone jako bufor rozdzielający dwie części Republiki Serbskiej, oskrzydlaającej Federację od wschodu i zachodu. Na wieżdzie do miasta wita hotel Europa z roztraskanym neonem. Ruch na drodze się zagęszcza, ulice tętnią życiem. W pubie Tri Sobe (Trzy Pokoje) wręcz się na nie wylewa. Po raz pierwszy od przygranicznego Orašje na chodnikach znów widać kobiety w hidżabach.

Młodzi gospodarze mieszkania, w którym spędzę noc, są pełni nadziei. O Zachodzie mówią dobrze, co wśród Serbów nie jest oczywiste. Obok wznosi się nowy budynek Uniwersytetu Europejskiego.

Brczko lubi Polaków

Krótki spacer po mieście zdaje się świadczyć, że Boszniacy, Chorwaci i Serbowie są w stanie żyć obok siebie, choć napięcie nie brakuje. Dążenia separatystycznej Republiki Serbskiej, coraz śmielej artykułowane w ostatnich latach ustami Milorada Dodika, jej prezydenta, budzą obawy nie tylko po tej stronie Sawy.

Ale w Brczku jest spokojne. Gdy wieczorem pytam troje studentów o plany na przyszłość, nie wydają się zaprzęcać sobie głowy polityką. Tylko Esma, studentka ekonomii, chce wyjechać za granicę. Czy rozważa powrót w przyszłości do Bośni? Być może. Uśmiecha się, wymienia spoj-

rzeżenia z pozostałą dwójką. Na pewno nie do Brczka. Może do Sarajewa.

Następnego ranka wracam do Lončari. Tamtejszy kamieniarz z dumą potwierdza, że twarz na murze to Mladić. Patrzy, jak zareaguję. Na wieść, że jestem z Polski, kiwa głową z zadowoleniem. Polacy są tu lubiani, jak na całych Bałkanach.

W dolinach Republiki Serbskiej

Z Brczka ruszam na południowy wschód. Pojawiają się wzgórza. Na horyzoncie majaczą góry, z których Bośnia i Hercegowina słynie. Z powrotem w Republice Serbskiej. Ale tylko przez kilkanaście kilometrów. Jezioro zaporowe Sniježnica, jeden z bardziej malowniczych zakątków w okolicy, leży znów w granicach Dystryktu Brczko.

Zmianę przynależności administracyjnej najłatwiej zauważyć po barwach policyjnych radiowozów, których mnóstwo krąży po drogach. Zostawiam za sobą strome lesiste brzegi Sniježnicy i znów zagłębiam się w Republikę Serbską. Teren się obniża, odsłania się jedna z najpiękniejszych dolin całych Bałkanów.

Zvornik, którego zabudowania tłoczą się u stóp gór, położony jest nad samą Driną. Kilka minaretów świadczy o jego dawnych i obecnych mieszkańcach. Nie sposób zapomnieć o zbrodniach, które miały tu miejsce 30 lat temu, choć dziś nie ma po nich wielu śladów.



Podobizna Ratko Mladicia na jednym z budynków w Lončari. Republika Serbska w Bośni, 19 czerwca 2025 r.



*Odbudowana džamija (meczet) w Foćy i kwitnące lipy srebrzyste.
Republika Serbska w Bośni, 22 czerwca 2025 r.*

Uwagę przykuwa most Aleksandra I Karadziordziewicia, króla pierwszej, międzywojennej Jugosławii. Pilnujący go policjant zabrania wstępu. Obecnie most służy jako piesze przejście graniczne tylko dla lokalnej społeczności. Po drugiej stronie Driny, niecałe dwa kilometry dalej, na terenie Serbii leży Mali Zvornik.

Srebrenica

Ruszam w górę rzeki, która wije się majestatycznie między górami. Gdy raz za razem wyjeżdżam na światło dzienne z niezliczonych tuneli, oślepia seledynowy odcień wód Driny. Wiele domów w mijanych wsiach stoi pustych, choć niektóre miejsca są rajsko piękne. Zewsząd wyziera bieda. W mizernych, spalonych słońcem ogródkach krzątają się głównie starzy ludzie.

W Bratunacu porzucam Drinę i ruszam na południowy zachód w stronę Potočari i Srebrenicy. Myślę o oswojonych już obrazach egzekucji mężczyzn i chłopców na pobliskich łąkach, dokonanych latem 1995 r., które zszokowały ówczesną Europę.

Srebrenica to dziś miasto-widmo. W ciasnej, klaustrofobicznej dolinie wciąż mieszka kilka tysięcy ludzi. Na każdym kroku wyczuwalna jest jednak nieobecność. Liczne domy są opuszczone. Gdzieniedzie na zboczach wzgórz bieleją muzułmańskie cmentarze. Pod miejsco-

wym sklepem atmosfera podejrzliwości. Kilka par oczu taksuje mnie z balkonów. Tylko wszechobecne koty zdają się nie zwracać na nic ani na nikogo uwagi.

W położonym kilka kilometrów niżej Potočari mieści się największy cmentarz ofiar z 1995 r. i muzeum-miejsce pamięci. Dobiegają końca przygotowania do obchodów 30. rocznicy masakry, zjeżdżają się rodziny zamordowanych. Na parkingu przed nekropolią stoją autokary.

Z przejeżdżających aut miejscowych dobiega głośnie muzyka. Jeden z kierowców ostantacyjnie trąbi i krzyczy coś przez okno starego volkswagena. Uśmiecha się drwiąco, ale i niepewnie. Nikt nie zwraca na niego uwagi.

Sarajewo: tu jest Bośnia

Łąki górującego nad Sarajewem masywu Jahoriny są w pełni rozkwitu. Orgia barw i zapachów. W dole pulsuje miasto, które – po latach odbudowy po wojnie z lat 1992-95 – jest politycznym, biznesowym i kulturalnym sercem Bośni i Hercegowiny.

Zabytkowa Baščaršija, niegdyś główny miejski targ, pełni rolę turystycznego centrum miasta. Ciasne uliczki toną w przybyszach z całego świata. Adi, prowadzący pensjonat i restaurację, mówi, że Sarajewo jest dziś najpiękniejszym miastem na całych Bałkanach, a widział wszystkie. Ma 60 lat i spędził tu całe życie. Podkreśla

z gospodarskim poczuciem wartości, że nigdy nie było piękniejsze.

Nie sposób się z nim nie zgodzić. Ze względu na położenie Sarajewo jest wręcz synonimem pięknego miasta na wzgórzach, choć w przeszłości położenie to bywało śmiertelną pułapką. Ale nie dziś. W piątkowy wieczór na sąsiadującej z Baščaršiją ulicy Zelenih Beretki, nazwanej tak w latach 90. na cześć ochotniczej formacji powołanej do obrony miasta, toczy się nocne życie. Jego rozmach może przyprawić o zawrót głowy.

Rozmawiam z młodymi Boszniakami. Sto metrów od nas stoi słynny hotel Europe, znany dawniej jako hotel Evropa. Pytam więc o Europę. Nigdzie w Bośni nastroje nie są tak prozachodnie jak tutaj. Gdy poruszam kwestię Republiki Serbskiej, wzruszają ramionami. Nie chcą o tym rozmawiać. Hana i Isa mówią wprost, że tu jest Bośnia i lepiej, by nikt tego nie próbował kwestionować. Isa ze śmiechem mówi, że i on stanąłby w obronie swojego miasta i kraju. Sarajewo to Bośnia, Bośnia to Sarajewo, dodaje.

Wkoło dudni muzyka. Aleja Maršala Tita płynie rzeka bez troskich ludzi. Na jednym z pobliskich budynków zawisł baner z zapowiedzią obchodów setnej rocznicy urodzin Aliji Izetbegovicia, prezydenta-filozofa, jednego z architektów współczesnej Bośni i Hercegowiny. Na wzgórzach miasto kładzie się do snu.

Don't forget Srebrenica '95

Ze stolicy ruszam znów nad Drinę. Pracownik stacji benzynowej w Rogaticy, słysząc, że jestem z Polski, obwieszcza dumnie: „My name is Dragomir, I'm from Republika Srpska”.

Na opłotkach miasteczka motocykliści subtelnie dają znak, bym zwolnił – dalej na poboczu stoi patrol policji. Jadę niepełną pięćdziesiąt na godzinę. Nie mają powodu, by mnie zatrzymać. Jednak ręka z lizakiem unosi się. Gdy podjeżdżam, widzę, jak policjanci zerkają na tablicę rejestracyjną. Uśmiechnięty dwudziestokilkulatek pyta:

– Sve OK?

– OK.

– Good luck.

Obywa się bez okazywania dokumentów. Wkrótce znowu jestem nad Driną. W górnym biegu wydaje się jeszcze bardziej zachwycająca niż w okolicy Zvornika. Most w Wieszegradzie, rozslawiony

→ powieścią Ivo Andrića, niezmiennie przyciąga turystów, choć tutaj są to głównie Serbowie.

Zawracam i ruszam w górę rzeki. Jadę do Goražde, miasta, o którym w latach 90. usłyszał świat. Dziś to jedyna w okolicy enklawa Boszniaków. Gdy parkuję w centrum, rozlegają się klaksony. Główną ulicą sunie orszak aut, na czele taksówka z włączonymi światłami awaryjnymi. Za nią biała suzuki vitara przyozdobiona różami, z flagą Bośni i Hercegowiny przywiązana do bagażnika na dachu. Nowożeńcy.

W restauracji rozmawiam z pracującą w kuchni kobietą, rocznik 1956. W pewnym momencie zaczyna kreślić palcem na kontuarze cyfry: 8371. Liczba ofiar masakry w Srebrenicy. W tej dolinie nie ma ucieczki od historii. Kobieta mówi o snajperach zabijających cywilów, jak w Sarajewie. Wymienia nazwy miejscowości, w których niegdyś żyli Boszniacy.

W Goražde jadę przed miejski stadion, na którego murze napisano sprayem: „Don't forget Srebrenica '95”. Na balkonie pobliskiego domu chłopiec mierzy do przechodniów z zabawkowego karabinu. Gdy łapiemy kontakt wzrokowy, peszy się i znika. Elewacja budynku upstrzona jest białymi kleksami zaprawy wypełniającej dziury po kulach.

Jugonostalgia

Wojna zakończyła się 30 lat temu, a jednak bośniacko-serbskie pogranicze do dziś nie otrząsnęło się z bólu i cierpienia. Na szczęście nie wszystko ulega tu prze-

szłości. W pobliskiej Fočy, leżącej na terenie Republiki Serbskiej, od kilku lat znów można podziwiać meczet Aladza. Zrównany wtedy z ziemią, niedawno został odbudowany. Uchodził za jeden z najpiękniejszych na Bałkanach. Teraz spowija go zapach wszechobecnych lip, których granice występowania nie mają nic wspólnego z tymi wytyczanymi przez żyjących w ich cieniu ludzi.

Ruszam do Trebinje, położonego na przeciwległym do Brčka, południowym krańcu Bośni i Hercegowiny. W dolinie Sutjeski, u podnóża majestatycznego szczytu Maglicia, trwają obchody rocznicy słynnej bitwy jeszcze innej, dawniejszej wojny. Drogą prowadzącą wzdłuż wysokogórskiej rzeki maszeruje czerwono-zielony korowód. Niektórzy uczestnicy mają na sobie repliki starych mundurów.

Pod monumentalnym pomnikiem upamiętniającym starcie państw Osi z partyzantami Tity zgromadziły się tłumy. Z oddali słychać śpiew. Większość świętujących przyjechała z Serbii. Z rozrzewnieniem wspominają czasy sprzed 1989 r. Jugonostalgia trzyma się najmocniej wśród Serbów.

Jeden z mężczyzn, Milan, gdy słyszy słowo „Polska”, przywołuje Wojciecha Jaruzelskiego, wielkiego, jak mówi, przywódcę. Gdyby utrzymał się przy władzy po 1989 r., mówi, Polska byłaby dziś wielkim krajem. A tak wszystko przepadło. Jak Jugosławia po śmierci Tity. Na pożegnanie bierze mnie w ramiona.

Sprzedawca z obnośnym kramikiem proponuje pamiątkowy proporczyk za jedyne cztery euro. Gdy pytam, ile to będzie w bośniackich markach, mówi, że też cztery. Czyli pół ceny? Pół. Jak za pół ceny, to biorę.

Talizman

W okolicach Trebinje krajobraz staje się już prawdziwie śródziemnomorski. Na wyschniętych jałowych górach miejscami dochodzi do samozapłonu traw i krzewów. Od kilku dni w całym regionie szaleją pożary.

Na mijanych tablicach z nazwami miejscowości raz za razem można dostrzec nabazgrane w pośpiechu litery „Z” i napisy chwalcące Rosję i Putina. W Trebinje gdzieś widać nieduże podobizny Mladicia, malowane od szablonu.

Ale to tylko jedna z prawd o tej okolicy, która słynie z gościnności. Wielu Serbów pracuje w chorwackim Dubrowniku, a turystyka, filar miejscowej gospodarki, jest dziś tym, co łączy bacznie obserwujące swoje poczynania narody.

W cieniu platanów i lip, jakimi obsadzone jest centrum starego miasteczka, trwa międzynarodowy festiwal folklorystyczny. Na kiermaszu kupuję egzemplarz „Mostu na Drwinie”. Wydana w 1945 r., powieść Andrića opowiada o innej Bośni, sprzed roku 1914, gdy społeczności muzułmańska i serbska żyły w pokoju, a tytułowy most je łączył.

Kupuję ją jako pamiątkę – i może talizman.

© JULIUSZ PIELICHOWSKI

Drina między Wiszegradem a Goražde. Republika Serbska w Bośni, 22 czerwca 2025 r.





Dilek Demir, sołtyska w Diyarbakirze. Turcja, wiosna 2025 r.

Dilek znaczy życzenie

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z DIYARBAKIRU

TURCJA | Miała 14 lat, gdy zmuszono ją do małżeństwa.

Dziś Dilek Demir jest sołtyską w Diyarbakirze i ratuje młode kobiety przed takim losem. Nielegalne śluby nieletnich wciąż są w Turcji społecznym problemem.

DIYARBAKIR, WSCHÓD TURCJI. Jest rano, właściciele dopiero otwierają sklepy i punkty usługowe w jednej z dzielnic, a bezpieczeństwa koty już domagają się od nich jedzenia. Nie jest tu pięknie, raczej szaro, jedyny kolorowy akcent stanowi leciwy czerwony renault z wielką naklejką z kultowego tureckiego filmu „Selvi Boylum Al Yazmalım” (Dziewczyna w czerwonej chuście).

Z mapą w dłoni docieram do skwerku, gdzie zgodnie z adresem powinno mieścić się biuro miejscowego muhtara – osiedlowego urzędnika, odgrywającego rolę podobną jak na wsiach sołtys. Ale widzę wszystko, tylko nie miejsce, do którego zmierzam. Jest za pięć dziewiąta, gdy wibruje mi telefon. Wiadomość: „Dotarłaś?”. Oddzwaniam, relacjonując, gdzie się znajduję, i już po chwili drzwi na parterze jednego z budynków otwierają się.

Macha do mnie mężczyzna. Proponuje kawę. – Mama zaraz będzie, ktoś ją zatrzymał po drodze. Zawsze ze wszystkimi rozmawia.

Mama. Dilek Demir, kobieta starsza ode mnie zaledwie o dwa lata, pierwsza

kobieta muhtarka w 900-tysięcznym Diyarbakirze, od 11 lat pełniąca urząd. Jest matką pięciorga dzieci. Pierwsze urodziła w wieku 15 lat, rok po tym jak ojciec zmusił ją do małżeństwa z 27-letnim mężczyzną.

Prawie jak ślub

– Ojciec po prostu mnie sprzedał, jak sprzedaje się bydło albo jakąś rzecz – powie mi Dilek Demir. Wysoka, wyprostowana, z zaraźliwym uśmiechem na twarzy. Mówi głośno, dobitnie. Nie płacze ani się nie użala, choć wspomnienia tamtych dni muszą przecież boleć.

W Turcji to nie panna młoda wnosi posag, lecz rodzina pana młodego płaci *başlık parası* rodzinie panny młodej. Często to po prostu rodzaj zabezpieczenia dla kobiety. Ojciec Dilek Demir wydał te pieniądze, które dostał za córkę, na używki.

– Któregoś dnia, gdy przyszłam ze szkoły, ojciec powiedział, że mam się przygotować, bo przyjdą prosić o moją rękę – wspomina Dilek Demir. Nie знаła mężczyzny, którego miałaby poślubić, a w domu nie było wcześniej na ten temat

żadnej rozmowy, więc nie uwierzyła. Ale okazało się, że ojciec mówi poważnie.

– Powiedziałam, że nie chcę wychodzić za mąż, że tego nie zrobię. Wciąż miałam na sobie szkolny mundur, gdy zaczął mnie bić kijem. Rozbił mi głowę patelnią. Bił tak mocno, że jej uchwyt został mu w dłoni.

Będąc dzieckiem, urodziłam dziecko

Dilek Demir pamięta, że matka, która stanęła w jej obronie, też została tamtego dnia pobita: – Chciała mi pomóc, ale nie mogła, sama była ofiarą przemocy. Zostałam panną młodą.

Ani wtedy, na początku lat 90. XX w., ani teraz 14-latką nie może w Turcji wyjść legalnie za mąż. Dopuszczalny wiek zawarcia małżeństwa to 18 lat (w szczególnych przypadkach i za zgodą rodziców – 16 lat dla dziewczyny i 17 lat dla chłopaka).

Toteż ślub Dilek odbył się jedynie przed imamem, islamskim duchownym. Ten nie miał oporów, by „zalegalizować” związek, jak uważał, w oczach Boga. Formalne małżeństwo, ważne w świetle prawa, zostało zawarte dopiero kilka lat później, gdy Dilek Demir była już matką dwojga dzieci. Pierwsze urodziła jako piętnastolatka.

Wspomina: – Byłam dzieckiem, a urodziłam dziecko. Ta ciąża nie była owocem relacji męża z żoną. To był efekt molestowania dziecka, bo byłam wtedy dzieckiem, niegotowym fizycznie i emocjonalnie na nawiązanie seksualnej relacji. Nie wiedziałam nic na ten temat, nie umiałam też opiekować się dzieckiem. Nie wiedziałam, co robić, gdy syn zachorował, nie wiedziałam, co robić, gdy dostał gorączki. Nie umiałam rozpoznać ataku padaczki. – Dilek do dziś wini się za niedosłuch syna.

Żona czy służąca

Dilek Demir na chwilę przerywa opowieść. Dzielnica zaczyna tętnić życiem, mieszkańcy przychodzą ze swoimi sprawami: rachunkami do opłacenia, podaniami, którym muhtarka nada bieg. Niektórzy zaglądają tylko, aby się przywitać.

Gdy goście wychodzą, kontynuuje opowieść. Dowiaduję się więc, że jako panna młoda Dilek musiała zamieszkać w domu męża. Jako najmłodsza kobieta w rodzinie robiła właściwie za służącą: – Byłam ich popychadłem. Traktowali mnie, jakbym miała kilka par rąk i mogła wszystko robić

→ jednocześnie. Przynieś, wynieś, podaj. Jeśli nie zrobiłam czegoś natychmiast, wybuchła awantura. Obsługiwałam ich, a w końcu także pięcioro dzieci.

Dilek twierdzi, że jej dzieci musiały być bardzo silne. Patrzyły na przemoc, której wobec matki dopuszczał się ojciec (o tym Dilek mówi najmniej). Patrzyły, jak nie dawał wystarczających środków na wyżywienie rodziny, za to urządzał awantury, że w domu znów jest makaron: – Któregoś dnia obrzucił mnie przekleństwami i kazał iść do sklepu po mięso. Poszłam, kupiłam, przygotowałam. On jadł, a dzieci patrzyły.

To dzieci, 17 lat po wymuszonym ślubie, stały się inspiracją do rozwodu. Zapytały ją kiedyś, czy długo jeszcze będzie to wszystko znosić.

Muhtar abla

– Po rozwodzie pracowałam, sprzątałam. Dostałam pomoc od państwa. Wyksztaliłam dzieci, poradziłam sobie ze wszystkim i jeszcze miałam siłę pomagać innym. Komuś wyłączyli światło, to załatwiałam, by włączyli. Ktoś nie zapłacił na czas rachunku, to szłam z tym rachunkiem, gdzie trzeba – Dilek wspomina, że już wtedy sąsiedzi mówili do niej *muhtar*

abla, siostru muhtarko. Bo choć nie pełniła tej funkcji formalnie, robiła więcej niż niejeden urzędnik.

Wspomina: – Do wyborów został mianowany, a ja postanowiłam kandydować. Ach, co to była za awantura! Kandydowało sześciu mężczyzn i ja. Niektórzy pluli mi pod nogi, że mam czelność startować, inni zrywali moje plakaty albo do rysowały na nich wąsy.

Doświadczyła rozmaitych rodzajów nękania, ale wygrała miażdżącą większością głosów.

Skrzynka życzeń

Jedną z pierwszych decyzji Dilek, której imię oznacza po turecku „zyczenie”, było zawieszenie przed gabinetem *Dilek Kutusu* – skrzynki życzeń. Prócz zwyczajnych prośb szybko zaczęły do niej trafiać błagalne listy od dzieci (najczęściej dziewcząt, ale nie tylko), których rodzice postanowili wydać je za mąż.

Dilek pamięta pierwszą taką kartkę. Dziewczynka podała adres i napisała, kiedy mają odbyć się jej zaręczyny. Dilek Demir poszła tam i po prostu zapukała do drzwi. – Zdziwieni zapytali, kim jestem i czego chcę, a następnie usiłovali mnie przepędzić, grożąc pobiciem.

Nie dałam się. Powiedziałam, że mogę pójść, ale wrócę z policją. I że wtedy za kratki trafi nie tylko niedoszły pan młody, ale i oni, rodzice.

Do zaręczyn nie doszło, do ślubu też nie.

– Ja niczego się nie boję. Stanę w obronie każdego dziecka, bo nikt nie stanął w mojej. Mogą mi grozić, mogą mi pluć pod nogi – mówi Dilek, która jest muhtarką od 11 lat. W tym czasie zapobiegła ponad 80 ślubom nieletnich. Czasem było trudno, czasem łatwiej: – Bywa, że z rodzicami da się porozmawiać, przekonać. Nie trzeba wtedy grozić ani straszyć, tylko pokazać opcje, wytłumaczyć, że warto jeszcze trochę poczekać.

Ojciec zrozumiał

– W Turcji żyjemy w patriarchalnym społeczeństwie. Nie chcą, abyśmy my, kobiety, się uczyły, bo gdy się uczymy, tracą tanie służące usługujące w domach. Nie chcą, byśmy się uczyły, bo wtedy nie zgadzamy się na takie traktowanie – mówi Dilek. Jej zdaniem to nie kultura ani religia zdecydowała o tym, co spotkało ją i wiele innych dzieci (jej brat też został zmuszony do małżeństwa jako dziecko), lecz brak człowieczeństwa.

– To czysty egoizm. Chcą pieniędzy, to sprzedają dziecko. To nie wynika z religii – przekonuje Dilek, która jest praktykującą muzułmanką. Po rozmowie pójdziemy razem do Ulu Cami, głównego meczetu miasta.

Opiekowała się ojcem, gdy zachorował. – Nigdy nie przeprosił. Ale gdy był już niesamodzielnym i zmieniałam mu pieluchy, powiedział, że taka kara spotkała go za to, co mi zrobił.

Czy byłby dumny, że o córce powstał film dokumentalny? – Raczej nie. Choć przynajmniej na łożu śmierci zrozumiał swoje błędy.

■■■

W ciągu ostatnich 18 lat liczba małżeństw dzieci w Turcji spadła – według ministerstwa rodziny – o 78 procent. W 2024 r. zawarto nieco ponad 9,3 tys. takich wczesnych małżeństw. Jednak te statystyki mówią tylko o ślubach legalnych, tj. zawartych po ukończeniu 16 lat przez dziewczynę i 17 lat przez chłopaka.

Nielegalnych ślubów przed imamem, takich jak małżeństwo Dilek Demir, nie znajdziemy w oficjalnych statystykach.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Wydarzyło się to 26 lipca roku jubileuszowego 1975

**w Kościele Farnym pw. św. Wojciecha w Kielcach,
podczas uroczystej Mszy Świętej**

***Zosia Danusia Gliździńska
i Tomasz Piotr Kaczmarek***

udzielili sobie Sakramentu Małżeństwa

Po 50 latach wspaniałego życia małżeńskiego

25 lipca roku jubileuszowego 2025 o godz. 8:00

w Kościele Rektoralnym Księży Jezuitów

pw. Św. Franciszka Ksawerego w Piotrkowie Trybunalskim

zostanie odprawiona dziękczynna Msza Święta.

Dziękuję Ci DaNuśka

OGŁOSZENIE

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**TYGODNIK, KTÓRY TRAFIA TAM,
GDZIE CHCESZ: DO SKRZYNKI,
DO PACZKOMATU, **DO CIEBIE.****



DOSTAWA DO DOMU



- Prenumerata kwartalna: 210 zł
- Prenumerata półroczna: 399 zł
- Prenumerata roczna: 749 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniem specjalnymi: 849 zł

Wszystkie numery doręczy Ci listonosz – nie musisz wychodzić z domu.
W prezencie UNIKALNA TORBA „TYGODNIKA” – **tylko do 15 lipca.**



dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE



- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

Wszystkie numery z darmową dostawą do wybranego paczkomatu,
ZAWSZE W ŚRODĘ – w dzień premiery. Dodatkowo **ROZNY DOSTĘP ONLINE** do całego „Tygodnika” za 1 zł. W prezencie książka z autografem STANISŁAWA MANCEWICZA „KRONIKI DOBREJ ZMIANY” – **tylko do 15 lipca.**



dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

**Ten sam Tygodnik – różne możliwości.
Wybierz, jak Ci wygodniej.**

ELIZA

Kącka: Śnił mi się smok



WINDA W GALERII HANDLOWEJ PRZY placu Unii Lubelskiej. Wtaczam się z pełnym plecakiem, nieforemnie. Obok matka z wózkiem. W nim dziewczynka z podbitymi oczami, z cieniem po intensywnym płaczu. Marudzi bardzo. Matka: „No już, już, za chwilę wychodzimy”. Duszno, jakby upał przenikał przez gęstą zaporę klimy i przyczynał się w windach, instalacjach, przebiegarniach. Są zaplecza, gdzie umie się wśliznąć. Dopiero co w kwaciarni poczułam się osaczona lokalnym tropikiem. Klimatyzacja walczy o zaporę lodu, a upał przygotowuje łóżki kwiatów, fermentuje zieleni. A teraz stoimy w windzie i choć wiem, że ona się długo zastanawia, to coś jednak jest nie tak: upał? Mała zaczyna protestować: „Ja chcę iść!”. „Zuzia, zaraz ruszymy”. „Ja chcę iść”. Faktycznie, zacięto się. Matka się denerwuje: „Co będzie, co będzie, tu nie ma zasięgu, ja muszę wyjść już”. „Aha”. „Niech pani ruszy tą windą”. „U – zasepiam się – nie wiem nawet jak”. „Przepraszam, tak mi się powiedziało”. Światło gaśnie. „No nie!” – krzyczy matka. Dziecko zaczyna zawodzić. Dopiero teraz widzimy, że ekran windowy wyświetla nam filmik poglądowy o ibisie szkarłatnym. Na tym się zawiesił. „Patrz, patrz Zuzia. On zamieszkuje Amerykę Południową” – nalega matka. Zuzia patrzy się na mnie przez lzy: „Co zamieszkujesz?”. „Zamieszkuję Europę i nie jestem taka ładna”. Śmiejemy się, a Zuzia znów zawodzi. „Już nie rycz. Zobacz, jaki ibis jest piękny”. „Nie jest!”. „Jak to, tu pisze, że to piękny ptak”. „Nie!”. „Bo?”. „Bo ibis jest w klatce”. „Co ty, jest na wolności”. „Jest! Bo się na niego gapisz. Jak na mnie. Wszyscy się gapią”. Winda ruszyła, dojechałyśmy.

BYDGOSZCZ, HOTEL PRZYSTAŃ, RECEPCJA. „BĘDZIE PANI BRAŁA kajaka?”. „Hm, nie”. „Jest promocja na dwa, tylko trzeba ekipę zebrać szybko”. Recepcjonistka widzi mojego zęza. „Pani Gosia?”. „Nie, ja tu z festiwalu”. „Aaa, festiwal”. „No, literacki”. „To bez promocji”.

HOTEL PRZYSTAŃ, SIECZE DESZCZ. BICZE WODY WGNIAAJĄ teren. Patrzę, jak zabiera się za parasole, atakuje plastikowe stoły, miazdzy cherlawą roślinnością hotelową. „Nie zdążyłim schować parasola”. Nie zauważyłam, że tuż obok stoi pracowniczka i pali łapczywie. Wysysa, zjada papierosa: „Ja to lubię tak”. „Aha?”. „Taką jazdę w pogodzie”. „Ulewę?”. „No, idzie taki jak po swoje”. „? Deszcz?”. „Sukinsyn, dobry jest”. Zagrzmiało w apendyksie.

LEWIATAN, SZCZYT ZAKUPOWY. STOJĘ ZA MATKĄ Z DZIEĆMI, STARSZĄ o kulach, gościem z siatą pustych butelek i dziewczynką z naręczem lodów. Ekspedient: „Kartę posiada?”. Matka dzieciom:

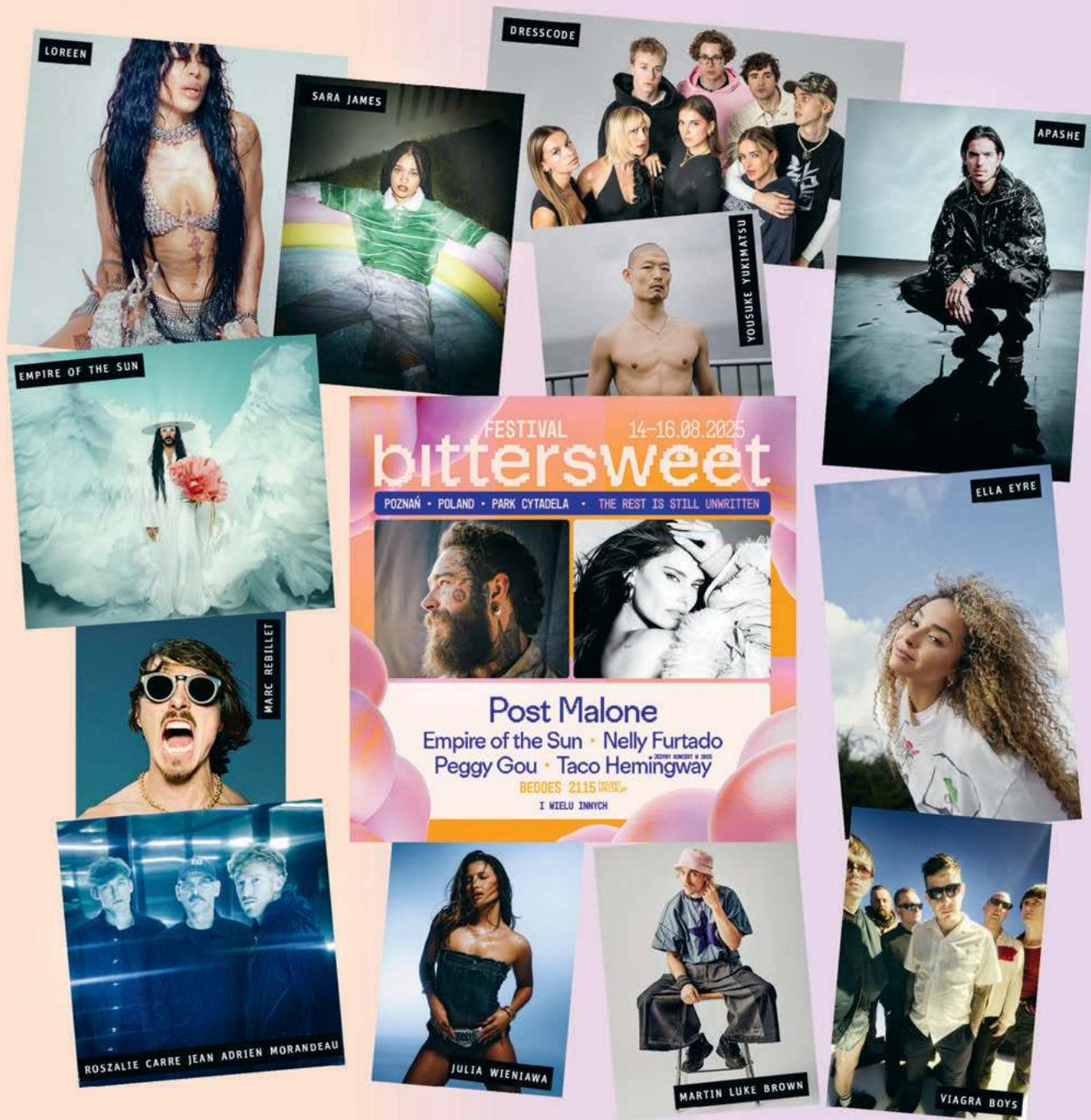
„A opłaca się?”. „Ja tylko zapytuję”. „Ale opłaca się?”. „Założy pani, to żeberka Lewiatana w promocji”. „Lewiatana? Eee, nie”. Staruszka przy kasie. „Zapytuję o kartę”. „Nie mam”. „Możemy założyć”. „No nie wiem, wie pan, a jakie jeszcze części Lewiatana macie? Bo żeberka nie lubię”. Ekspedient: „?”. „No jakby się pletwa znalazła...”. Gość z butelkami: „Aj, ludziom odwala teraz”. Ekspedient: „Ja tylko zapytanie miałem”. „I dobrze, panie – śmieje się – wyszło na to, że nie ja jestem najgorszy”. Dziewczynka zapłaciła. Doszło do mnie: „Karta jest?”. „Nie ma”. „Warto”. „Żeberka”. Ekspedient na apatii: „I tak do wieczora będę powtarzał”.

DZWONI STARUSZKA OD CIŚNIENIA: „PANI ELIZO, TO JAK BĘDZIE z tym krajem?”. „Hę? Skąd mam wiedzieć?”. „No miewa pani sny”. „Tak, ale nie prorocze”. „A to trzeba proroczych? Nieee, pani Elizo, ja myślę, że teraz bardziej wartościowe są sny-maliny”. „Może i racja”. „A na pewno. Co pani chce wyprorokować w sytuacji bez przyszłości”. „A, no to pani już wie, co będzie z tym krajem”. „Owszem. Ale każde czasy potrzebują Kasandry”. „Haha, Kasandry na miarę czasów”. „Ano”.

AUTOBUS 159, DWÓCH STARSZYCH: „MYŚLI PAN, ŻE ZAPRZYSIĘŻENIE pewne?”. „Oczywiście”. „Karol będzie prezydentem?”. „Będzie”. „Ja się ciągle boję, że oni to wywrócą”. „Coś pan. A co oni mogą”. „No niby sfalszowane...”. „Panie drogi, to jest gdakanie kury. «Sfalszowane, sfalszowane». Nic więcej nie mają”. „No ale jednak doszli do władzy”. „Opatrzność dopuściła, by naród się w sobie odnalazł”. „No, ale politykę mamy podzieloną”. „Polityka to pozór, panie Tolku. Polityka to może chwilę przetrwać. A potem zaczyna się Polska”.

POCIĄG, JAZDA DO OLSZTYNA. PRZY MNIE TRZY W WIEKU studentkim. Pierwsza: „Ej, a macie sny?”. Druga: „Rzadko i głupie”. „Sen nie może być głupi”. „Moooo”. „Tak się podobno podświadomka odczyści”. „No nie wiem, dla mnie są też głupie”. „To jaki miałaś głupi?”. „Śniło mi się, że wracam do szkoły”. „Klasyka”. „No, ale w tej szkole pracują ludzie ojca. Ci od transportu. Nie mogliby...”. Trzecia: „A pani się czasem coś śni?”. „Śni? Owszem. Ostatnio śnił mi się smok”. Pierwsza: „Ooo, słodkie, to jak z bajki. Opowie pani?”. „No więc wychodzę na balkon dużego bloku mieszkalnego. Ma kształt walca”. Druga: „O, ciekawe”. „I siedzi sobie taki, rozmiaru średniego psa, liże łapę. Na mój widok nastrozył się. I wtedy zrozumiałam, że jestem łowiona”. Trzecia: „Co było dalej?”. „Dużo detali”. „Mnie się nigdy detale nie śnią”. „Mnie często. Udało mi się wbiec do mieszkania i zamknąć balkon, ale wiedziałam – wiedzą senną – że on sobie prędzej czy później poradzi, wejdzie. Biegłam w dół. Wskoczyłam do pierwszej lepszej toalety. O dziwo, było tam dużo toalet, jak w biurówcu. I usłyszałam piski”. „Oj”. „Gdy wyjrzałam, był już większy. I rzucił się za mną. Przeskoczyłam dwa piętra na raz, potem znów. A on rósł i rósł, z cienia sądząc. Wybiegłam, wskoczyłam do auta mojego ojca. Nie wiem, kto prowadził. Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam nad blokiem cień wielkości trzech takich aut. I wiedziałam, że już nie wrócę”. „Ja bym na to wzięła Xanax”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.



BITTERSWEET FESTIVAL

FESTIWAL, KTÓRY GRA GŁOŚNO, ALE TEŻ SŁUCHA UWAŻNIE

BitterSweet Festival to nowy rodzaj wydarzenia, gdzie muzyka łączy się z rozmowami na ważne tematy. Obok koncertów powstaje przestrzeń, w której można się zatrzymać, posłuchać innych, powiedzieć coś ważnego. To festiwal, który stawia na emocje – nie tylko te ze sceny, ale też te codzienne.

Organizatorzy od początku zakładali, że chcą stworzyć coś więcej niż imprezę muzyczną. Dlatego obok głównego programu koncertowego działa tu drugi, równie ważny filar: BitterSweet Talks – społeczno-edukacyjna część festiwalu, czyli spotkania z artystami, psycholożkami, edukatorami, aktywistkami. Rozmowy o relacjach, zdrowiu psychicznym, dojrzewaniu, presji. O rzeczach, które dotyczą nas wszystkich, ale rzadko pojawiają się w przestrzeni festiwalu.

Ważnym partnerem projektu są Fundacja **SEXEDPL** oraz projekt **MŁODE GŁOWY** (Fundacja **UNAWĘZA**). Wspólnie z organizatorami pracują nad tym,

by uczestnicy czuli się bezpiecznie, słyszani, zaopiekowani. Powstają strefy odpoczynku i wsparcia, odbywają się warsztaty i panele, które pozwalają spojrzeć na emocje jak na coś, co nie przeszkadza – ale czego warto słuchać.

Kulminacją całego cyklu będzie główna edycja BitterSweet Festival w Poznaniu, która odbędzie się w dniach **14–16 sierpnia** w parku Cykada. Wystąpi ponad 40 artystów, w tym takie gwiazdy jak **Post Malone** (15 sierpnia), **Nelly Furtado**, **Taco Hemingway** (będzie to jego jedyny koncert w 2025 roku), **Peggy Gou**, **Empire of the Sun**, **Viagra Boys** czy **Loreen**. To jedno z największych wydarzeń muzycznych tego lata – ale z wyjątkową atmosferą: uważną, zaangażowaną, inkluzywną.

BitterSweet Festival to także odpowiedź na zmieniające się potrzeby publiczności. Coraz więcej osób szuka dziś wydarzeń, które nie tylko dostarczają wrażeń, ale dają też przestrzeń do refleksji i kontaktu z innymi. Kultura nie musi być głośna, by być wyrazista. Nie musi uciekać od trudnych tematów, by dawać radość.

EPISKOPAT BEZ WŁAŚCIWOŚCI

Biskupi niebezpiecznie zmieniają
kierunek Kościoła w Polsce.
Do czego to doprowadzi?

ARTUR SPORNIAK



Procesja podczas obrad 401. zebrania Konferencji Episkopatu Polski. Katowice, 11 czerwca 2025 r.

MICHAŁ MEISSNER / PAP

ne duchownych względem małoletnich. Prymasowi odebrano kierowanie tym projektem i przekazano je bp. Sławomirowi Oderowi z zadaniem powołania nowego zespołu i opracowania nowych zasad funkcjonowania ewentualnej przyszłej komisji. Następnie okazało się, że biskupi wprowadzają w życie plan przekształcenia dotychczas względnie niezależnej Katolickiej Agencji Informacyjnej w instytucję propagandową.

Te posunięcia, przyjęte zdecydowaną większością głosów, mają daleko sięgające konsekwencje – zmieniają kierunek, w którym chce kroczyć episkopat. Wygrała opcja krótkowzroczna, anty-

reformatorska i ignorująca słuszne oczekiwania świeckich, przede wszystkim osób skrzywdzonych.

Sposób działania – jak głosi stara mądrość – ujawnia naturę działającego, można więc pokusić się o naszkicowanie od nowa uśrednionego portretu polskiego biskupa.

Typowy biskup

W spełnianiu swego obowiązku uświęcania winni biskupi pamiętać, że wzięci zostali z ludzi i że dla ludzi postanowieni są w tym, co do Boga należy.

(Z Dekretu o pasterskich zadaniach biskupów)

To ktoś, kto niewątpliwie poczuł wiatr w żaglach po wygranej Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich, głoszącego w programie wyborczym obronę „katolickich wartości” (biskupiej wolty →

WOSTATNICH TYGODNIACH EPISKOPAT dokonał nieoczekiwanej wolty. Najpierw odrzucił gotowe już dokumenty przygotowane przez zespół abp. Wojciecha Polaka, pracujący od dwóch lat nad powołaniem niezależnej komisji, która miała badać przestępstwa seksual-

→ dokonano na 401. zebraniu plenarnym Konferencji Episkopatu Polski, 12 dni po wyborach). Komentatorzy polityczni wieszczą zbliżanie się kresu rządów koalicji liberalnej, w związku z tym przyszłość instytucji Kościoła rysuje się w jaśniejszych barwach – skończy się wojna o religię w szkołach, aborcję czy przywileje dla LGBT+. Znowu odsunie się w czasie, dla instytucji Kościoła ryzykowne, przekształcenie archaicznego Funduszu Kościelnego w nowocześniejsze narzędzie finansowe. Po nieodległym powrocie prawicy do władzy, do religijnych podmiotów trafią nowe dotacje z budżetu państwa (legalne, półlegalne czy nielegalne – po co roztrząsać? Liczy się dziejowa sprawiedliwość, bo przecież Kościół w Polsce zasłużył na specjalne traktowanie).

„W takiej nowej sytuacji dlaczego mam ryzykować i godzić się na jakąś komisję ponownie tropiącą pedofilię w szeregach księży? Czy to nie przesada? A co, gdy odnajdą pedofila wśród moich kapłanów? – chcą mieć przecież dostęp do tajnych archiwów także mojej kurii! Tylko ja i Pan Bóg wiemy, co tam się znajduje!” – może myśleć typowy polski biskup.

Co do Katolickiej Agencji Informacyjnej przypuszczalne myśli są następujące: „Przecież założona ona była w 1993 r. przez episkopat, a zdarza jej się publikować – można odnieść wrażenie, że coraz częściej – materiały godzące w dobre imię biskupów! To tak, jakby kasała rękę, która ją karmi. Tak dłużej być nie może!”. W typowym polskim biskupie wzbiera gniew, popiera więc pomysł, który, zdaje się, problem rozwiązuje. Najlepiej podporządkować Agencję bezpośrednio Biuru Prasowemu KEP. „Że wiele głosów woła, iż to powrót do niechlubnych praktyk PRL? Cóż, gdyby przeprowadzić wśród Polaków ankietę, co sądzą o minionych czasach, pewno bylibyśmy zaskoczeni pozytywnymi wypowiedziami...” – mogłaby brzmieć usprawiedliwiająca myśl.

Przyjrzyjmy się jednak dokładniej, jak biskupia wolta się dokonuje.

Niebezpieczna komisja

Szczególną troską niech otaczają ubogich i słabych, do których posłał ich Bóg z opowiadaniem Ewangelii.

(Z Dekretu o pasterskich zadaniach biskupów)

Już w latach 90. XX wieku Jan Paweł II, do którego docierały zatrważające sygnały o pedofilii wśród księży, słał monity do episkopatów (m.in. USA i Irlandii) o przeciwdziałania. Niewiele to dało, bo ksiądz jest najbliższym współpracownikiem biskupa i gdy popełnia przestępstwo, współodpowiedzialność spada jednak także na hierarchę. A w ludzkiej naturze leży raczej odruch samoobrony niż działania na własną niekorzyść (często to ten właśnie odruch zwycięża nad empatią wobec cudzej krzywdy). Ten sam samoobronny mechanizm zadziałał, gdy papież z Polski w 2002 r. wprowadził bardziej szczegółowe przepisy precyzujące postępowanie z oskarżonymi duchownymi. Nawet nakaz opracowywania przez episkopat szczegółowych wytycznych, wydany przez Benedykta XVI w 2011 r., niewiele pomógł.

Dopiero wprowadzenie przez Franciszka w 2019 r. kar dla biskupów za tuszowanie przypadków pedofilii zrobiło swoje (w Polsce taką skuteczność odniósł już wprowadzony w 2017 r. obowiązek prawno-karny zgłaszania informacji o pedofilii). Można przypuszczać, że nawet do 2017 r. w głowie przeciętnego biskupa funkcjonowała pokusa, by z informacją o przestępstwach księży nie wychodzić do sfery publicznej. Skąd zatem pomysł niezależnej komisji do przebadania kościelnych archiwów?

Była to odpowiedź na szok, jaki wywołał film „Bielmo” Marcina Gutowskiego z marca 2023 r. o przestępstwach w sutannach podlegających metropolii krakowskiemu Karolowi Wojtyłe. Biskupi powierzyli zadanie powołania takiej komisji abp. Polakowi jako delegatowi KEP do ochrony dzieci i młodzieży. Z punktu widzenia przeciętnego biskupa problem szybko zaczął polegać na tym, że prymas podszedł do tego zadania bardzo ambitnie. Chciał komisji na wzór tych funkcjonujących na Zachodzie (np. we Francji), mających dostęp nie tylko do kościelnych archiwów, ale także zbierających świadectwa od skrzywdzonych i – starając się wykryć patologiczne mechanizmy – także od przełożonych kościelnych.

To ostatnie przeraziło typowego biskupa, który zarzucił prymasowi przesrzedznych ambicji. Prawdopodobnie bp Oder, któremu powierzono od nowa opracowanie zasad funkcjonowania ko-

misji, takich ambicji nie ma. Zasłynął on ze sprawnego przeprowadzenia procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II bez zbyteńego wgłębiania się w niebezpieczny temat wiedzy papieża o pedofilii.

Gdy w czerwcu 2020 r. po filmie braci Sekielskich „Zabawa w chowanego” abp Polak złożył do Watykanu – zgodnie z kościelnymi przepisami – formalne doniesienie na bp. Edwarda Janiaka, oskarżonego o tuszowanie sprawy księdza pedofila, ten zrewanżował mu się listem napisanym do biskupów, bez pardonowo go atakującym. Dokument, który wyciekł do mediów, kończy się zdaniem: „Wcześniej atakowano Ks. Dyrektora Caritas Polska, dzisiaj mnie, a jutro może to być następny z Księża Biskupów”.

Wydaje się, że echo tej złowieszczej groźby wciąż działa na biskupią wyobraźnię.

Nieposłuszna agencja

Ponieważ do Kościoła należy nawiązywanie dialogu ze społecznością ludzką, (...) ciąży przede wszystkim na biskupach obowiązek zbliżania się do ludzi, szukania ich i podtrzymywania rozmowy z nimi.

(Z Dekretu o pasterskich zadaniach biskupów)

KAI to agencja prasowa, która najprawdopodobniej ma na koncie największy w świecie zbiór streszczeń biskupich homilii. Mimo to w ostatnim czasie coraz bardziej hierarchom podpadała. Biskupom nie podobala się np. opublikowana w 2022 r. rozmowa z księdzem grekokatolickim Igozem Hubaczem, który mówił m.in., że nie wyobraża sobie siebie jako kapłana żyjącego w celibacie („Gdybym nie mógł założyć rodziny, byłbym gorszym kapłanem”). Typowego biskupa irytowała też bezkompromisowość świeckiej teolożki i publicystki Moniki Białkowskiej, która na łamach KAI stwierdziła z dużą trafnością, że „Kościół nie potrzebuje dziś klerykalnej kasty, która posługuje się swoim językiem i nie chce rozmawiać z ludźmi”. Z biskupią krytyką spotkało się także – co nie zaskakuje – zbyt szczegółowe relacjonowanie problemu pedofilii w Kościele (widać było, że szef KAI stoi w tej sprawie za prymasem Polakiem).

Z planem dostosowania agencji do oczekiwania biskupów wyszedł rzecznik prasowy KEP, ks. Leszek Gęsiak SJ. Plan

ten zakłada konsolidację KAI i zależnego od episkopatu portalu Opoka z Biurem Prasowym KEP pod jedną zarządzającą strukturą (na czele której stanąłby rzecznik). Gwarantowałoby to, zdaniem ks. Gęsiaka, „zachowanie spójności przekazu bez względu na zakres stosowanych form i metod”. Natomiast zdaniem kierującego agencją od jej założenia w 1993 r. Marcina Przeciszewskiego spowodowałoby to utratę niezależności przez KAI i uczynienie z niej narzędzia do działań PR-owych. Dlatego podał się on do dymisji. Zdążył jednak opublikować na łamach KAI pełny tekst opracowanych przez zespół abp. Polaka „Zasad działania Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego”. Teraz każdy będzie mógł porównać to, co proponował abp Polak, z tym, co zaproponuje bp Oder.

Prawie usprawiedliwienie

W wykonywaniu swych zadań ojca i pasterza niech biskupi będą pośród swoich jako ci, co usługują, niech będą dobrymi pasterzami, znającymi swe owoce i przez nie znanymi.

(Z Dekretu o pasterskich zadaniach biskupów)

Wbrew pozorom, biskupi nie odpowiadają w całości za stan, w którym znalazł się Kościół w Polsce. W dużej mierze winny jest system, w którym funkcjonują. Mimo pięknych teologicznych idei go uzasadniających, ignoruje on ludzką naturę, a ona – jak wiemy – sama z siebie jest słaba i grzeszna. Przyjmując święcenia biskupie człowiek nie staje się od razu świętym. Co prawda działa tzw. łaska stanu (tzn. Bóg obiecuje pomoc), ale nie działa ona automatycznie, lecz domaga się wytrwałej współpracy. Poza tym, zgodnie ze starą prawdą, łaska działa na naturze. Jeżeli o naturę się nie dba i systematycznie ona szwankuje, nie pomoże nawet największa łaska. A można założyć, że przeciętny biskup ma przeciętną determinację do współpracy z łaską – tak jak większość z nas.

W funkcjonującym dzisiaj – i niestety, wciąż doktrynalnie umocowanym – klerykalnym systemie kościelnym biskupi nie mają silnych naturalnych bodźców, by nie iść na łatwiznę i nie troszczyć się przede wszystkim o swój psychologiczny komfort. Nie są przez nikogo rozliczani

W polskim episkopacie
sprawnie działa
psychologiczny mechanizm
zachowań stadnych.
Nie jest dobrze widziane
oryginalne i odrębne
zdanie, bo rzekomo zagraża
jednomysłności.

Równa się do średniej.

(są zobowiązani do pisania sprawozdań do Watykanu i co kilka lat nawiedzania „progu apostołów” – nikt jednak zgodnie z tym, co wtedy mówią, z rzeczywistością szczegółowo nie kontroluje, więc papieski nadzór jest w zasadzie fikcją). Sami są dla siebie panami i sędziami. Przed nikim nie ponoszą odpowiedzialności.

Stan permanentnego niebrania za nic odpowiedzialności to cecha, która polskich biskupów wyróżnia i jest ochoczko pielęgnowana. Zapewne dlatego nasza hierarchia tak alergicznie reaguje na niemiecką Drogę Synodalną.

Niemieccy prymusi

W roztaczaniu pasterskiej pieczy niech zostawiają swym wiernym przynależny im udział w sprawach Kościoła, uznając ich obowiązki jak też prawo do czynnej współpracy w budowie Mistycznego Ciała Chrystusowego.

(Z Dekretu o pasterskich zadaniach biskupów)

Po ogłoszeniu w 2019 r. raportu trzech uniwersytetów, ukazującego skalę wykorzystania seksualnego małoletnich przez księży, biskupi niemieccy zdecydowali się na strukturalne reformy polegające na dopuszczeniu świeckich do współdecydowania o przyszłości Kościoła. Wywołało to napięcia z Watykanem – niemiecka Droga Synodalna wyprzedziła o dwa lata synodalne reformy papieża Franciszka i wskazała kierunek przełamania hierarchicznego ustroju Kościoła. Jest więc działaniem prekursorskim i godnym podziwu.

Dlaczego możliwym w Niemczech, a nie w Polsce? W Kościele naszych zachodnich sąsiadów głos świeckich ma od dawna zupełnie inny ciężar. W związku

z tym patogenne mechanizmy klerykalne są tam słabsze, a silniejsze jest poczucie odpowiedzialności – przy mocnej społecznej kontroli.

W Polsce wspomnienie niemieckiej Drogi Synodalnej wywołuje na twarzach biskupów grymas niechęci. Gdy KAI opublikowała w 2022 r. wspomnianą rozmowę z żonatym księdzem grekokatolickim, została oskarżona właśnie o... propagowanie niemieckiej Drogi Synodalnej, bo to tam postuluje się m.in. zniesienie celibatu.

W polskim episkopacie sprawnie działa za to psychologiczny mechanizm zachowań stadnych. Nie jest dobrze widziane oryginalne i odrębne zdanie, bo rzekomo zagraża jednomysłności. Równa się do średniej. Co nie znaczy, że niemożliwe są większe zmiany. Dotychczas ich promotorami byli hierarchowie o silnej osobowości, posiadający autorytet wśród innych biskupów. Niegdyś takimi byli zmarli abp Józef Życiński czy bp Jan Chrapek, a ostatnio okazał się takim być – owszem, różniący się od nich światopoglądowo – abp Stanisław Gądecki, dziś już na emeryturze. Obecnie kogoś takiego brakuje – mówił o tym Marcin Przeciszewski, komentując w mediach swoją dymisję ze stanowiska prezesa KAI.

Dlatego największą skutecznością cieszą się ci, którzy umiejętnie posługują się intrygą. Jak wskazują przecieki z czerwcowego zebrania KEP, głosowanie nad odsunięciem prymasa od pracy nad planowaną komisją zostało zorganizowane zniwastka i przy absencji hierarchów, którzy mogliby głośno protestować. Wcześniej na imieninach u przewodniczącego KEP, abp. Tadeusza Wojdy, uzgodniono strategię torpedowania działań prymasa przez obecną Radę Prawną KEP.

Na przykładzie polskiego episkopatu widać, że teologiczne odwoływanie się do niezmiennej doktryny o hierarchicznym ustroju Kościoła jest zatem zaklinalniem rzeczywistości, chroniącym patologię ukrywania pedofilów. Czy jest na to jakiś ratunek? Pewne nadzieje niesie wspomniany proces „usynodalnienia” Kościoła, zapoczątkowany w 2021 r. przez Franciszka. Ma on mieć dalsze ciągi, a nowy papież nie jest mu z gruntu przeciwny. Niestety, jest to terapia delikatna, prowadzona małymi krokami, przewidywana na lata. W Polsce może być ona łatwo kontestowana.

©© ARTUR SPORNIAK

Bóg wierzy w człowieka

PROF. MARCIN REBES,
TEOLOG, KATECHETA:

DUCHOWOŚĆ | Najważniejszym moim zadaniem jest nie zrazić nikogo do Chrystusa. Muszę pozostawać delikatny. Nie mogę być restrykcyjny, bo to by mogło spowodować zablokowanie się na religię.

MARCIN TUSIŃSKI: Czego Ty szukasz, Marcinie?

PROF. MARCIN REBES: Jako teolog – perspektywy bliskości Boga. Jako filozof – pewnego źródłowego doświadczenia. Jako człowiek – odkrycia dobra w drugim człowieku. Jestem jedną osobą, natomiast problemowi miłości przyglądam się na różne sposoby.

W co wierzysz?

Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to hymn o miłości z listu do Koryntian, w którym mowa o trzech kluczowych słowach: wiara, nadzieja i miłość. Wiara jest tętniącą lawą, która ma gdzieś swój kres. Nadzieja być może kiedyś stanie się pewnością i przetrzebieje w miłość. Miłość jest czymś bardzo intymnym w relacji z Bogiem. W chrześcijaństwie Bóg przemawia do nas poprzez drugiego człowieka.

I tutaj robi się ciekawie, ponieważ między doświadczeniem moim a twoim jest zawsze pewna bariera. Trzeba zbudować pomosty i przesła, stworzyć miejsce spotkania, żeby tę miłość drugiemu człowiekowi przekazać.

Jak Ci to wychodzi w życiu?

Różnie. Czasami odnoszę sukcesy, ale sowa Minierwy wylatuje dopiero przed zapadnięciem zmroku. Najczęściej ucę się dopiero, gdy jest już późno. Miłość rozumie w czasie przeszłym, ale doświadczam jej tutaj, teraz.

25 lat temu czułem się dosyć zagubiony. I trafiłem na człowieka, który powiedział mi: „Ty coś wiesz, a ja ci pomogę o tym napisać”. Twoja postawa zachęciła mnie do obrony pracy magisterskiej.

To miłe. Myślę, że najlepszym podejściem nauczyciela jest wzbudzanie w innych wewnętrznej wolności. Pozwolić komuś zaistnieć to zasada dialogiczna: wzbudzenie chęci, żeby chciał chcieć. Heidegger nazywa to: *das Gewissen-Haben-Wollen*, czyli chcieć mieć sumienie. Nauka w ogóle jest oparta na tym, że poznajesz coś, czego wcześniej nie znałeś. Badając coś, zawsze napotykałyśmy na obawę. Człowiek nauki wie, że nie ma miejsca na trwogę, bo to właśnie obawa powoduje, że zaczynamy zgłębiać problemy. Chodzi o to, żeby nas to nie blokowało, lecz zachęcało. Fajnie, że ciebie to kiedyś zachęciło.

Odkąd Cię znam, zawsze masz jakieś zagwozдки teologiczne do rozsupłania. Z czym się teraz mierzysz?

Obecnie mam dylemat związany z kwestią Judasza, który jako symbol jest nośnikiem lęku przed zdradą. Człowiek boi się utraty relacji z innymi ludźmi bardziej niż śmierci. Może to wykorzystać każda osoba, która próbuje nami sterować. Ale jest i druga strona medalu: skoro Judasz zdradził i jest zły, to znaczy, że nie będąc Judaszem – jestem OK. Stygmatyzując innych, bagatelizujemy problemy mogące mieć straszne konsekwencje. „Moi prze-

ciwnicy są złymi ludźmi. A ja jestem dobry”. W ten sposób dochodzi do odrzucenia inności, do wojen. Mam obawę, że historia Judasza powoduje bagatelizację zła. Stygmatyzujemy uchodźców, ale problem humanitarny się przez to nie zmienia.

Z innej perspektywy – mit Judasza może pozwalać godzić się z tym, co niesprawiedliwe. W „Filozofii dramatu” Tischnera zdrada jest wpisana w horyzont dramatu. Człowiek kuszony pragnieniem niszczy relację dialogiczną z drugim. Co zrobić, żeby do niej wrócić? Chrystus trzyszczy się o Judasza, który go zdradził. Dlaczego? Dramat ludzki potrzebuje *katharsis*, oczyszczenia. Dla nas, chrześcijan, symbolem tego jest Bóg, który daje drogowskazy poprzez innego człowieka.

Rozmawiasz o tym z dziećmi?

Nie wprost, ale dla mnie to kluczowe, gdy prowadzę lekcje religii w szkole. Na przykład kiedy opowiadałam dzieciom o darach Ducha Świętego albo różnego rodzaju cnotach. Duch Święty rzeczywiście działa, tylko robi to w sposób bardzo dyskretny. Ta dyskrekcja pomaga nam się odnaleźć i pozbyć lęku. „Nie lękajcie się” to słowa Chrystusa i kolejnych papieży. Nie lękaj się, bo Bóg tobą kieruje.

Studiowałaś filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a potem we Freiburgu. Byłeś uczniem prof. Berharda Caspera i asystenta Martina Heideggera, prof. Friedricha



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Orszak Trzech Króli. Katowice, 6 stycznia 2017 r.

Wilhelma von Herrmanna.

Ukończyłeś wydział teologiczny w Wiedniu. Wykładasz na uniwersytetach. Z całym tym doświadczeniem poszedłeś uczyć dzieci religii w podstawówce. Dlaczego?

Dzięki temu uczę się pokory wobec problemów dzieci i ich rodziców. Nie chodzi o nic wielkiego, tylko o małe rzeczy. Gest, który pomoże się komuś odnaleźć. Kiedyś kolega poprosił, żebym wziął za niego zastępstwo na lekcjach religii w szkole. Bałem się tego, bo to zupełnie co innego niż wykłady o Heglu. Zostałem na rok. Potem zatrudniłem się w kolejnej szkole. Ciągnę dwa etaty i to mi nie zostawia dużo czasu na śledzenie mediów. Żyję bardziej spokojnie, odkąd mam te dzieciaki z ich problemami i na chwilę zostawiam cały smutny kontekst za oknem. Nie martwię się tym, co się znowu złego wydarzyło.

Jakimi problemami żyją dzieci?

Pewne dziecko zapytało mnie, czy jedno z jego rodziców pójdzie do nieba, bo jest osobą niewierzącą. Nie z powodów doktrynalnych, ale ze szczerzej troski. Przypomniały mi się wtedy słowa Tischnera, że są ludzie, którzy wierzą w Boga, i jest Bóg, który wierzy w ludzi. Więc powiedziałem, że ten rodzic poprzez troskę nad dzieckiem, robi to, czego chce Chrystus, czyli przekazuje miłość. Rodzic zostanie zbawiony. Dziecku wyraźnie ulżyło.

Innym razem ośmiolatek zapytał, dlaczego Chrystus wskrzesił Łazarza, ale nie wskrzesił jego babci. Mogłem mu tylko współczuć i wytłumaczyć, że do cudu doszło w wyjątkowych okolicznościach, kiedy Jezus żył na ziemi. Powiedziałem też, że babcia i dziadek na pewno są w niebie, więc wszystko jest w porządku. I zapamiętałem, żeby mniej opowiadać o cudach podczas lekcji (*śmiech*). Czasami mam wrażenie, że dane dziecko nie słucha na lekcji. A potem okazuje się, że słuchało bardzo uważnie. Tylko ma taką manierę. To jest dla mnie fascynujące, uczę się nie oceniać.

Obcowanie z dziećmi nauczyło mnie także, że religijność i wiara to dwa osobne światy. Wiele z tych dzieci przeżywa religię na ludowy sposób. To nie znaczy, że ona nie jest głęboka. Chodzi o to, że tradycja jest dla nich elementem kluczowym. Wydaje mi się, że duża część rodziców idzie w tym kierunku.

Jak to się objawia w postawie dzieci?

Część jest wyczulona na elementy religijności parafialnej, inne na punkcie Kościoła powszechnego. Ich postrzeganie religii jest różne. Nie oceniam tego. Chodzi o różne rodzaje wrażliwości, które z tego wynikają. Dzieci skoncentrowane na życiu parafialnym często przywołują elementy tradycji patriotycznej. Inne zwracają więcej uwagi na uniwersalne wartości.

Zderzenie z ich światem to także spotkanie z ciekawością wobec spraw religii, której nie mają dorośli. Kiedyś zacząłem z nimi omawiać fragmenty Ewangelii mówiące o zmartwychwstaniu Chrystusa. Pytały, jak to będzie z ciałem i duszą. Czy ciało także zmartwychwstanie? Stawiali pytania wymagające większej refleksji, którymi nie trapi się większość dorosłych.

Jak na nie odpowiadasz?

Czasami w rozmowie używam form przekazu, które lepiej do nich trafiają – na przykład filmu. Oglądałem z nimi „Grincha”. Dzięki temu mogliśmy odejść od poważnych dyskusji o św. Pawle i porozmawiać w ich języku. Doszli do wniosku, że wartością płynącą z tej historii jest przedstawienie dobrych relacji międzyludzkich jako ważniejszych niż wymiana materialna. Ważniejsze od prezentów na Wigilię są przyjazne chwile z bliskimi. Zastanawiali się, co takiego musiało się stać, żeby doszło do przemiany bohatera. Że potrzebna jest miłość. Dzieciom bardzo się to wspólne oglądanie spodobało. Niestety, niektórzy rodzice nie przyjęli tego bardzo dobrze. Okazało się, że przywykli do formy przekazu z epoki, w której lekcje religii były bardziej stereotypowe. I potem musiałem odbyć dyskusję także z nimi.

Czego oczekiwali?

Miałem wrażenie, że traktują religię jak inne przedmioty, które trzeba wykuć. To jest szerszy problem współczesnej szkoły. Starsze pokolenia nie rozumieją, że sposób uczenia się dzieci jest inny. Nie chodzi o to, żeby znać wszelkie treści, ale żeby umieć do nich dotrzeć i sobie z nimi radzić. Dzieci używają nowych mediów, a w przekonaniach wielu rodziców szkoła tkwi wciąż w XX w.

Młodzi mają nowe możliwości. Podobnie nauczyciele. Zawsze istniał taki problem, że oczekiwania szkoły były inne niż oczekiwania rodziców oraz inne niż oczekiwania dzieci. Tylko że poprzez

technologię te oczekiwania rozchodzą się dzisiaj znacznie szybciej.

Z czym mierzysz się w związku z tym?

Muszę podejmować decyzje, biorąc pod uwagę zdanie rodziców, i jednocześnie dbać o to, żeby wiara dzieci była na tyle wolna i rozsądna, żeby mogły potem same do niej dochodzić. Pozostawiali otwarcie na różnego rodzaju przejawy wiary. Sięgam po przekaz tradycyjny, którego chcą rodzice, ale też wprowadzam elementy nowości. Współczesne dzieciaki myślą obrazkami, dlatego używam wielu zdjęć na tablicy multimedialnej.

Muszę brać pod uwagę, że nie każde z nich chodzi do kościoła. Ale nie mogę o to pytać. W związku z tym niektóre mierzą się z odczuciem obcości. Mówię o liturgii i widzę, że część patrzy na mnie, jakbym mówił o jakiejś skamielinie. I próbuję się przez to przebić, oddziałując na ich wyobraźnię.

Czasami uczniowie przynoszą bóle na bycie od rodziców. Choćby kwestię akceptacji religii w małżeństwach, w których jedno z rodziców jest niewierzące. Słyszę od nich, że nie rozumieją, dlaczego tata czy mama zmuszają rodzeństwo do chodzenia do kościoła. I pojawia się problem, bo nie mogę podważyć wiarygodności i powiedzieć, że rodzice popełniają błąd. Mogę ich tylko uczyć, że Bóg nie chce ich traktować jak niewolników, tylko jak ludzi wolnych, że wiara to jest kwestia wyboru. Staram się przekazać, że otwarcie na Chrystusa jest indywidualną decyzją każdego z nas.

Staram się też pokazywać, że wiara to rzecz dynamiczna, która się zmienia. I czasami spotkają się ze ścianą. Uczuciem, że Bóg o nich zapomniał. Wtedy mówię: spokojnie. Zaczekaj, pomódl się. Z czasem wszystko się wykrystalizuje.

Masz poczucie, że Twoje słowa mogą ukształtować czyjeś życie?

Mam odczucie, jakbym stał po bardzo niepewnym gruncie. Każdy z katechetów ma swoją wrażliwość, podobnie jak dzieci, które nas odbierają. Nie każde mnie polubi. Najważniejszym moim zadaniem jest nie zrazić nikogo do Chrystusa. Muszę pozostawać delikatny. Nie mogę być restrykcyjny, bo to by mogło spowodować zablokowanie się na religię.

Prowadziłem niedawno wywiad z dziewczynką, która wyznała,



→ że boi się o swoją przyszłość po śmierci, bo zakonnica na religii powtarza, że dzieci, które nie chodzą do kościoła, nie zostaną zbawione.

Ja też słyszę o takich przypadkach. Być może sam też spowodowałem w kimś podobną reakcję? Błędy to normalna rzecz. Najważniejsze to przekazać dziecku, że ma wybór. Uczyc je samodzielnego poszukiwania odpowiedzi na ważne pytania.

Jak wpływa na Ciebie niekończąca się dyskusja o zasadności prowadzenia lekcji religii w szkołach?

Uważam, że religia w szkołach jest elementem tradycji chrześcijańskiej i powinna być nauczana, ale w duchu z czasów renesansu. W Polsce jest to temat polityczny. A przecież można do dyskusji o religii zapraszać jak do rozmowy o naszej tożsamości.

Myszę, że ważnym elementem wyjścia z sytuacji byłby powrót teologii na uniwersytety. W Austrii na państwowym uniwersytecie nauczają teologii protestanckiej, prawosławnej i muzułmańskiej. Wykształceni teologowie idą potem nauczać do zróżnicowanego etnicznie i religijnie społeczeństwa – przygotowani.

Uważam też, że jeśli zapotrzebowanie na lekcje religii w Polsce się zmniejsza, rozwiązaniem nie powinno być ograniczanie godzin, lecz zaoferowanie alternatywy w postaci lekcji filozofii czy etyki. Dzieci trzeba uczyć krytycznego myślenia, także o kwestiach religii. Bo tylko w ten sposób mogą dojść do odpowiedzi na podstawowe pytania: kwestie Boga, wspólnoty czy relacji. Religia ma wiązać, uwarunkowywać nas na siebie nawzajem, budować mosty.

Gdybyś miał wyrazić jedną myśl, z którą chciałbyś, żeby twoi uczniowie poszli dalej, co byś powiedział?

Że rozmawiać o Bogu jest fajnie. Bo Bóg Cię kocha. To jest najważniejsze.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI



PROF. MARCIN REBES

jest teologiem i filozofem. Pracuje w Instytucie Studiów Europejskich na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ. Wykładał na uniwersytetach

w Niemczech, Austrii, Portugalii, Grecji i Izraelu. Prowadzi lekcje religii w szkole podstawowej w Krzczonowie oraz Kobylanach pod Krakowem.

Uczynki miłosierdzia

TEKST I ZDJĘCIA: ANTONINA PALARCZYK Z TAIŻÉ

MIGRANCI | Niewiele osób wie, że ten słynny francuski ośrodek duchowości od lat skutecznie pomaga uchodźcom.

KAMIEŃ ZE ŚREDNIOWIECZNYCH murów wciąż można znaleźć w ścianach okolicznych domów. Opactwo w Cluny zamknięto za francuskiej rewolucji, a rozebrano niewiele lat później. Ale centrum duchowości nie oddaliło się na więcej niż dziesięć kilometrów. Dziś jest w Taizé, niewielkiej wiosce z drewnianą kaplicą, zwieńczoną kopułkami z prawosławnym krzyżem. Daleko jej do kluniackiego przepychu, bo przypomina bardziej barak niż kościół. Ale międzynarodowa wspólnota ekumeniczna, która przy niej trwa od 85 lat, stała się nie mniej ważnym ośrodkiem europejskiej religijności. Znana jest z międzynarodowych spotkań młodzieży, kontemplacyjnych modlitw i pieśni. Niewiele osób wie, że od początku jest też zaangażowana w niesienie pomocy imigrantom.

Wielki kryzys migracyjny

– Pomaganie uchodźcom jest zapisane w DNA tego miejsca od chwili jego założenia w 1940 r. – opowiada Orsa, kobieta w średnim wieku i o bystrym spojrzeniu, rzucanym zza drucianych okularów. – Tędy szedł szlak do Szwajcarii, a wojenni uciekinierzy, w tym Żydzi, znajdowali w wiosce schronienie.

Od tamtego czasu za każdym razem, gdy dochodzi do wojen, konfliktów, ludobójstw, poszkodowani mogą znaleźć pomoc u braci z Taizé.

– Dlatego w 2015 r., gdy przyszedł wielki kryzys migracyjny, nie mogliśmy powiedzieć, że to nie nasz problem – tłumaczy Orsa. – Jestem Węgierką i wstydę się tego, jak nasz rząd wtedy się zachował, zamykając granicę i ignorując problem.

Orsa i jej mąż mieszkali w Taizé od 25 lat, ale bracia zasugerowali im, by wrócili do kraju, choćby na krótko. Byli więc na miejscu, gdy tysiące ludzi

próbowało przez Węgry dostać się do Austrii i Niemiec, a rząd w Budapeszcie podjął decyzję o zamknięciu granicy z Serbią, co w praktyce oznaczało zamknięcie Europy i początek przekształcania się krajów Schengen w niedostępną twierdzę.

Dwunastu

niepełnoletnich chłopców

Gdy wrócili do Taizé, przyszedł kolejny kryzys. Wielu uciekinierów, którzy próbowali przedostać się przez kanał La Manche do Wielkiej Brytanii, utknęło w Calais. W nieoficjalnym obozie, zwanym Dżunglą, koczowało około trzech tysięcy osób. Rządowe próby demontażu obozu trwały blisko trzy lata i wymagały znalezienia miejsc gotowych do przyjęcia mieszkańców Dżungli. Nie było to łatwe – uprzedzenia i stereotypy zrobiły już swoje. O ile dla matek z dziećmi czy całych rodzin udawało się znaleźć domy, o tyle młodzi, samotni, muzułmańscy mężczyźni nie mieli szans.

Najpierw przyjechało do Taizé dwunastu niepełnoletnich chłopców z Południowego Sudanu, Afganistanu, Erytrei i Syrii. Potem kolejnych trzydziestu. Zważywszy na skalę kryzysu – niewielu. Ale osiedlili się tam na lata – znaleźli pracę, założyli rodziny.

– Liczyli na azyl w Wielkiej Brytanii a zobaczyli, że busy, do których zostali wsadzeni, zawożą ich coraz dalej na południe. Nie chcieli z nich nawet wysiąść – opowiada Orsa. – Początkowo wszyscy myśleliśmy, że potrwa to kilka tygodni, a potem rząd Wielkiej Brytanii się nimi zajmie. Ale pozwolenie na wyjazd dostało tylko trzech chłopców. Reszta została w Taizé, bardzo rozdrażniona. Zdecydowali się wnioskować o azyl we Francji. To była długa i ciężka procedura, ale zakończona pomyślnie.



Wjazd do Taizé



Brat Marek i Orsa. Taizé, 20 kwietnia 2025 r.

– Znaleźliśmy w okolicy rodziny, które zgodziły się przyjąć chłopaków do siebie – wspomina brat Marek. – Czasem to były małżeństwa, czasem starsi ludzie. Sprawy administracyjne załatwiliśmy przy pomocy NGO-sów. To, co się działo, było nadzwyczajnym zjawiskiem nie tylko z perspektywy chłopaków, którzy zyskali dach nad głową i mnóstwo uwagi. Niezwykle było też kształtowanie się wrażliwości lokalnych ludzi, którzy z początku bali się przyjazdu uchodźców. Bezinteresowne zaproszenia na obiad czy spacer dały początek prawdziwym więziom.

Propagandowe hasła

Wielu imigrantów zatrudniło się przy winobraniach u okolicznych gospodarzy, którzy zaczęli doceniać ich pracowitość i sumienność. Konflikty i nieporozumienia też były, ale brat Marek przekonuje, że ich powodem nie była wrogość do uchodźców czy innych kultur: – Tarcia się zdarzają, jak w każdej grupie. Ale mogliśmy się przekonać, że obecność tych ludzi nie jest ciężarem czy zagrożeniem, ale szansą na dostrzeżenie, iż otwarcie się na innych może wnieść w społeczeństwo dużo życia i świeżości. Nie mówiąc już o tym, że wypełnili luki na rynku zawodowym, pracując jako hydraulicy, elektrycy, malarze pokojowi czy pielęgniarki.

Orsa dodaje: – Spotykałam się z propagandowymi oskarżeniami, że młodzi muzułmanie są zagrożeniem dla tradycyjnych europejskich wartości. Tymczasem właśnie w rozmowach z naszymi nowymi sąsiadami padały pytania: w co wierzysz? Zawsze uważałam

wiarę za prywatną sprawę. Ze znajomymi chrześcijanami rzadko na ten temat rozmawiałam. A teraz musiałam je na nowo zdefiniować. Ale nigdy nie spotkałam się z nakłanianiem mnie do przyjęcia islamu. Z ich strony to była zwykła ciekawość. Nasze rozmowy budowały wzajemny szacunek. Potem wspólne świętowaliśmy Bożego Narodzenia i Eid ul Fitr, zakończenie Ramadanu.

Gra w krzesła

W Taizé powstała też przestrzeń modlitwy dla wyznawców islamu, nazywana „małym meczetem”. Prosta jak wszystko w tym miejscu: Koran, kilka dywanów skierowanych w stronę Mekki... W identyczny sposób zorientowany jest tam zresztą mały romański kościół, zbudowany w XII wieku, skierowany ku wschodzącemu słońcu.

W lipcu odbędzie się tam już ósme międzynarodowe spotkanie młodych chrześcijan i muzułmanów. Imam na zmianę z jednym z braci z Taizé ma prowadzić poranne refleksje nad Koranem i Biblią, w programie znajdują się też warsztaty na temat relacji chrześcijańsko-muzułmańskiej, które przez cały rok prowadzi Ferenc, mąż Orsy. Zaczyna je od opowieści o własnym dzieciństwie, spędzonym w Algierii (jego ojciec był dyplomatą), o dorastaniu w kulturze muzułmańskiej i nawiązanych wieloletnich przyjaźniach.

Potem proponuje uczestnikom grę, podobną do tej, w jaką bawią się dzieci na urodzinach: wszyscy krążą wokół ostatecznych krzeseł w takt muzyki, a gdy ta cichnie, szukają dla siebie miejsca, bo krzeseł jest mniej niż uczestników.

Ale kto nie znajdzie, nie odpada z zabawy, tylko zostaje przygarnięty przez najbliższego sąsiada. Krzesel ubywa, w końcu okazuje się, że dziesięć osób jest w stanie zmieścić się na jednym, jeśli tylko trzymają się i pilnują, by nikt nie spadł.

Centrum pomocy dla Ukrainy

Kultury i narodowości uchodźców przyjmowanych w Taizé trudno zliczyć. Są jezydzi z północnego Iraku, którzy uciekli przed ludobójstwem ISIS w 2014 r. Są iraccy chrześcijanie, uchodźcy z Syrii oraz oczywiście z Ukrainy. Już w 2015 r. trafiła tu na krótki czas grupa dzieci z Donbasu, które na wojnie straciły co najmniej jednego rodzica.

– Kolejnym przełomowym momentem był 24 lutego 2022 r., gdy dotarli do nas tragiczne wiadomości z Ukrainy – wspomina Orsa. – Mieliśmy przed oczami twarze ukraińskich przyjaciół, a w głowie myśl, że trzeba intensywnie działać. Taizé, miejsce spotkań ludzi z całej Europy i świata, okazało się doskonałym centrum koordynowania pomocy dla ukraińskich uchodźców i znajdowania dla nich tymczasowych domów w każdym zakątku kontynentu. Dzięki całej sieci zaprzyjaźnionych miejsc i ludzi mogliśmy pomagać na większą skalę.

Bo, jak dodaje, ludzie są z natury dobrzy i pełni empatii.

– Bardzo mnie smuci, że podpieramy się chrześcijańskimi wartościami, by zamknąć drzwi przed potrzebującym – kończy Orsa. – Przecież Polacy, tak jak Węgrzy, wiele razy w historii byli uchodźcami. Choćby to powinno nas uwrażliwiać na cudzą krzywdę i wygnanie. ©

ZUZANNA

Radzik: *Dziecięcy mindfulness*



AKTUALNIE ROBIĘ W DZIALE ROZWOJU mózgu. *Lead in Brain Development* – napisałabym, naśladując dumny, korporacyjny żargon w zawodowym profilu, gdyby ktoś obchodziło, co na macierzyńskim robią matki. A może w tym tytule byłoby lepsze coś o przyszłości? W końcu to działanie o odroczonej efekcie, będzie owocować przez dziesięciolecia. *Futures Designer* brzmi nieźle.

Bawię się w myślach tym żargonem, mijając na ulicy ludzi spieszących do swoich prac i zadań o podobnie pysznych nazwach. Tymczasem my spieszymy do parku, który w upalny dzień zastąpi nam klimatyzowane biuro. Tak, nasz dwuosobowy departament wyposażony w pojazd, jak wszyscy w czerwcu, też wyrusza na *away day*, dzień integracji poza biurem.

A może to raczej dział R&D, czyli badań i rozwoju? Co prawda nie nadążam z „badaniami”, bo jednak zwykle książki są ciekawsze od tych o rozwoju dzieci, więc wiecznie nie wiem, na jakim etapie jesteśmy. Książka o rozszerzaniu diety przegrywa z nowym wydaniem pierwszej powieści Jamesa Baldwina, ale wiadomo, stylowa, zbierająca nagrody okładka „Głoś to na górze” kusi bardziej niż ta z bobasem nadgryzającym jabłko. Zatem mój *research* jest powierzchowny i na chybcika, bo coś dla dorosłych też trzeba na tym macierzyńskim robić.

Co zaś z rozwojem? Ten się po prostu dzieje, bez mojego udziału, ale olbrzymim wysiłkiem mojej współpracowniczki. Przyczaja się na kilka dni, a potem wybucha splotem nowych umiejętności. Albo nagle udaje się coś zupełnie nowego, jak przewrót z brzucha na plecy zakończony zdumieniem. Teraz ten ruch już okrzepł, został doszlifowany, połączony z obrotem wokół własnej osi. Pewnie za moment wydarzy się coś następnego. Ta część mojego działu, choć sporo śpi, jest niezmiernie kreatywna i otwarta na nową wiedzę i rozwiązania. Dowozimy wszystkie oczekiwane przez pediatrów i tabelki kejpiaje (KPI, czyli kluczowe wskaźniki efektywności), *deliverable* czy jak tam nasza fikcyjna korporacja by to nazwała.

Jak widać wsiąklam. Codziennie, od pięciu miesięcy, dziękuję za przywilej obserwowania rozwoju małego człowieka. Zwłaszcza że mieszkam w kraju, w którym od miesiąca dziecko powinno być w żłobku. To, że nurzam się w zachwycie, nie znaczy, że czasem nie klnę ze zmęczenia lub znużenia czy że nie bolą mnie plecy od karmienia w dziwnych pozycjach. Ani że nie oszukuję, dyskretnie wkładając w ucho bezprzewodową słuchawkę z książką lub artykułem w wersji dźwiękowej, zwłaszcza

cza wtedy, gdy karmienie ciągnie się w nieskończoność. Zakładam, że jeszcze przez chwilę mogę, bo dziecko niewiele z tego rozumie, ale gdzieś w środku czuję, że to trochę niegrzeczne.

Żłobki owszem, oglądamy na przyszłość, ale choć brakuje mi czasu na siebie, na myślenie, na czytanie, a czasem i na obcięcie paznokci, to każda myśl o niani na parę godzin rozbija się o paraliż decyzji, którą część dnia miałabym oddać. Leniwe przedpołudnie przeplatających się z sobą karmień i drzemek czy przegodowe popołudnie z zabawami i spacerem? Ile uśmiechów przegapię i ile zaskoczeń? Czy pisanie książki lub redagowanie wywiadu jest tego warte? Najchętniej przekażę komuś czas między 5 a 8 rano, kiedy jeszcze bym pospała – ale kto w Belgii pracuje w tak nieludzkich godzinach?

Ostatecznie jednak odsuwam ten moment, bo gdy jestem ze sobą najbardziej szczerą, gdy nie słucham podszeptów świata, że mogłabym zrobić coś, co się dla świata liczy, to niczego innego nie chcę. Co bowiem prześcignię towarzyszenie w odkrywaniu świata i robieniu rzeczy najpierwszy raz? Jak dotknięcie metalowej klamki mojej torebki, bo to pierwszy dotyk twardego, chłodnego metalu. Przestój, zamyślenie, dotykanie rękomyka dla porównania, a potem znów metalu. Patrzenie na liście i niebo, jakby widziało się je po raz pierwszy, bo może dziś widać je lepiej, ostrzej, w nowych kolorach. A to tylko ułamek, fragmencik jednego popołudnia, mikrozachwyty.

Co mogę mieć ważniejszego do roboty od obserwowania zachwyty pomieszanego z bezbrzeżnym zdziwieniem, gdy dziecko pierwszy raz pakuje do buzi truskawkę i zasysa jej sok, z oczami bijącymi czystym szczęściem? Każdy smak jest witany inaczej. Ogórek został przy pierwszym spotkaniu zignorowany. Powrócił jednak w upalne niedzielne popołudnie, tym razem wysysany z soku w zachłannym amoku. Czereśnia okazała się na razie nie równać truskawce, stanowi zbyt duże wyzwanie, mała, nieporęczna dla niedarnych rąk i bezębnej buzi.

Chciałabym zatrzymać ten moment czystego zachwyty, gdy nic nie jest powszednie. Kiedy ja ostatnio zatrzymałam się i poczułam te smaki z tak dziką radością i z takim zaskoczeniem przyjmowałam nieoczywistość struktury mięszu? Ach ten dziecięcy *mindfulness*, szkoła uważności. Zamiast jednak rozliczać się surowo z braku zachwyty, przypominałam sobie praktykę z tradycji judaizmu, jaką jest błogosławieństwo Szehechenu. Wychwała się nim Boga, który dał nam życie i podtrzymał je, pozwalając nam dożyć danej chwili. Można wychwalać, że podtrzymał nas przy życiu do specjalnej okazji i ważnego wydarzenia, ale należy też wyrazić Mu wdzięczność, gdy spożywamy owoc po raz pierwszy w sezonie. Mały, religijny trik, który pozwala zauważyć powracanie pór roku wraz z ich sezonowymi owocami. Rytuał zachwyty i wdzięczności. A że lato obfituje w smaki, za którymi tęsknimy wiele miesięcy, to będzie wiele okazji.

©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

O. WACŁAW

Oszajca: Jałowiec i szczęście



NA STUDIACH MÓWIONO NAM O WIELU gatunkach łaski. Najważniejsza uświęcająca, potem uczynkowa, usprawiedliwiająca, uprzedzająca, towarzysząca... dalej nie pamiętam. Mówiono też, że dobre uczynki tych, którzy są w grzechu śmiertelnym, na sądzie na nic się

zdzadzą, nie poruszano natomiast tematu „błogosławionej” winy, a o miłości mówiono półgębkiem. Musiało upłynąć sporo czasu, wyjść sporo książek, musieli zjawić się teologowie wykształceni „na Zachodzie” i z tego powodu nękanii jako nieprawomyślni, żebyśmy sobie uświadomili, iż wymagamy chrześcijańskiego życia od niechrześcijan, z nami włącznie.

Owszem, „od młodości” przestrzegaliśmy przykazań Bożych i kościelnych, i tych, które za takie uchodziły, ale w tej naszej pobożności nie było miejsca dla człowieka. Zapomnieliśmy, że to „szabat jest ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu”, a jeśli tak, to „Syn Człowieczy jest Panem również szabatu”. Syn człowieczy – tzn. ktoś przygotowany „zarówno w niebie, jak i na ziemi, aby być człowiekiem”. W ferworze walki z wszystkimi zapomnieliśmy, że to „z wnętrza, z serca ludzkiego [więc i mojego] pochodzą złe myśli, rozpusta, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zawiść, bluźnierstwo, pycha, głupota. Całe to zło wychodzi na zewnątrz i płami człowieka”. Objawem tego zapomnienia jest pytanie: „A kto jest moim bliźnim?”, i powiedzenie, że dawniej było lepiej.

Papież Franciszek mówił, że aby „prawdziwie żyć, nie można siedzieć”, trzeba „być w ruchu, marzyć, planować, być otwartym na przyszłość”. Niestety, często „blokuje nas wewnętrzna ślepota” i wtedy stajemy się „niezdolnymi do zauważenia obecności Pana, nieprzygotowanymi do stawienia czoła wyzwaniom rzeczywistości, nieumiejącymi odpowiedzieć na wiele palących pytań”. Ks. Michał Oleksowicz mówi: „Mam wrażenie, że przespaliliśmy w Polsce pontyfikat papieża Franciszka. Jest w naszym życiu kościelnym trzynaście lat wyrwy... Nie wybudził nas z letargu mocny apel papieża Franciszka, żeby Kościół był misyjny, wychodzący do ludzi, żeby księża nie byli klerykalni”. Jeśli to prawda, podobni jesteśmy do krzaka jałowca rosnącego na jałowej ziemi z Jeremiaszowej przypowieści, który to krzak „nie zauważa, gdy przychodzi szczęście”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Medytacja Izaaka



NIEMAL KAŻDA LEKTURA LEKCYONARZA pokazuje, że rację miał Benedykt XVI, kiedy podpowiadał nam, by Stary Testament odczytywać najpierw w kontekście jego własnej, czyli żydowskiej, tradycji egzegetycznej. Pierwszy z brzegu przykład: Rdz 24, 63. Najpierw przekład

z lekcjonarza: „Izaak wyszedł zamyślony na pole przed wieczorem”. Biblia Tysiąclecia: „Izaak wyszedł pogrążony w smutku na pole przed wieczorem”. Biblia Ekumeniczna: „Spacerował Izaak wieczorem po polu”. A teraz Tora Pardes Lauder: „Wyszedł Jicchak medytować na polu przed zmierzchem”.

W interpretacji żydowskiej Izaak nie wychodzi po prostu na spacer, żeby pomyśleć albo uwolnić się od smutku. Nie! Izaak wychodzi się modlić. Idzie na medytację. Co więcej, użyte tutaj hebrajskie słowo *siha* oznacza nie tylko „medytację”, ale również, a nawet przede wszystkim, rozmowę (Jonathan Sachs). Można by więc przetłumaczyć dosłownie: „Wyszedł Jicchak porozmawiać na polu przed zmierzchem”. Porozmawiać? Z kim? Na pustym polu? Odpowiedź może być tylko jedna: z Bogiem. I ta rozmowa otwiera Izaaka na przyjście nadchodzącej jego przyszłej żony, Rebeki. Relacja z Panem otwiera nas bowiem na prawdziwe i pełne miłości relacje z innymi. To by już nam wystarczyło, by zobaczyć różnicę w interpretacji jednego, pozornie niewiele znaczącego (w chrześcijańskich przekładach) zdania. Na tym jednak sprawa się nie kończy. Tradycja żydowska z tego właśnie zdania wyprowadza przykazanie modlitwy w ciągu dnia. Żydzi wywodzą praktykę trzykrotnej modlitwy w ciągu dnia z dziedzictwa patriarchów: poranną od Abrahama (Rdz 19, 27): „Wstał Abraham wcześniej rano i poszedł do miejsca, w którym modlił się”; wieczorną od Jakuba (Rdz 28, 10–15): nocne widzenie drabiny łączącej niebo z ziemią; południową od Izaaka, który „przed zmierzchem” wyszedł na medytację.

To piękne, tym bardziej że patriarchowie nie pełnili żadnych funkcji kapłańskich; nie byli wprost ludźmi świętymi, przez swój stan związanymi z kultem. Byli ludźmi w naszym rozumieniu „świeckimi”, ale także ludźmi przymierza z Bogiem, przeżywającymi (ożywiającymi!) to przymierze na modlitwie: trzykrotnej każdego dnia. I wszystko to kryje się w jednym zdaniu, jeśli tylko pozwolimy mu do nas przemówić w jego pierwotnym języku i kontekście. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



Car Mikołaj II błogosławi żołnierzy podczas wojny rosyjsko-japońskiej, ok. 1904-1905 r.

IKONY CARSKIEJ ARMII

Ponad 120 lat temu wojenny zapal ogarnął w Rosji także Cerkiew: duchowni święcili żołnierzy idących na wojnę z Japonią i dostarczali jej religijnego uzasadnienia. Głosy odrębne były nieliczne – tak jak dziś.

ALEKSANDER R. MICHALAK

NIEWIELU DUCHOWNYCH MA ODWAGĘ się sprzeciwić. Rosyjska Cerkiew legitymizuje wojnę Putina przeciw Ukrainie. Patriarcha Cyryl nazwał ją wojną świętą, zaakceptował nawet użycie broni nuklearnej. Niektórzy duchowni święcą nie tylko ludzi, ale także czołgi.

Takie podejście do wojny ma w Rosji długą tradycję. Błogosławieństwo Cerkwi towarzyszyło żołnierzom i marynarzom także 120 lat temu w wojnie przeciw Japonii. I także wtedy Cerkiew twierdziła, że to „wojna obronna” – wbrew faktom.

ZA WIARĘ I CARA | „Bieleją krzyże” na mandżurskich mogiłach śpiących rosyjskich bohaterów – bieleją przynajmniej w słowach tekstu najsłynniejszego walca, jaki upamiętnił upokarzającą klęskę carskiej armii 120 lat temu.

W równie lirycznym duchu pisał świądek jednej z przegranych bitew: „Oto oni – miłujący Chrystusa prawosławni żołnierze, błogosławieni przez Boga, złożyli na polu bitwy ciała jak i dusze za świętą wiarę, za cara i ojczyznę!”. Mało poetyckie, za to realistyczne opisy pozostawił polski uczestnik tej wojny, lekarz Kazimierz Górski (o czym za chwilę).

Wojna, na której wbrew woli znalazło się też wielu polskich poddanych cara, obnażyła słabość Rosji. Jej władca Mikołaj II był przekonany, że toczy walkę zgodnie z wolą bożą. W istocie poszło o geopolityczne interesy. Pod koniec XIX w. Japonia stała się krajem dynamicznym i rozwiniętym. Rozglądała się za nabytkami terytorialnymi i strefami wpływów w Azji. Stąd budowana przez Rosjan Kolej Transsyberyjska była w Kraju Kwitnącej Wiśni obserwowana z obawami – Japończycy wi-

dzieli zagrożenie, jakie niesło takie przybliżenie się Rosji do Dalekiego Wschodu.

Spory o chińską Mandzurię i zwierzchność w Korei doprowadziły w 1904 r. do wybuchu. Wojska japońskie zaatakowały Port Arthur, rosyjską bazę nad Pacyfikiem.

„ŚWIĘTA WOJNA” | Pewna swej przewagi Rosja nie zapomniała o transcendentnym wsparciu – zwracając się o pomoc do Boga, Matki Boskiej i świętych.

Wówczas, u progu XX w., carskie imperium było państwem na wskroś prawosławnym: związek między dynastią jej autokratycznych władców a Cerkwią nawiązywał wprost do bizantyjskiej symfonii. Wprawdzie koncepcja wojny sprawiedliwej św. Augustyna, tak istotna na Zachodzie (przynajmniej w teorii), nie odgrywała większej roli w Cerkwi Prawosławnej. Ale wśród świętych czczonych

w Rosji bardzo istotni byli ci „militarni”: Jerzy i Sergiusz z Radoneża.

Ten ostatni miał w XIV w. błogosłać księcia Dymitra, gdy wyruszał przeciw Tatarom. Stąd w późniejszych wiekach grób świętego odwiedzali chętnie rosyjscy dowódcy, prosząc o zwycięstwo. Także wtedy, w przeddzień wyruszenia na dalekowschodni front.

W okresie poprzedzającym wybuch wojny z Japonią niektórzy prawosławni hierarchowie, jak arcybiskup Chersonia, przekonywali wręcz, że śmierć za cara, namaszczonego przez Boga, to święty obowiązek jego poddanych.

OBJAWIENIE | Wojnę Rosji z Japonią, do której część rosyjskich polityków wręcz dążyła, miała zapowiedzieć cudowna wizja, której rzekomo doświadczył pewien rosyjski weteran wojny krymskiej z lat 1853-56. Miał on ujrzeć Matkę Boską stojącą na dwóch złamanych mieczach w otoczeniu aniołów i z Chrystusem górującym nad nią na tronie.

Maryja miała objawić weteranowi, że „Rosja wkrótce zostanie uwikłana w niezwykle trudną wojnę na brzegach dalekiego morza; czeka ją wiele nieszczęść”. Miała mu też nakazać, by namalował ikonę przedstawiającą ją w postaci, w jakiej mu się objawiła, i aby wysłał ją do Port Arthur.

Z uzasadnieniem, że jeśli ikona trafi w to miejsce, „prawosławie zwycięży nad pogaństwem, a rosyjscy wojownicy uzyskają moją pomoc, mój patronat i zwycięstwo”. Ikona powstała, ale nie dostarczono jej do Port Arthur przed zdobyciem go przez Japończyków.

„WOJNA OBRONNA” | Gdy się zaczęło, Mikołaj II wezwał na pomoc niebios, zaznaczając, że chodzi o wojnę obronną: „Z niezachwianą wiarą w pomoc Najwyższego i niezachwianą nadzieją w jednomyślną gotowość wszystkich Naszych prawdziwych poddanych do stanięcia z Nami w obronie Ojczyzny, prosimy o błogosławieństwo Boże dla Naszych walecznych oddziałów armii i marynarki wojennej”.

Świętobliwy Synod Rządzący, kierowniczy organ Cerkwi, pospieszył w sukurs władcy: stwierdził, że po raz kolejny wróg zaatakował rosyjską ziemię. Nie wspominając, że ziemię tę Rosja wcześniej odebrała Chinom – wszak Port Arthur był



Okladka francuskiej gazety „Le Petit Journal” z 30 października 1904 r. ze sceną z kampanii mandżurskiej. Paryż, 1904 r.

historycznie chiński, a konflikt toczył się o strefę wpływów poza Rosją, w Korei i Mandżurii.

W ślad za zwierzchnością wojnę wsparli liczni duchowni, w tym biskupi Moskwy i Petersburga. Biskup z Sum deklarował w imieniu żołnierzy, że są gotowi poświęcić życie, walcząc przeciw wrogom Chrystusa (Japończycy byli, z punktu widzenia Rosjan, poganami). W miastach odbywały się manifestacje, którym towarzyszyły nabożeństwa.

FUNKCJA OCHRONNA | Gazeta „Cerkiewne Wiadomości” zalecała żołnierzom zabranie na front krzyża lub ikony – miały spełniać funkcję ochronną. Przykład szedł z góry: dowódca wojsk lądowych Aleksiej Kuropatkin przed wyjazdem na front udał się do ławy troicko-sergiejewskiej, gdzie znajdowały się relikwie św. Sergiusza. Generał błogosławiono ikoną namalowaną na deskach z trumny tego świętego.

Amerykańska religioznawczyni Betsy Perabo w swojej książce wspomina, że żołnierze i dowódcy odbywali pielgrzymki, by uzyskać błogosławieństwo. Popularnością cieszył się zwłaszcza świeżo kanonizowany święty Serafin i poświęcony mu monastyr w Sarowie (obecnie święty ten czuwa – oficjalnie – nad nuklearnymi ładunkami Rosji). Udające się na front oddziały chętnie zabierały ze sobą ikony.

Arcybiskup Makary zapewniał żołnierzy, że śmierć na polu bitwy będzie śmiercią męczennika: „Wojownik, przelewając

krw w czasie bitwy, niesie swoją krew Bogu jako ofiarę. Bóg przyjmuje świętą ofiarę” (dla sprawiedliwości dodajmy, że biskup wspominał, by na wojnie okazywać dobroć wobec kobiet i dzieci).

GŁOS ODRĘBNY | W 2022 r., zanim rozkręcił się aparat represji, niemal trzystu duchownych rosyjskiej Cerkwi wezwało do zaprzestania „bratobójczej wojny”, wskazując, że naród Ukrainy ma prawo do własnych wyborów. Cytowali fragment odnoszący się do zbrodni Kaina: „Głos krwi twojego brata woła do mnie z ziemi”.

Również w rosyjskim prowojennym dyskursie w 1904 r. pojawił się głos odrębny. Był to głos pisarza Aleksieja Tołstoj, chrześcijańskiego pacyfisty. Rosyjska prasa religijna potępiła go za to z równym zapałem, co wcześniej pogańskich Japończyków.

Rozgoryczony Tołstoj konstatawał: „W całej Rosji, od carskiego pałacu do najodleglejszej wioski, duchowni, nazywający siebie chrześcijanami, odwołują się do tego Boga, który nakazywał miłować wrogów – do Boga Miłości – aby pomógł im w dziele diabła, by zwiększyć rzeź ludzi (...). Ci, którzy pozostają w domu, cieszą się z wiadomości o mordowaniu ludzi, a kiedy dowiedzą się, że wielu Japończyków zostało zabitych, podziękują komuś, kogo nazywają Bogiem”.

W rosyjskich źródłach znajdujemy też interesujący opis: oto pewien rekrut, który nie chciał iść na wojnę z powodów pacyfistycznych, został skonfrontowany z mnichem. Odbyła się między nimi dyskusja, w której ten drugi, obeznany w Biblii, wygrał, cytując prowojenne ustępy Pisma. Ku wzruszeniu otoczenia, „nawrócony” rekrut złożył ślub i wyruszył na wojnę.

KOSZMAR | Na wschód przez Syberię ruszyły pociągi z żołnierzami. Podróż Koleją Transsyberyjską i Wschodniochińską z Moskwy do Mukdenu trwała ok. 40 dni. Niektórzy, podróżując w nieogrzewanych wagonach dla bydła, docierali na front z odmrożeniami. Na miejscu żołnierze marzli tak, że – jak wspominał Górski – zdarzało się, że rozgrzebywali mogiły i wyrzucali ciała Chińczyków, by pozyskać drewno z trumien na ognisko.

Szybko okazało się, że wojna z Japonią nie przypomina niedawnej karnej ekspedycji do Chin, gdzie wojska carskie – razem z siedmioma innymi armiami (także →

→ japońską) – poczynają sobie jak w kolonialnej Afryce i Czerkiesji, grabiąc i mordując. Już w pierwszych dniach walk Rosja zobaczyła, że – parafrazując klasyka – Bóg stanął po stronie silniejszych batalionów. Armia japońska okazała się lepsza.

Późniejsze walce i tęskne pieśni obkleły patosem to, co było tylko koszmarem. Górski pisał: „Prawie codziennie rano siwy, brodaty pop z fioletowym od nadużycia alkoholu, grubym nosem, odprowadzał z odkrytą głową, w mróz siarczysty, w asystencji fałszywie zawodzącego chóru, złożonego z kilku żołnierzy, na miejsce wiecznego spoczynku, nad brzeg Chuń-che, pod wysokie wiązy, zwłoki biednych niewolników, którzy składali swe kości w obcej ziemi na wieczne zapomnienie”.

SZTURM | Rosjanie nie zaprzestali jednak odwołań do religii, czasem graniczących już z magią. Górski wspominał: „Przesuwano wojska w rozmaitych kierunkach, okrywając te ruchy niezwykle tajemniczością, obwożono ikony po pułkach i odprawiano solenne nabożeństwa”.

Szczególnie zapisał się epizod z walk nad rzeką Yalu, gdy duchowny Stefan Wasiliewicz Szczerbakowski, przebywający z syberyjskim regimenterem strzelców, poprowadził procesję – szturm na pozycję wroga, później uwieczniony na obrazach. Ubrany w strój kanoniczny, z uniesionym krzyżem, maszerował w kierunku wrogich wojsk. Za nim szli inni duchowni, a następnie szeregi strzelców skandujących „*Gospodi pomiluj*”.

Szczerbakowski, dwukrotnie postrzelony, przeżył tę przegraną bitwę. O ile w Rosji jego czyn wzbudził podziw, Japończycy odnotowali go jako dowód, iż Rosja

tkwi w epoce średniowiecznych krucjat. Zamieszkały w Japonii prezbiteriański pastor John Batchelor konstatował: „Ksiądz nie powinien znajdować się w awangardzie bitwy. Jego miejsce jest z tyłu, wśród chorych, rannych i umierających”.

ARMIA BUDDY | Japonia nie odwoływała się do religii w takim stopniu jak Rosja; podkreślała za to, że wojna powinna być prowadzona jako nowoczesna i cywilizowana w zgodzie z międzynarodowymi konwencjami. To, że Rosja traktowała ją jak wojnę religijną, miało według Japończyków świadczyć o jej zacofaniu cywilizacyjnym.

Po stronie japońskiej pojawiały się jednak pojedyncze głosy tych, którzy byli skłonni widzieć w tym konflikcie „wojnę buddyjską”. Gdy Tołstoj napisał do mistrza zen Soyen Shaku z prośbą o pacyfistyczną interwencję w obozie japońskim, tamten odpisał, że „czasami zabicie i wojna stają się konieczne w celu obrony wartości i harmonii jakiegokolwiek niewinnego kraju, rasy lub jednostki”. Shaku został kapelanem buddyjskich oddziałów.

Inoue Enryō, uczony buddyjski, widział tu nawet rodzaj wojny religijnej, gdyż w Rosji religia jest używana, jak dowodził, jako łańcuch mający jednoczyć rosyjski naród, i konkludował: „Jeśli ich armia jest armią Boga, to nasza jest armią Buddy”.

KURTUAZJA | Po stronie japońskiej takie oświadczenia miały jednak charakter incydentalny. Japonia wręcz odżegnywała się od koncepcji wojny rasowej i religijnej.

Prawosławna misja w Tokio z biskupem Mikołajem była chroniona, a nawet, jak opisywał ów duchowny, Japończycy zachowywali się taktownie, starając się

w jego obecności nie okazywać ostentacyjnej radości z powodów zwycięstw nad Rosjanami. Podczas świąt Bożego Narodzenia japońscy dowódcy przez kurtuazję nie atakowali rosyjskich pozycji.

Również w rosyjskich szeregach, mimo całego religijnego sztafażu, zwykle obyło się bez religijnego fanatyzmu względem „buddyjskiego wroga”, co po klęsce wypominali nawet niektórzy carscy militarni eksperci. Oficjalne instrukcje dla armii brzmiały, że powinna zachowywać się w sposób „cywilizowany”. Car był wszak inicjatorem konwencji haskiej z 1899 r.; żołnierze otrzymali rozkazy, by uszanować obcą religię i świątynie, a jeńców traktować humanitarnie.

WRÓŻBA | Latem 1904 r. doszło w Rosji do szeroko komentowanego incydentu: ukradziono ikonę Matki Boskiej Kazańskiej. Tę, której przypisywano ochronę kraju podczas wojen, m.in. pokonanie Polaków w 1612 r.

Brak ikony wydawał się złowróżbny, zwłaszcza w kontekście kolejnych klęsk w wojnie z Japonią. Niektórzy traktowali to jako znak, że Maryja odwróciła się od Rosji. Inni uciekali się do osadzonej w Biblii interpretacji klęski, wierząc, że choć Rosja walczyła za świętą sprawę, to przegrała, gdyż Bóg chciał pokarać ją rękami pogan za jej grzechy.

Niezależnie od interpretacji tym, co nie ulegało wątpliwości, była sama klęska.

Wiosną 1905 r. pod Mukdenem Japończycy pobili pobłogosławioną ikonami armię, potem w maju pod Cuszimą zatopili poświęcone rosyjskie okręty. Dwanaście lat później, wbrew słowom hymnu, Bóg nie zachował prawosławnego cara – upadły i dynastia Romanowów, i rosyjskie imperium. © ALEKSANDER R. MICHALAK



Błogosławieństwo pułku wyruszającego na front podczas wojny Rosji z Japonią

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00

PRĄDY OCEANICZNE, w tym również ich atlantycka pętla zwana AMOC, należą do najbardziej złożonych elementów globalnego systemu klimatycznego – a przez to także najmniej zrozumiałych i obecnie bardzo żywo dyskutowanych. Pod koniec 2023 r. ukazało się specjalne wydanie „Philosophical Transactions of the Royal Society A” podsumowujące dotychczasowy stan wiedzy na temat AMOC. Obraz, który się z niego wyłania, jest nieoczywisty.

WIĘKSZOŚĆ współczesnych modeli matematycznych wskazuje na bardzo wysokie prawdopodobieństwo tego, że AMOC będzie słabnąć w obecnym stuleciu, ale różni autorzy spierają się o to, jaka będzie skala tego zjawiska i czy przekroczy ono wartość krytyczną, po której nastąpi „katastrofalne załamanie” (oraz czy taka wartość w ogóle istnieje). Prawdopodobieństwo całkowitego wyłączenia się tego systemu przez większość badaczy oceniane jest jako niskie. W rozmowie z „Tygodnikiem” klimatolog René van Westen twierdzi, że zostało ono niedoszacowane.

OGRANICZENIEM dla jakości naszych modeli i prognoz są przede wszystkim niepełne dane (dotyczące m.in. stopnia zasolenia wody czy prędkości przemieszczania się jej, zwłaszcza na dużej głębokości), którymi dysponujemy. Wysokiej jakości, jednolite dane są zbierane dopiero od 2004 roku, w ramach tzw. programu RAPID.

TRUDNO też całkowicie oddzielać wpływ człowieka i przyrody. Wbrew temu, co sugerują denialści zaprzeczający jakiegokolwiek odpowiedzialności człowieka za zmiany klimatu, modele klimatyczne biorą pod uwagę istnienie naturalnych cykli planetarnych. W przypadku AMOC taki cykl może odpowiadać za przybierający obecnie na sile (od ok. 2010 r.) dopływ słodkiej wody do Atlantyku.

NIEWIADOMYCH ciągle jest wiele. Ale jeśli AMOC jednak się zatrzyma, to konsekwencje dla klimatu również będą nieoczywiste. © ŁŁ

PROGNOZA POD PRĄD

RENÉ VAN WESTEN, KLIMATOLOG:

Rośnie ryzyko, że z powodu zmian klimatycznych załamanie się atlantycki system prądów morskich. Wówczas, mimo globalnego ocieplenia, w Europie zrobi się dużo chłodniej. A na południu – ekstremalnie ciepło.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Na czym polega AMOC i dlaczego jest ważny dla Europy?

RENÉ VAN WESTEN: AMOC, czyli atlantycka południkowa cyrkulacja wymienna (ang. *Atlantic meridional overturning circulation*), to system prądów morskich – cyrkulacji wody w oceanie. Ponieważ krążąca woda transportuje ciepło, AMOC ma przemożny wpływ na klimat. Na powierzchni Atlantyku ciepłe i zasolone masy wody przemieszczają się od równika na północ. Gdy docierają do północno-zachodniej Europy, oddają do atmosfery dużo ciepła. Dlatego właśnie klimat jest tam stosunkowo łagodny. Jesteście w Warszawie?

Tak.

Warszawa leży mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej co Holandia. Nasz klimat jest znacznie cieplejszy niż np. w południowej Kanadzie, która znajduje się na podobnej szerokości geograficznej. Zawdzię-

czamy to właśnie działaniu AMOC-u, ogrzewającemu nasz region.

Klimat Europy, jaką ją dziś znamy, powstał dzięki AMOC-owi?

Tak. AMOC transportuje rocznie na północ około 1,2 petawata energii. To wystarczyłoby na zasilanie Holandii przez 15 tys. lat. Ta energia sprawia, że nasz klimat jest cieplejszy o nawet 5-10 stopni Celsjusza w porównaniu z innymi regionami na podobnej szerokości geograficznej.

Jeśli AMOC się zatrzyma, to będzie jak wyłączenie grzejnika w domu. Nasz klimat zacznie przypominać klimat Kanady.

Dlaczego miałoby się tak stać?

Siłą napędową AMOC-u jest to, że masy wody płynące na północ stają się coraz zimniejsze i coraz mocniej zasolone. Gdy docierają do Grenlandii, ta zimna i słona woda jest już bardzo ciężka. Opada więc na dno oceanu i na głębokości od dwóch do czterech kilometrów zaczyna płynąć z powrotem na południe. Tworzy to ogromny pas transportowy, ale by on prawidłowo działał, wody wokół Grenlandii muszą pozostawać bardzo zimne i bardzo zasolone.

Obecnie w wyniku globalnego ocieplenia pokrywa lodowa Grenlandii topnieje. To dodaje do Oceanu Atlantyckiego ogromne ilości wody słodkiej, która rozcieńcza zasolenie. Ciepła woda jest lżejsza od zimnej. Woda słodka też jest lekka. W efekcie proces, dzięki któremu dochodzi do opadania zimnej wody na dno, słabnie i może się potencjalnie całkowicie zatrzymać.

Czy coś takiego kiedykolwiek już się zdarzyło w historii Ziemi?

W rdzeniach pobranych z pokrywy lodowej Grenlandii znaleziono dowody na to, że w ciągu ostatnich 100 tys. lat ten system się wyłączał i włączał. Działo się tak podczas epok lodowcowych.

Pana zespół opublikował właśnie wyniki badań na temat

AMOC-u i przyszłego klimatu. Co dokładnie analizowaliście?

W pracy, którą opublikowaliśmy w ubiegłym roku, sprawdziliśmy, czy w naszych czasach może dojść do podobnego zjawiska. Już z wcześniejszych badań było wiadomo, że AMOC może słabnąć wskutek zmian klimatycznych, ale całkowitego załamania nie testowano w najbardziej zaawansowanych modelach dotyczących współczesnego klimatu. W naszym badaniu dowiedliśmy, że może dojść do zatrzymania AMOC-u.

Okazuje się, że współczesny system klimatyczny ma tzw. punkt krytyczny, po przekroczeniu którego dochodzi do fundamentalnej zmiany. Wówczas pojawia się cała kaskada różnego rodzaju efektów. Wykazaliśmy, że w Europie może dojść do bardzo silnego ochłodzenia, przesunięcia pasów opadów tropikalnych i innych zjawisk. Nasi koledzy, klimatolodzy z innych zespołów, zgłosili do tych wyników pewną słuszną krytykę. Pytali, co się stanie, jeśli AMOC się załamie, ale świat i tak nadal będzie się ocieplał – czy te efekty się zrównoważą?

W naszej najnowszej pracy chcieliśmy na to pytanie odpowiedzieć. Sprawdzaliśmy różne scenariusze, w których AMOC albo się odbudowuje, albo załamuje, przy jednoczesnym uwzględnieniu różnych scenariuszy zmian klimatu. Dzięki temu możemy sprawdzić, kto wygra tę walkę: czy efekt chłodzenia spowodowany załamaniem AMOC-u, czy globalne ocieplenie.

Scenariusz jak z „Godzilla vs King Kong”. Kto wygra?

Zaczęliśmy od konfiguracji przedprzemysłowej – czyli scenariusza, w którym nie występuje globalne ocieplenie. Taki scenariusz bardzo upraszcza pracę, bo wtedy analizowany jest tylko „czysty”

wpływ AMOC-u na klimat. W takim modelu, przy wygaśnięciu AMOC-u, widzimy naprawdę spektakularne reakcje klimatu Europy. W Holandii temperatury w ekstremalnie zimnych okresach spadają o 30 stopni Celsjusza, nawet do -40 stopni, a w Skandynawii nawet do -60 stopni.

Następnie przyjrzeliliśmy się scenariuszowi umiarkowanemu – takiemu, w którym średnia globalna temperatura rośnie o 2 stopnie Celsjusza. Wówczas efekt chłodzenia spowodowany załamaniem AMOC-u nadal przeważa. Europa staje się zimniejsza, podczas gdy reszta świata – coraz gorętsza. Pojawiają się naprawdę uderzające kontrasty.

To chyba dobry dla nas scenariusz?

Zdecydowanie nie. Tu nie ma żadnych pozytywów. Publikując nasze najnowsze badanie, byliśmy pewni, że niektórzy będą źle odczytywać nasze wyniki, twierdząc: „O, super! Klimat się ochładza! Europa jest uratowana!”. To całkowicie błędna interpretacja.

Jeśli AMOC się załamie, cała energia cieplna, która obecnie jest transportowana z półkuli południowej na północną, pozostanie na południu. To oznacza, że na południowej półkuli nastąpi ponadprzeciętne ocieplenie i to jest bardzo zła wiadomość dla mieszkańców tamtego regionu. Jednocześnie niektóre regiony półkuli północnej nadal będą bardzo ciepłe. Przy tym opady w północno-zachodniej Europie będą mniejsze o około 20 proc. rocznie, co może mieć ogromne konsekwencje dla rolnictwa i gospodarki wodnej.

Na tym jednak nie koniec, bo jeśli AMOC się załamie, to dojdzie do dodatkowego wzrostu poziomu wód w Oceanie Atlantyckim. Wiem, że dla Polski może

→

*Góry lodowe oderwane od lodowca Sermeq Kujalleq na Grenlandii.
Ilulissat, 30 czerwca 2024 r.*

→ nie mieć to wielkiego znaczenia, ale na przykład w Holandii, czyli kraju położonym poniżej poziomu morza, to już poważny problem.

I na koniec: kraje lodowe Arktyki, która obecnie znajduje się daleko na północy, może rozszerzyć się aż do wybrzeży Holandii, Norwegii, a nawet części Wielkiej Brytanii.

To wszystko razem oznacza, że mówienie „ochłodzenie to dobra wiadomość” jest totalnym nieporozumieniem. Ten scenariusz to bardzo zła wiadomość dla naszych społeczeństw.

Jak wyglądałaby typowa europejska zima bez AMOC-u?

Obecnie nasz klimat jest stosunkowo łagodny. W scenariuszu globalnego ocieplenia o 2 stopnie Celsjusza i zatrzymaniu AMOC-u średnie zimowe temperatury spadają o około 3-4 stopnie. To nie brzmi szczególnie dramatycznie, ale musimy pamiętać, że nikt nie żyje w „średniej”. W praktyce może to oznaczać, że ekstremalne spadki temperatury będą wynosić nawet 15 stopni.

Naszej infrastruktury, budynków czy systemów gospodarki wodnej nie projektowano pod kątem tak ekstremalnych warunków. Oczywiście, czasem mamy zimne zimy, ale to są zazwyczaj przypadki raz na wiele lat. W nowych realiach będziemy mieć znacznie więcej dni z mrozem.

Warto też pamiętać, że najpoważniejsze ochłodzenie dotknie północno-zachodnią Europę. Południe kontynentu pozostanie natomiast stosunkowo ciepłe. W rezultacie powstanie bardzo silny gradient temperatury, a to dodatkowo wzmocni aktywność niżów zimowych. Taki stan rzeczy sprawi, że będziemy mieć do czynienia z silniejszymi i bardziej gwałtownymi śnieżycami.

A co z latem? Czy w tym scenariuszu lato też staje się chłodniejsze?

Trochę. Zimą brak AMOC-u spowoduje, że temperatura spadnie średnio o ok. 3-4 stopnie Celsjusza, ale latem ten efekt jest o wiele słabszy i wynosi zaledwie od pół do jednego stopnia. Oznacza to, że efekt ochłodzenia pozostaje słabszy od tego, jaki powoduje globalne ocieplenie. Lata nadal się będą więc ocieplać.

Czyli dostajemy bardzo nieprzyjemne zimy i równie nieprzyjemne lata?



ARCHIWUM PRYWATNE

RENÉ VAN WESTEN to holenderski klimatolog i oceanograf związany z Uniwersytetem w Utrechcie, specjalizujący się w badaniach nad atlantycką południkową cyrkulacją wymienną (AMOC). Jego prace koncentrują się na modelowaniu dynamiki oceanu i przewidywaniu potencjalnych punktów krytycznych w funkcjonowaniu AMOC-u, które mogłyby doprowadzić do gwałtownych zmian klimatycznych. W swoich badaniach van Westen łączy dane obserwacyjne z zaawansowanymi symulacjami komputerowymi.

Najbardziej ucierpią te miejsca, które obecnie mają łagodny klimat i tylko czasami doświadczają surowych zim. Dla nich zmiana będzie najbardziej uderzająca. Ich klimat i infrastruktura nie są na to przygotowane.

A co z Polską? Czy tworzyliście modele również dla tej części kontynentu?

Korzystaliśmy z modelu klimatycznego, który obejmuje cały świat. I tak dla Warszawy ekstremalna temperatura zimą spada do -33,8 stopni Celsjusza, wcześniej to było -29,1 stopni. Średnia roczna temperatura spada z 8,8 do 7,9 stopni. Jednocześnie podwaja się liczba dni z mrozem – z 30 do 56, i z tropikalnymi upałami – z 16 dni do 29. Rosną skrajności: skwar latem staje się jeszcze bardziej intensywny, ale z drugiej strony zimowe mrozy się nasilają.

Bardzo trudno będzie do tego się przystosować, na przykład jeśli chodzi o budownictwo. Potrzebne będą domy świetnie izolowane zimą, ale jednocześnie zapewniające chłód latem. Infrastruktura również musi być bardziej elastyczna, aby temu sprostać. Także dla rolnictwa prze-

dłużające się zimy i letnie susze będą stanowiły poważny problem.

Czy to wszystko jest tylko hipotezą czy realnym zagrożeniem?

Wiemy, że AMOC może osiągnąć punkt krytyczny, i wiemy, że działo się tak w przeszłości. Najnowszy raport IPCC z 2021 r. stwierdzał, że ryzyko załamania AMOC-u do końca XXI w. jest niskie. Jednak badania z ostatnich lat zaczęły to podważać. Wynika z nich, że ryzyko jest większe, niż dotąd sądziliśmy.

Nasze badanie nie mówi nic o prawdopodobieństwie. Mówimy tylko tyle: AMOC może się załamać. Wiemy, że może się to stać wskutek zmian klimatu. I oto scenariusz „co by było, gdyby tak się stało”.

Wspomniane badanie tego nie mówi, ale musimy dopytać: kiedy może do tego dojść i jak długo mogłoby wówczas trwać załamanie AMOC-u?

Jeśli AMOC zacznie się załamywać, to potrzeba około stu lat, by przejść z jednego stanu do drugiego – z perspektywy życia człowieka to bardzo długo, ale biorąc pod uwagę, jak wcześniej zmieniał się klimat, to zjawisko gwałtowne.

A kiedy może do tego dojść? Z badania opublikowanego dwa lata temu wynika, że AMOC może się załamać do 2057 r. Jego autorzy spotkali się jednak z krytyką, bo wykazano, że ich model jest podatny na fałszywe alarmy. Mamy nadzieję, że wkrótce uda się rzucić na to więcej światła.

Czy można jakoś zapobiec załamaniu AMOC-u?

Tak. I prawdopodobnie już znacie odpowiedź. Trzeba ograniczyć emisje gazów cieplarnianych. To naprawdę jest aż tak proste.

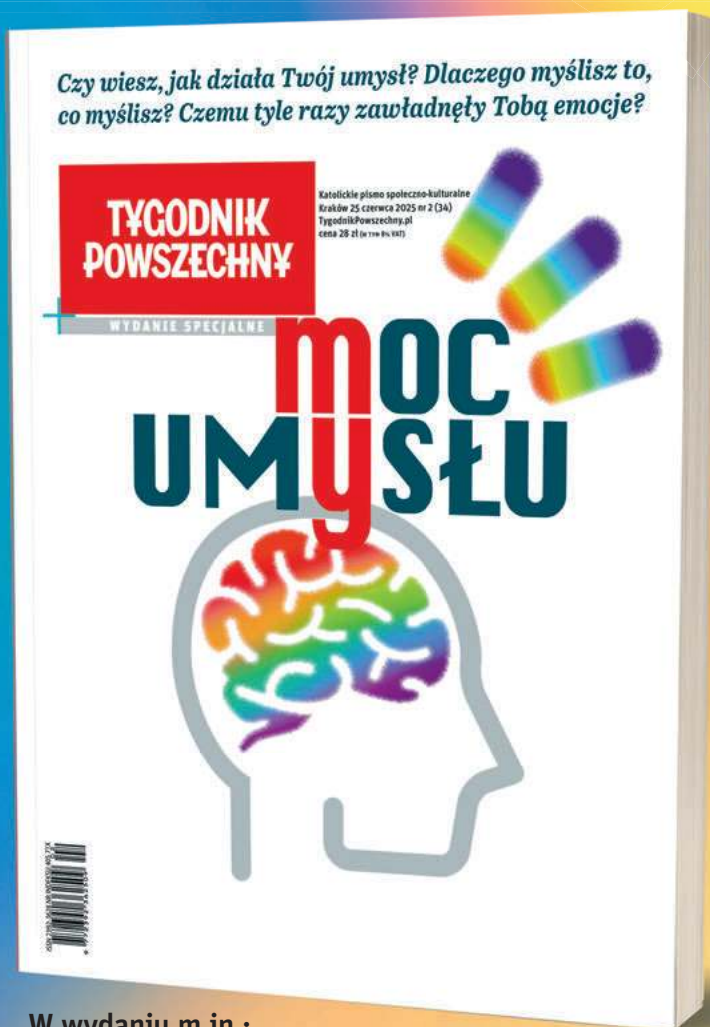
Po pierwsze, już samo globalne ocieplenie stanowi ogromne zagrożenie: powoduje fale upałów czy wzrost poziomu morza. Lista jego skutków jest bardzo długa. To powinno być wystarczającym powodem, by ograniczyć emisje. A po drugie – jeśli tego nie zrobimy, rośnie ryzyko uruchomienia punktów krytycznych w systemie klimatycznym. Jeśli więc ograniczymy globalne ocieplenie, taki scenariusz pozostanie tylko hipotezą.

© Rozmawiali AGATA KAŻMIERSKA i WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PREMIERA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

co odróżnia nas od maszyn



Potrafimy odczuwać, myśleć, rozumieć – albo tylko tak nam się wydaje. Nowe, specjalne wydanie „Tygodnika Powszechnego” to wyprawa w głąb umysłu. Zastanawiamy się, czym jest świadomość, czy AI naprawdę „coś czuje” i gdzie kończy się człowiek, a zaczyna maszyna. Pytamy o duszę, neurony, emocje. I o to, co czyni nas ludźmi.

W wydaniu m.in.:

ks. Michał Heller, Łukasz Lamża, Tomasz Stawiszyński, Olga Drenda, Bartosz Brożek, Eliza Kącka, Katarzyna Dziadowicz, Marcin Napiórkowski, Grzegorz Jankowicz, Dominika Dudek, Wojciech Bonowicz, Piotr Sikora i wielu innych.

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MOC UMYŚŁU” dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na sklep.TygodnikPowszechny.pl



Weź, czytaj i odkryj moc umysłu

48. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI KAROLA SZYMANOWSKIEGO W ZAKOPANEM

25.07–03.08.2025

PATRONAT HONOROWY
MARSZAŁKA
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO
ŁUKASZA SMÓŁKI
BURMISTRZA
MIASTA ZAKOPANE
ŁUKASZA FILIPOWICZA

Fuga



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programów „Muzyka” i „Zamówienia kompozytorskie”, realizowanych przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.
Projekt zrealizowano przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego.
Dofinansowano ze środków Urzędu Miasta Zakopane.



Współfinansowano ze środków ZAW STOART



polmicio.pl

Festiwal jak fuga

JAKUB PUCHALSKI

Międzynarodowy Festiwal Muzyki Karola Szymanowskiego przez minione 48 lat zdążył wrosnąć w podhalański pejzaż. Pod kierunkiem wybitnego pianisty, Piotra Sałajczyka, co roku jednak odmienia swe oblicze. Jakiego wydarzenia możemy spodziewać się w tym roku?



KAROLINA SAŁAJCZYK / MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Sałajczyk

PIOTR SAŁAJCZYK: Podczas poprzedniej edycji wpadłem na trochę szalony pomysł, żeby następny festiwal przybrał formę fugi. Zaplanowałem wówczas wykonywanie co roku jednej symfonii naszego patrona, chcąc zakończyć ten cykl podczas jubileuszowej, 50. edycji festiwalu. W tym roku ma zabrzmieć II Symfonia, która kończy się fugą. Szymanowski lubił tę formę i chętnie się nią posługiwał, jego twórczość jest właściwie bardzo polifoniczna, a fugi pojawiają się w niej już od wczesnych lat. Dobrym przykładem jest Preludium i fuga cis-moll z 1909 roku, która jest przeróbką jego fugi z okresu nauki u Noskowskiego. Fugę znajdziemy również w II Kwartecie smyczkowym, I i III Sonacie fortepianowej.

Szałeństwo pomysłu zakłada, że oddamy hołd nie tylko Szymanowskiemu, ale i samej fudze jako niezwykle kunsztownej formie muzycznej. Ma ona charakterystyczną budowę, którą chciałbym odtworzyć w programie festiwalu – jest w niej temat, są przeprowadzenia, które połą-

czone są łącznikami i prowadzą do kody, są również kontrapunkty. Tematem naszej festiwalowej fugi staje się kompozycja Szymanowskiego, która zderzona zostaje z utworem polifonicznym lub wręcz zawierającym w sobie fugę.

Kontrapunktami swobodnymi są nasze koncerty południowe. Mamy trzy przeprowadzenia, a łącznikami są koncerty specjalne, w których nie ma muzyki Szymanowskiego, ale oczywiście jest polifonia. Nasza festiwalowa fuga jest też poprzedzona preludium, tak jak u Bacha, do wykonania którego zaprosiliśmy Dominika Wanię, który zagra nam improwizację na temat muzyki Szymanowskiego.

JAKUB PUCHALSKI: Ciekawy pomysł, bo improwizacja – choć nie była typowa dla czasów Szymanowskiego, tylko raczej wcześniejszych, Chopina czy Bacha – dzisiaj stopniowo się odradza.

Dominik chętnie improwizuje w stylistyce Ravelowskiej – spodziewamy się pięknego wieczoru. To będzie 25 lipca – a od soboty

zaczyna się nasza fuga. Przeprowadzona zostanie przez 10 dni i 14 koncertów. Będą dwie orkiestry i najlepsi wykonawcy z Polski, a także świetni wykonawcy z zagranicy.

Repertuar koncertów będących „tematami” fugi, sięgać będzie Jana Sebastiana Bacha, którego przecież nie można pominąć, gdy mowa o fugach. Zapraszamy Arte dei Suonatori, czołowy polski zespół grający na instrumentach historycznych, który z Katarzyną Drogosz przy pianoforte wykona fugi Mozarta – też będące aranżacjami Bachowskich.

Polski kandydat na Konkurs Chopinowski, Mateusz Krzyżowski, zagra wspomniane Preludium i fugę Szymanowskiego, obok recitalu Chopinowskiego. Będą Wariacje i fuga na temat Händla Johanna Brahmsa, ale też arie samego Händla, przecież drugiego mistrza barokowych fug. Skrzypaczka Maria Sławek wykona fugi na skrzypce solo, Kwartet Śląski zagra Grosse Fuge Beethovena. Będą również prawykonania dzieł specjalnie skomponowanych na nasz Festiwal.

W Zakopanem ogromną atrakcją Festiwalu są też same miejsca koncertów.

Naturalnie, ale nie tylko koncertów, lecz i innych wydarzeń. Takich jak wykład profesora Marcina Trzęsioka na temat fugi, który odbędzie się w Domu pod Jedłami. Zapraszamy do willi Atma, w której mieszkał Szymanowski, oraz do hotelu Starmy, gdzie Szymanowski gościł. Oprócz tego będziemy w hotelu Belvedere, Galerii Orskiego, w Czerwonym Dworze oraz w Galerii Hasióra, którą szczególnie lubię – w sposób niezwykle muzyka łączy się tam z oryginalną sztuką Władysława Hasióra. Więcej informacji znajdziecie Państwo w naszych mediach społecznościowych, oraz na naszej stronie internetowej. Mnie pozostaje gorąco zaprosić wszystkich słuchaczy do Zakopanego!

Po więcej szczegółów przedstawionych przez Piotra Sałajczyka zapraszamy na stronę internetową.

powszech.net/festiwal2025

CZY MUZYKA MOŻE ZMIENIĆ ŚWIAT?

Najsłynniejszy koncert dobroczynny kosztował 4 miliony dolarów
i przyniósł 127 milionów na pomoc dla głodującej Etiopii.
Ale nadal, 40 lat po Live Aid, wciąż pytamy: czy pomoc dotarła tam, dokąd miała?
Czy tylko karmiła celebryckie ego?

FILIP ŁOBODZIŃSKI



TĘ HISTORIĘ ZNAJĄ, CHOĆBY POBIEŻ-
nie, nawet uczniowie dzisiej-
szych szkół. Z inicjatywy Irlandczy-
ka Boba Geldofa z The Boomtown
Rats i Anglika Midge'a Ure'a z Ultra-
vox największe gwiazdy popu i rocka
wystąpiły na żywo, by zwrócić uwagę
świata na klęskę głodu w Etiopii i wy-
generować darowizny na pomoc huma-
nitarną.

Siostrzane koncerty stadionowe w Lon-
dynie na Wembley i w Filadelfii na JFK
Stadium w sobotę 13 lipca 1985 r. wy-
znaczyły nowy paradygmat popkulturo-
wej akcji charytatywnej. Wszystkie ko-
lejne, jak Farm Aid, Rock Aid Armenia,
Hope for Haiti, Live 8, Nadzieja – Razem
dla Was, są dziećmi tamtego wydarzenia
sprzed 40 lat. Ilekroć pojawia się koniecz-
ność niesienia pomocy finansowej ofia-
rom katastrofy humanitarnej lub ekolo-
gicznej, tylekroć rodzi się myśl o organi-
zacji koncertu gwiazd, które za darmo
wesprą szczytny cel.

Czy da się jednak z całą pewnością
stwierdzić, że wygenerowane pienią-
dze faktycznie zasilą kasę potrzebują-
cych? I czy gwiazdom na pewno nie cho-
dzi o wizerunek, czyli wartość nie mniej
ważną niż kasowe wpływy?

Live Aid nie było pierwsze

Z pewnością ego nie odgrywało żadnej
roli 1 sierpnia 1971 r., gdy w nowojorskiej
hali Madison Square Garden odbywał się
pierwszy taki gwiazdorski spęd, Koncert
dla Bangladeszu. Organizator i współpo-
mysłodawca George Harrison miał wów-
czas cały świat u stóp, a i konkurencja nie
była tak ostra, by trzeba było rozpychać się
łokciami. Poza tym Harrison naprawdę
głęboko empatycznie odczuwał trage-
dię narodu bengalskiego, wyniszczanego
skutkami cyklonu Bhola i krwawej wojny.

Wchodzący wówczas w skład Paki-
stanu wielomilionowy kraj najpierw w li-
stopadzie 1970 r. padł ofiarą kataklizmu,
w wyniku którego śmierć poniosło po-

nad pół miliona ludzi. Ponieważ metro-
polia nie kwapiła się z należytą pomocą,
a rządzący z Islamabadu prezydent Mu-
hammad Yahya Khan blokował aspira-
cje narodowe Bengalczyków, w marcu
1971 r. wybuchła wojna o niepodległość.
Generał Yahya Khan osobiście odpowia-
dał za represje militarne, które doprowa-
dziły do śmierci kolejnych 3 milionów
mieszkańców Bengalu Wschodniego.

Wywodzący się również z narodu ben-
galskiego Ravi Shankar, indyjski wirtuoz
sitaru, bez trudu przekonał swojego ucznia
i przyjaciela, słynnego ex-Beatlesa, że w da-
lekich Azji dzieje się niewyobrażalna tra-
gedia, obok której świat przechodzi obo-
jętnie: miliony dziesiątkowane przez pa-
kistańskie wojsko, choroby, głód i nędzę,
szukające schronienia w Indiach, padały
dodatkowo ofiarami indyjskiej korupcji
(ryż kierowany do banglijskiej Dhaki na-
gle znalazł się parę tysięcy kilometrów
dalej, w Bombaju). W czerwcu 1971 r. Har-
rison siadł do telefonu.

→

Główna scena koncertu Live Aid na stadionie Wembley. Londyn, 13 lipca 1985 r.



DAVE HOGAN / GETTY IMAGES



PAUL NATKIN / GETTY IMAGES

→ Kilka tygodni później, nagrawszy wcześniej specjalnie na tę okazję piosenkę „Bangla Desh”, wystąpił w Madison Square Garden z dwoma koncertami, w których dodatkowo wzięli udział Ringo Starr, Billy Preston, Leon Russell, grający tylko na gitarze Eric Clapton (pogrążony wówczas w mroku heroiny) i Bob Dylan.

Sam koncert przyniósł 250 tys. dolarów wpływów, czyli relatywnie niewiele. Powstał jednak film i potrójny album koncertowy, których sprzedaż (do dziś) wygenerowała aż 17 mln dolarów – i licznik wciąż bije. Jednak 85 proc. zebranej kwoty, już wtedy kilkumilionowej, przez ponad dekadę leżała w banku, ponieważ IRS, amerykański urząd podatkowy, dochodził swojego udziału w pieniądzach uznanych za prywatny zysk osiągnięty na terenie Stanów.

Błąd organizatorów koncertu polegał na tym, że zarządzanie wydarzeniem i jego skutkami finansowymi powierzyli prywatnej firmie Apple Corps. Sądy ludzkie mełły powoli, tymczasem Bangladesz uzyskał niepodległość, władza demokratyczna zdołała się ustabilizować – ale, jak obliczył UNICEF, miliony dzieci banglijskich zmarło z głodu i w wyniku epidemii.

Do dziś nie wiemy, ile naprawdę kosztowało całe przedsięwzięcie, na jaki procent ulokowano wpływy w oczekiwaniu rozstrzygnięcia i przede wszystkim: ile pieniędzy powinno było trafić do Bangladeszu (IRS milczy). Wiadomo jedynie, że ostatecznie w 1982 r. dające się namierzyć miliony uwolniono, a od tego czasu wpły-

wami ze sprzedaży płyt i filmu „Concert for Bangla Desh” administruje fundacja założona przez Harrisona, co pozwala na zwolnienie od podatków i kierowanie pieniędzy od razu na konto UNICEF.

Bez wątplenia 1 sierpnia 1971 r. artyści czuli, że zrobili coś bardzo szlachetnego.

Poproszę o solo

„Zostawcie ego za drzwiami” – taki napis umieścił Quincy Jones nad wejściem do studia, gdzie 28 stycznia 1985 r. istny gwiazdociąg pod szyldem USA (United Support of Artists – Zjednoczone Wsparcie Artystów) for Africa zgromadził się w studiu A&M w Hollywood. Dwudziestu jeden solistów, ponad drugie tyle w chórkach i Jones za pulpitem dyrygentem to mniej niż jedna trzecia chętnych – pięćdziesięciu artystów odesłano z kwitkiem. Nazajutrz rano piosenka autorstwa Lionela Richiego i Michaela Jacksona „We Are the World” była gotowa.

Jak wiadomo, to też nie był precedens – jesienią 1984 r. z inicjatywy Geldofa i Ure’a napisaną przez nich piosenkę „Do They Know It’s Christmas?” nagrała podobna brytyjska konstelacja ochrzczona imieniem Band Aid (od marki plastra opatrunkowego).

Sam Geldof przyznawał w 1986 r., że do rock’n’rolla ściągnęły go marzenia o seksie i kasie, i dopiero gdy

już to miał, zrozumiał, że czegoś mu brakuje. Celu. Czy dostrzegłby ten cel, gdyby najpierw nie poszedł na lep celebry? Nie dowiemy się. I nawet gdyby, nie osiągnąłby tego, co zdołał, bo byłby nikim.

Czy artyści w studiu posłuchali Jonesa? Jak widzimy w dokumencie „The Greatest Night in Pop” (2024) w reżyserii Bao Nguyena, nie od razu. Wielu potraktowało to jako okazję towarzyską i pretekst do zabłyśnięcia. Sprawa miała zresztą drugie dno – oprócz wokalistów, którzy chcieli wystąpić i odeszli z kwitkiem, byli tacy, których w ogóle nie zaproszono, bo ich nie chciano – jak Madonna. Z kolei Prince odrzucił zaproszenie, uznając ponoć, że piosenka jest niskiej jakości, ale oferując do niej własne solo gitarowe, na co z kolei nie zgodził się Richie. Na potrzeby albumu Prince nagrał własne „4 the Tears in Your Eyes”.

Ego więc buzowało. Dopiero wygłoszone na początku sesji nagraniowej słowa Geldofa, uświadamiające uczestnikom wydarzenia, co naprawdę dzieje się w uciemnionej głodem i komunistyczną dyktaturą Etiopii, przywróciły hierarchię. Niemniej podczas nagrania nie u wszystkich widać należytą powagę, dominują ambicje artystyczne, żarty i dobre samopoczucie.

Parcie na szkło

Koncert dla Bangladeszu nie miał jeszcze szans na globalną transmisję. Ale lipcowy koncert Live Aid (na którym już Madonna wystąpiła) stał się dzięki technologii globalnym ewenementem. Bezpośrednie przekazy telewizyjne obejrzało niemal 2 miliardy ludzi.

Koncert organizowano w znacznie lepszych okolicznościach niż te, jakimi



dysponował Harrison. Udało się sprzedać bilety na dwa równoległe, mijające się tylko o różnicę stref czasowych koncerty. Telebimy na obydwu stadionach w czasie przerw w występach pokazywały, co dzieje się za oceanem.

Relatywnie niewielu artystów na obu scenach dobitnie dało publiczności do zrozumienia, że wiedzą, o co chodzi. Większość potraktowała to jako *show*, ufając, że brak honorarium wystarczy jako działanie dobroczynne. Nie wykorzystała więc okazji do tego, by największej publiczności w swoim życiu powiedzieć coś więcej od siebie. Ale wystąpili, nie wzięli gaży, to się liczy.

Dla zobrazowania globalności fenomenu Live Aid często przywołuje się Phila Collinsa, który w Londynie zagrał i solo, i ze Stingiem, po czym wsiadł w samolot i zdążył na występ Led Zeppelin jako ich dodatkowy perkusista. Logistycznie robiło to spore wrażenie. Ale, jak słusznie pytali potem niektórzy muzycy, czy Collins naprawdę musiał aspirować do bilokacji? Dlaczego równowartości biletu na lot nie przełał na konto fundacji, zamiast pokazywać się po obu stronach Atlantyku?

Szlachetność, niestety

George Harrison źle wybrał zarządcę funduszami. Ale dopiero Live Aid wpadło w pułapkę. Wpływy były znacząco większe – niemal 50 milionów funtów przelali widzowie i podmioty prywatne w ciągu jednej doby, a z czasem kwota urosła jeszcze niemal pięciokrotnie. Jednak nie wiadomo dokładnie, ile z tych milionów faktycznie zasililo fundusze niosące pomoc, a ile reżim Mengistu Haile Mariama wydał na kupno broni od ZSRR, by dalej gnębić obywateli. Pojawiały się też raporty mówiące, że część kasy przejęła partyzantka Tigralskiego Ludowego Frontu Wyzwolenia – także na cele militarne.

Afrykanie oglądający w latach 80. transmisję i z uwagą przypatrujący się przemianom społeczno-politycznym na kontynencie dziś często postrzegają Live Aid oraz obydwie poprzedzające koncert single jako przejaw zachodniego paternalizmu białego człowieka. Moky Makura, nigeryjska działaczka na rzecz zmiany wizerunku Afryki, pisała dwa lata temu, że piętno kontynentu głodu i zacofania, narzucone globalnym mediami przez Live Aid i bliźniacze inicjatywy, wciąż pokutuje, ponieważ koncert uruchomił cały



BETTMANN / GETTY IMAGES

znakomicie prosperujący, a nieprzejrzysty „biznes szlachetnego protekcjonizmu”.

Makura podkreśla, że intencje organizatorów z pewnością były jak najlepsze, ale media i wpływowi ludzie „poszli z prądem”: zaczął się proces eksploatacji stereotypu Afryki jako kontynentu pełnego cierpienia, zbrodni, korupcji, chorób i nieefektywności politycznej. Znowu została sprowadzona do statusu obszaru całkowicie zależnego od sytych Północy, oraz drugiego stereotypu – pieniędzy jako jedynego rozwiązania. Afryka nie chce jałmużny i litości, chce pełnoprawnej, zgodnej z nowoczesnymi zasadami współpracy – głoszą współcześni liderzy afrykańskich NGOów.

Spólnymi łańcuchami

O problemie można by napisać kilkadziesiąt różnych doktoratów, co pewnie już się stało. Co jednak z rozwiązaniami? Na postawione na początku pytanie, czy muzyka może zmienić świat, odpowiedź jest niejednoznaczna. Bo piosenka czy koncert nie są w stanie naprawić zła strukturalnego, nie uratują ludzi w zagrożeniu, nie wyposażą szkół, nie wykopią studni, nie wyleczą chorych, nie strącą tyranów. Co więc mogą?

Banalnie rzecz ujmując, obudzić świadomość. Banalnie – bo także teksty piosenek z przesłaniem dobroczynnym z reguły nie mają nic wspólnego z dobrą literaturą, są naiwnymi apelami do sumień. Ani „Bangla Desh”, ani „We Are the World”, ani „This Is for My Girls” (piosenka z 2016 r. na rzecz upowszechniania edukacji wśród kobiet), ani „Moja i twoja nadzieja”, ani „Obejmij mnie, Czeczenio” nie są dziełami lirycznymi; mają inne zadanie – poruszyć.

George Harrison i Eric Clapton podczas koncertu Bangla Desh w Madison Square Garden. Nowy Jork, 1 sierpnia 1971 r.

Po lewej od góry: Madonna podczas Live Aid w Filadelfii. 13 lipca, 1985 r.

Na dole: Bob Geldof przed rozpoczęciem koncertu Live Aid na londyńskim stadionie Wembley. 10 lipca 1985 r.

Piosenki mają siłę jednoczącą, zawsze miały – zaświadcza o tym niewolnicy śpiewający na plantacjach bawełny czy więźniowie budujący drogi, żeglarze intonujący szanty czy ruszający w bój żołnierze. Muzyka ma podobne duchowe supermoce co religia – potrafi natchnąć poczuciem wspólnoty, niekiedy wskazać cel. Pieśń protestu odegrała istotną rolę uświadamiającą w początkach lat 60. XX wieku na Zachodzie i podobnie działała i działa dekady później na wschodzie Europy. Wiedzą o tym białoruscy i ukraińscy muzycy.

Piosenki i koncerty mają większą nośność niż serwisy informacyjne. Nie umyka to inicjatorom muzycznych akcji charytatywnych. Dzięki nim udało się upowszechnić świadomość tragedii, które je zainspirowały. Czy to automatycznie oznacza, że piosenki i koncerty mogą być lekarstwem uśmierającym ból tego świata?

Pięknoduchy czy inspiratorzy?

Pop nie mieszka w jednym pokoju z ubóstwem, w dodatku skutecznie konkuruje z nim o oglądalność. Dlatego tak opłaca się wykorzystać gwiazdy popu, by dotrzeć do publiki, którą emocjonują wieści o ich zarobkach, rozwodach i dzieciach. Łykanie wszystko o Jennifer Lopez? To wiedzieć, że J.Lo przekazała 4,5 mln dolarów cierpiącym Palestyńczykom. Nazywamy to ekonomią uwagi.



→ Nie przeczę, uczestnictwo w wydarzeniu typu Live Aid w wypadku większości artystów i odbiorców przypomina zaliczenie egzaminu wedle zasady „3Z” (zakuj, zdaj, zapomnij). Ale to naturalne, bo tylko nieliczni są w stanie żyć na co dzień ze świadomością dziejącego się gdzieś nieszczęścia. Niemniej pomoc ma sens wtedy, gdy nie jest efemeryczna jak kwiat paproci, ale ma swój ciąg dalszy. Dwa przykłady.

W czerwcu 2011 r. współorganizowałem z żoną festyn Psota w Fortecy na rzecz zajmującej się bezdomnymi psami Fundacji Ostatnia Szansa. Były cztery koncerty, porady behawiorystów, stoiska z książkami i ozdobami, warsztaty dla dzieci, pokaz *line dancing* czy aukcja darów ofiarowanych m.in. przez Olę Tokarczuk, Kasię Adamik, Marię Seweryn, Tomasza Stańkę, Macieja Stuhra, Andrzeja Saramonowicza, Daniela Olbrychskiego czy Krzysztofa Knittla. Festyn przyniósł kwotę, której Fundacja nie zdobyłaby w ciągu kilku godzin, cel krótkoterminowy został więc osiągnięty. Ale po Psocie na koncie fundacyjnym nie pojawiły się regularne nowe wpłaty. Ludzie przyszli, dali i zapomnieli.

Słynna „twarz głodu”, czyli Etiopka Birhan Woldu, której zdjęcie było symbolem Live Aid, po latach mówiła, że niechciana sława nie przyniosła jej niczego dobrego: „Nadal mieszkam w nikczemnych warunkach z dwiema córkami i nie mogę znaleźć pracy”. Woldu wskazuje, że choć inicjatywa Geldofa uczyniła wiele, to nie wspomogła zmian systemowych. A to one są kluczowe przy likwidacji skutków tragedii. Dlatego przy organizowaniu koncertu dobroczynnego ważnych jest jeszcze kilka rzeczy.

Utrzymać ego w ryzach, by nie okazało się, że głównym celem imprezy jest nie pomoc, a marketing artysty.

Umiejętnie sformułować przekaz, by był czytelny, przejmujący i wiarygodny. A także w jasny sposób określić, na czym rzecz mają iść ofiarowane środki.

Zadbać o przejrzystą i uczciwą księgowość.

Myśleć strukturalnie i tak sformułować cel, by efekty wykroczyły poza doraźny horyzont – tak by nie odpychać pieniędzmi problemu i nie poprawiać nimi własnego sumienia, ale przyczynić się do polepszenia świata.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Czytaj, czyli scrolluj

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

KOMIKS | Rewolucja technologiczna wpłynęła na proces twórczy, dystrybucję treści i kształt czytelnictwa. Webkomiksowi giganci wytyczyli szlak, którym podążył przemysł kultury. Tylko na platformach Naver o uwagę czytelników walczą ponad 24 miliony twórców.

GDY BYŁEM DZIECIAKIEM, CZYTAŁEM skanlacje, czyli chałupnicze przekłady komiksów, które na przełomie pierwszej i drugiej dekady nowego milenium załazy rodzimą sieć. Zanim legaliści doprowadzą mnie na szafot, dodam, raczej desperacko, że były to zupełnie inne czasy. Wówczas nie powstawały osiedla paczkomatów, półki wiejskich bibliotek ugiwały się głównie pod ciężarem kurzu, a sytuacja materialna rodzin z gospodarstw małorolnych nie sprzyjała zakupowemu szaleństwu w dyskontach spożywczych, a co dopiero w księgarniach. Dostęp do kultury był utrudniony.

Dziś raczkujący czytelnicy komiksów mają łatwiej. Wystarczy sięgnąć po smartfon, aby uzyskać legalny, bezpieczny i darmowy dostęp do przepastnej biblioteki webkomiksów. Mówiąc memem: „Kiedyś to nie było, a teraz to jest”.

Era komputera

Cyfrowe komiksy to nie jest żadne *novum*; pierwsze publikowano w internecie już w latach 80., na długo przed upowszechnieniem sieci WWW. Za pionierski webkomiks uznaje się „Witches in Stitches” Erica Millikina, sztubacką parodię „Czarnoksiężnika z Oz”. Początek lat 90. przyniósł wzrost dostępności usług komputerowych, a wraz z nim wysyp internetowych historyjek obrazkowych na wzór komiksów prasowych ze studenckich magazynów. Dopóty internet sprzyjał oddolnym inicjatywom i niezależnym twórcom, dopóki konglomeraty medialne trzęsące przemysłem rozrywkowym nie dostrzegły jego komercyjnego potencjału. Gdy to się stało, platformy

streamingowe zaczęły pojawiać się jak grzyby po deszczu, a domy wydawnicze przystąpiły do digitalizacji swoich zbiorów.

E-wydania popularnych komiksów nie różniły się zasadniczo od egzemplarzy drukowanych. Co prawda platformy eksperymentowały z funkcją czytania kadr po kadrze, lecz koniec końców doświadczenie lektury sprowadzało się zazwyczaj do wertowania cyfrowych stron, co było rozwiązaniem dogodnym dla posiadaczy tabletów i osób przywiązanych do pecetów, lecz rozmija się z oczekiwaniami współczesnych internautów – użytkownicy sieci łączą się z nią najczęściej za pomocą smartfonu.

W opowiadaniu o webkomiksowej rewolucji amerykocentryzm jest niewskazany, bowiem obecne trendy wyznaczone w Korei Południowej. Historia zaczyna się podobnie: w latach 90. urzeczywistniły się hasła o demokracji sztuki, internet stał się przystanią dla domorosłych artystów. Różni się natomiast tło wydarzeń: podczas gdy na amerykańskim rynku komiksowym trwał okres *prosperity* (to spore uproszczenie, lecz konieczne dla zachowania przejrzystości wywodu), manhwa karłała. Wzrost zainteresowania webkomiksami był po części skutkiem postępującej cyfryzacji, a po części odpowiedzią na oczekiwania czytelników, poszukujących alternatywy dla małpujących mangę manhwy. W obliczu azjatyckiego kryzysu finansowego nie bez znaczenia była także ich darmowość.

W 2003 r. portal Daum uruchomił platformę dla webkomiksów Daum Webtoon, rok później powstało powiązane z najpopularniejszą koreań-



AGNIESZKA AKAA KAMIENSKA / MATERIAŁY PRASOWE

Postać Rossmann-kuna z Yaoi Market

ską wyszukiwarką internetową Naver Webtoon (nad Morzem Żółtym komiksy internetowe nazywa się właśnie webtoonami). Publikowane na nich historyjki znacząco różniły się od standardu ComiXology – Koreańczycy postawili na przyjazny smartfonom format wertykalnych pasków komiksowych; webtoony przeżywają się jak strony serwisów społecznościowych.

Podporządkowanie się nawykom odbiorczym internautów było jednym z powodów, dla których webkomiksy stały się światowym fenomenem i ważnym ele-

mentem *hallyu*, czyli koreańskiej fali (dość powiedzieć, że na obu platformach znaleźć można komiksy firmowane nazwiskami gwiazd k-popu). Z usług Webtoona korzysta miesięcznie ponad 150 milionów użytkowników. Według szacunków w 2024 r. wartość segmentu webtoonów przekroczyła osiem miliardów dolarów.

Pożegnanie z peleryniarzami

O ile w opowieści o rozwoju webkomiksów wątek uwarunkowań technologicznych jest niepomijalny, o tyle źródła bujnego rozkwitu platform, takich

jak Webtoon i Tapas (w Korei ich odpowiednikami są Naver Webtoon i Kakao Webtoon, w Japonii – Line Manga i Piccoma), można doszukiwać się także w strategii biznesowej. Potentaci udostępniają swoje katalogi najczęściej za darmo (częstą praktyką jest jednak pobieranie opłat za przedpremierowy dostęp), zarabiając między innymi na sprzedaży przestrzeni reklamowej czy licencji.

Przyczyny sukcesu komiksów internetowych mają wymiar tyleż ekonomiczny, co społeczny. Twórcom webtoonów udało się zaskarbić sympatię grup, których tradycyjne wydawnictwa nie potrafiły do siebie przekonać: przedstawicieli pokolenia Y i Z. 80 procent osób korzystających z Tapasa nie ukończyło dwudziestego piątego roku życia, aż dwie trzecie z nich stanowią kobiety.

– Webtoony to coś, czego młodym czytelnikom i czytelnikom komiksu w Polsce brakuje. Tytuły najmocniej promowane raczej nie są dla nich przeznaczone, tymczasem na Webtoonach opowieści młodzieżowych i *young adult* jest pod dostatkiem – mówi Agnieszka „Akaa” Kamińska, autorka webkomiksów „Luna’s Shape” i „Yaoi Market”. Oferta webtoonów kierowana jest nie tylko do kobiet, lecz także osób queerowych. Podczas gdy w komiksowym mainstreamie nieheteronormatywna perspektywa przez lata zajmowała poślednie miejsce, w chwili pisania tekstu na szczycie zestawienia najpopularniejszych serii na Webtoonie znajdują się gejowski romans „Love Bites” oraz „Osora”, wywracająca na nice stereotypowe myślenie o rolach płciowych i tożsamości.

„Ponieważ jesteśmy raczej platformą dystrybucyjną niż wydawnictwem, różnicowanie oferty i dążenie do tego, by każdy znalazł coś dla siebie, jest dla nas bardzo istotne” – stwierdził w rozmowie z „JCv2” dyrektor ds. treści Webtoona David Shinok Lee. Słowa te znajdują odzwierciedlenie w przekroju gatunkowym webkomiksów, na który składają się zarówno niezwykle poczytne romanse i obyczajówki, jak też czerpiące garściami z *shōnen-mangi* komiksy science fiction, fantasy i sensacyjne. No właśnie, manga...

– Nie da się zaprzeczyć, że dominuje kreska azjatycka. Takie komiksy są chętniej promowane przez Webtoona, co widać na pierwszy rzut oka. Wcześniej było



Rysunek z komiksu „Jastrzębia Pieśń” Pauliny Obutelewicz



Plansza z komiksu „The Witch's Throne”

→ nieco inaczej, platforma poszukiwała innych stylów. Czytelnicy często sami szukają czegoś innego, bo są znudzeni powtarzalnymi historiami – przyznaje Paulina „Kirisława” Obutelewicz, twórczyni webkomiksów „Zielarka” i „Jastrzębia Pieśń”.

Niekończąca się opowieść

Format webtoonów sprawia, że wzrok czytelnika podąża wzdłuż osi wertykalnej (w druku kierunek sekwencji najczęściej wytyczają linie poziome). Co ważne: czytając książkę, obejmujemy wzrokiem całą stronę, interpretując nie tylko treść kadrów, ale również ich układ. W wypadku webkomiksów w wyznaczonej przez ekran smartfonu lub komputera ramie mieści się pojedynczy кадр; nie obowiązuje również podział na strony, co przekłada się na zabiegi narracyjne wykorzystywane przez autorów.

– Tworząc webtoony, można bawić się gładkimi przejściami, gdzie na przykład

zmienia się pora dnia, dzień stopniowo przechodzi w noc. To bardzo eteryczne. Można też eksperymentować z przestrzenią między kadrami, umieszczać w niej różne informacje – tłumaczy Akaa.

Webtoony przypominają urzeczywistnienie pojęcia nieskończonego płótna (*infinite canvas*) Scotta McClouda. Ten teoretyk komiksu doszedł do wniosku, że cyberprzestrzeń jest zasadniczo nieograniczona, a tym samym webkomiksy mogą dowolnie się rozrastać oraz zachowywać ciągłość narracji.

– Webtoon tworzy się trochę jak animację, gdzie scrollując pasek, odzwierciedlamy ruch. Jeżeli sekwencja ma być dynamiczna, bo dotyczy na przykład walki, ograniczamy przestrzeń między kadrami, ponieważ chcemy, aby czytelnik mógł szybko między nimi przejść. Jeżeli zależy nam na chwili refleksji albo próbujemy zbudować napięcie, zwiększamy ten odstęp, a wraz z nim czas zawieszenia, kiedy czytelnik nie wie, co zobaczy w następ-

nym kadrze – dodaje twórczyni „Luna’s Shape”.

Komiksy nie są rysowane przez maszyny (i niech tak pozostanie), dlatego idea nieskończonego płótna wzięta została przez autorów w nawias. Webtoony nie rozwijają się bez końca. Wręcz przeciwnie – publikowane są w odcinkach, które według Davida Shinoka Lee liczą średnio od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu kadrów, co odpowiada maksymalnie dziesięciu stronom drukowanego komiksu. Cykliczne udostępnianie drobnych fragmentów historii ułatwia podtrzymanie zaangażowania czytelników.

O uwagę czytelników platform Naver walczą ponad 24 miliony twórców. Autorzy radzą sobie z koniecznością częstego udostępniania nowych odcinków na różne sposoby.

– Wielu artystów korzysta z gotowych teł ze SketchUp. Znajdują modele pomieszczeń, miast, a następnie wklejają wyrenderowany obraz do komiksu.



MATERIAŁY PRASOWE

Kadry z komiksu „Wianek”, autorstwa Arttricia & Hophop

Niestety, często w żaden sposób ich nie przerabiają, przez co webtoony tracą na jakości. Ja używam Blendera, gdzie tworzę własne modele 3D, a następnie je podmalowuję, aby nie kłuły w oczy i były zgodne ze stylistyką komiksu – przyznaje twórczyni „Jastrzębiej Pieśni”. Rewolucja technologiczna wpłynęła więc w równym stopniu na proces twórczy, dystrybucję treści i kształt czytelnictwa.

Transmedialny tygiel

Webkomiksowi giganci wytyczyli szlak, którym podążył przemysł kultury. Ponad dziewięćset utworów z katalogu Webtoona zostało przekutych w filmy, seriale, anime, książki i gry wideo. Takie przetworzenia stanowią fundament koreańskich komiksów internetowych. Przykładowo: powieść internetowa (*web novel*) „Solo Leveling” Chugonga została zaadaptowana na webtoon, który w 2024 r. posłużył za kanwę animowanego serialu. To doskonale oddaje istotę strate-

Powodzenia webtoonów nie należy traktować jako zwiastuna upadku mediów drukowanych.

Oba środki przekazu mogą żyć w symbiozie.

gii webkomiksowych wydawnictw, dążących do wykorzystywania własności intelektualnych na różnych polach eksploatacji. W końcu Webtoon jest częścią konglomeratu, w którego skład wchodzi wytwórnia filmowa Studio N oraz, od niedawna, Wattpad – największa platforma dla nieprofesjonalnej literatury, która dała początek karierze Weroniki Marczak, autorki diabelnie poczytnej „Rodziny Monet”.

Powodzenia webtoonów nie należy traktować jako zwiastuna upadku mediów drukowanych. Oba środki przekazu mogą żyć w symbiozie. Twórcy, którzy zachowują prawa do swoich tytułów, coraz częściej decydują się na publikowanie wydań fizycznych.

– Obecność wersji cyfrowej „Yaoi Market” bardzo mi pomogła. Gdyby nie pojawił się w formie webtoona, nie byłby tak popularny. Ludzie często nie chcą kupować kota w worku, wolą zajrzeć do środka, zanim nabędą tomik – mówi Kamieńska. Decyzja o nabyciu albumu nie jest jednak w całości podyktowana pragmatyzmem. Książka stała się artefaktem kultury fanowskiej, a jej zakup aktem wdzięczności dla swoich ulubieńców. Środowisko czytelników webtoonów bywa chimeryczne, ale to właśnie wokół niego tworzy się najwięcej współczesnych fandomów. Webkomiksy to fenomen, którego nie da się przescrollować i zapomnieć. © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Tropami lisów

PIOTR KOSIEWSKI

SZTUKA | Berlińskie Biennale powstawało na fali entuzjazmu po wydarzeniach 1989 r., końca zimnej wojny i kresu podziału świata. Tegoroczna edycja rozgrywa się w całkowicie innych czasach. Czy artyści są zdolni do odnalezienia się w tej nowej rzeczywistości?

W TYM ROKU MIJA 35. ROCZNICA zjednoczenia Niemiec, wydarzenia, które zmieniło radykalnie oblicze Berlina. Miasto stało się stolicą RFN, ale także bardzo ważnym miejscem na mapie współczesnej sztuki, a organizowane od 1998 r. Biennale Sztuki Współczesnej jednym z kluczowych wydarzeń w europejskim życiu artystycznym. Pokazywało Berlin jako miasto nowoczesne, otwarte.

Bardzo szybko zaczęto prosić o przygotowanie Biennale osoby spoza Niemiec. W 2006 r. jednym z jego kuratorów został Maurizio Cattelan, jeden z najgłośniejszych artystów obecnego stulecia. Za kolejne Biennale odpowiedzialni byli Polak Adam Szymczyk i Amerykanka Elena Filipovic. Później przygotowali je m.in. Artur Żmijewski, amerykański kolektyw DIS czy – ostatnie – algiersko-francuski artysta Kader Attia. Za tegoroczną edycję jest odpowiedzialna urodzona w Mumbaju kuratorka i pisarka Zasha Colah. Zaprosiła ponad 60 twórczyni i twórców. Większość pochodzi z Afryki, Ameryki, przede wszystkim zaś Azji Południowej i Południowo-Wschodniej.

Co mówią miejscówki

Biennale od samego początku wpisywało się w przestrzeń miasta. Wystawy organizowano w miejscach znaczących dla Berlina i jego historii, za każdym razem stawiając pytanie o ich historię i obecne funkcje. Na wyspie muzeów, w Alte Nationale Galerie, najważniejszym muzeum sztuki niemieckiej XIX wieku i w Kaufhaus Brenninkmeyer, opuszczonym domu handlowym, wzniesionym na początku ubiegłego stulecia przez twórców sieci C&A, jednego z symboli niemieckiej gospodarki. W dawnej siedzibie Stasi i na ostatnich niezabudowanych terenach po murze berlińskim.

Tegoroczna edycja odbywa się w czterech miejscach. Jedną z nich jest stworzony w 1991 r. KW Institute for Contemporary Art, który powołał Biennale i od samego początku jego organizacji prezentowano w nim zasadniczą część wystawy. Drugą Hamburger Bahnhof, muzeum sztuki nowoczesnej, otwarte w 1996 r. w dawnym budynku dworca, który po II wojnie przez lata stał opuszczony.

To dość oczywiste lokalizacje, ale też obie są symbolami miasta po Zjednoczeniu Niemiec i nadziei związanych z rozpadem Bloku Wschodniego. KW stworzone w podupadłych dawnych

pofabrycznych zabudowaniach na terenie byłego Berlina Wschodniego było miejscem eksperymentalnych praktyk artystycznych i przykładem nowego podejścia do tworzenia i prezentacji sztuki współczesnej. Hamburger Bahnhof jako część Nationale Galerie nie tylko miał wprowadzać współczesność do kanonu sztuki, ale też go rewidować. Narzuca się pytanie, czy w czasach kolejnego przełomu obie instytucje nadal pełnią taką rolę. Pytanie o ich niezależność i przyzwolenie na to, by były miejscem otwartym na przedstawianie krytyki – czy to polityki państwa, czy to świata sztuki.

Dwa pozostałe miejsca przywołują inny okres historycznego przesilenia, z początku ubiegłego stulecia. Jednym z nich jest Sophiensæle, siedziba niezależnego centrum teatralnego mieszczącego się w budynku wzniesionym w latach 1904-1905 dla Domu Stowarzyszenia Rzemieślników. Tu prowadzono działalność kulturalną, edukacyjną i polityczną. To tu przemawiali Róża Luksemburg i Karl Liebknecht. Dom został zamknięty przez NSDAP po dojściu Hitlera do władzy, a w przejętym budynku mieścił się obóz pracy przymusowej dla cywilów.

Z historią ruchu robotniczego jest też związany dawny budynek sądu przy Lehrter Straße. To w nim w 1916 r. odbył się słynny proces Karla Liebknechta, aresztowanego za zorganizowanie antywojennej demonstracji w Berlinie, który zakończył się jego skazaniem na cztery lata więzienia. Później ten gmach był więzieniem śledczym, a po drugiej wojnie siedzibą administracji sąsiadującego z nim więzienia dla kobiet, w którym osadzono m.in. członkinię Frakcji Czerwonej Armii.

Biennale stawia pytania o dzisiejsze znaczenie tych miejsc, ich historii, osób i idei z nimi związanych. O zapisaną w nich pamięć. Czasami wprost, jak włoska artystka Anna Scalfi Eghenter,

która w dawnych pomieszczeniach sądu odtwarza dzieje Liebknechta i jego procesu, ale też stawia pytania o aktualność jego tekstów dzisiaj.



Huda Lutfi, „The Fool's Journal”, 2013/14, papier, drewno, 13. Berlińskie Biennale Sztuki Współczesnej



Długi cień dwóch kongresów

Berlińskie Biennale powstawało na fali entuzjazmu po wydarzeniach 1989 r., końca zimnej wojny i kresu podziału świata. Tegoroczna edycja rozgrywa się w całkowicie innych czasach. Czy artyści są zdolni do odnalezienia się w tej nowej rzeczywistości? Jedną z prac najbardziej zwracających uwagę są „The Stairway” Margherity Moscardini (obok). Nieoczywistą, bo odwołującą się do religijnego dziedzictwa. Włoska artystka odtworzyła fragment dziedzińca jerozolimskiej świątyni Grobu Matki Boskiej, jednego z miejsc, w którym nadal obowiązuje wprowadzona w połowie XIX wieku zasada *status quo* regulująca równy dostęp do miejsc wielowyznaniowych w Jerozolimie i Betlejem. Jej praca została stworzona z kamieni, które wcześniej podarowała różnym organizacjom i grupom narodowościowym. Teraz poproszono o ich przekazanie na wystawę. Stały się częścią pracy należącej do wielu rozproszonych właścicieli, czyli nienależącej do nikogo, a jednocześnie wspólnej.

Główną część Biennale otwiera praca Armina Linkego, który przypomniał obraz Antona von Wernera z 1881 r., jednego z czołowych przedstawicieli niemieckiego akademizmu. Przedstawia on zorganizowany trzy lata wcześniej przez

Piero Gilardi,
„Gabbiano
accoglienza
migranti”,
2012 r.

Obok:
Margherita
Moscardini,
„The Stairway”,
2025 r.



główne mocarstwa europejskie kongres berliński poświęcony podziałowi wpływów na Bałkanach. Jego ustalenia miały zasadniczy wpływ na sytuację w kolejnych dekadach tej części Europy, ale też w innych częściach Imperium Osmańskiego.

W 1884 r. zwołano drugi kongres, znany jako konferencja kongijska, która ustaliła podział terytoriów w Afryce. Postanowiono na niej o granicach większości kolonii, a podjęte na niej decyzje zaważyły na historii, często tragicznej, nie tylko tej części świata. Armin Linke pokazuje mechanizmy ustanawiania ładu międzynarodowego i jego przemocowy charakter – dobrze uchwycony w obrazie Antona von Wernera układ władzy

i podległości: mocarstwa podejmowały decyzje o narodach i państwach, które zostały sprowadzone jedynie do roli statystów w tej politycznej rozgrywce.

Oba berlińskie kongresy przypominają, że żyjemy w cieniu wydarzeń sprzed wielu dekad – wykreślone wtedy granice do dziś obowiązują w Afryce i determinują tamtejsze życie polityczne i społeczne. Jednak twórcom tegorocznego Biennale nie chodzi jedynie o przypomnienie odległej przeszłości. Przeciwnie, nacisk położono na współczesność.

Dlatego zaskakująca jest nieobecność rosyjskiej agresji na Ukrainę i konfliktu w Gazie. I uzasadnione jest pytanie, czy milczenie o działaniach Izraela nie jest podyktowane politycznymi względami →

→ i koniunkturalizmem wymuszonym przez instytucje, w których jest organizowane Biennale. Decyzja o tym przemilczeniu może zaważyć na publicznym odbiorze całej tegorocznej edycji. Jednak, co też znaczące, upominający się o brak Gazy pomijają nieobecność Ukrainy, jakby ta wojna, rozgrywająca się niecałe tysiąc kilometrów od Berlina, wyparowała ze świadomości społecznej.

Biennale przypomina zarazem o wydarzeniach, które zostały wyparte, zepchnięte na margines, także przez środowiska zajmujące się sztuką. O tych, którym w ostatnich latach nie poświęcano zbyt wiele uwagi. Instalacja egipskiej artystki Hudy Lutfi „The Fool’s Journal” przywołuje protesty na placu Tahrir podczas Arabskiej Wiosny w 2011 r. A Chaw Ei Thein stworzył serię rzeźb wykonanych z tkanin przedstawiających osoby, wydarzenia i budynki związane z protestami przeciwko reżimowi wojskowemu Myanmaru od demonstracji studenckich w 1996 r. przez rewolucję szafranową w 2007 r. po zamach stanu w 2021 r.

Jego barwne, zabawne, ale też urzekające swym pięknem prace opowiadają o nadziejach, jak również strachu, traumie. Jedną z nich wyobraża gmach tamtejszego sądu. Obok niego wiszą zdjęcia przedstawiające akcję przed innym sądem – Wojewódzkim w Warszawie. W 1980 r., podczas trwającej w nim rozprawy rejestracyjnej NSZZ „Solidarność” członkowie Akademii Ruchu stojący po drugiej stronie ulicy rozwinęli 30-metrowej długości transparent z napisem „Sprawiedliwość Jest Ostoją Mocy i Trwałości Rzeczypospolitej”. Napis stanowił lustrzane odbicie takiego samego tekstu wykutego na fasadzie sądu.

Opowiadając o konkretnych historiach – zbiorowych, jak również indywidualnych – wystawa przygotowana przez Zashę Colah pokazuje nieoczywiste powiązania, związki, podobieństwa. To, jakimi metodami artyści i artyści szukali adekwatnej odpowiedzi na sytuację, w której się znaleźli.



PIOTR KOSIEWSKI X2

Chaw Ei Thein, „Artists’ Street” (fragment), 2025 r.

Skąd ten lis?

Biennale patronują zaś dwie postacie-figury: lisa i Jokera. Miejskie lisy, żyjące obok ludzi, omijające zakazy, stały się symbolem tych, którzy szukają luk, przeoczeń, nieoczywistych przestrzeni do działania. Są zbiegami, o których mówi tytuł tegorocznej edycji Biennale: „Passing the Fugitive On”. Joker zaś to ten, który przelamuje granice. „Żadnej sztuki. Tylko dzikie akty wyobraźni. Żadnego publicznego programu. Tylko żywość: ukradkowa, dzika, uboga w estetykę” – żąda w tekście napisanym przez Zashę Colah.

Śmiech i żart są narzędziem, które pozwala powiedzieć o tym, co jest niebezpieczne, przemilczane. Przekazuje informacje, które w inny sposób nie mogą funkcjonować w obiegu publicznym, zwłaszcza w państwach autorytarnych. „Weź żart, przekaz go dalej, rozśmiesz innych i znajdź w nich nowych współników” – przekonuje Valentina Viviani, argentyńska kuratorka współtworząca tegoroczne Biennale. Tak się buduje sieć oporu.

Humor wykorzystywano m.in. w akcji *Panties for Peace* w 2007 roku (powyżej).

Kobiety na całym świecie wysyłały swoją bieliznę do ambasad birmańskich. Wykorzystano podzielany przez przywódców wojskowej junty przesąd, że kontakt z damskimi majtkami lub kobiecymi pośladkami sprawia, że mężczyźni tracą siłę. Powstały też purnonsensowe filmiki, wlepki, a nawet gra komputerowa, w której generałowie są unieszkodliwiani za pomocą kobiecych gaci.

Zasha Colah przypomina nie tylko o roli humoru w sztuce. Wystawę otwierają prace poświęcone... kwiatom. Powstały w różnym czasie, miejscach i okolicznościach. Jest wśród nich zdjęcie Steve’a McQueena, przedstawiające jeden z kwiatów rosnących na Grenadzie. Kwiaty, oszałamiające kolorami, są jedynym śladem po dawnym życiu w tym wyspiarskim kraju na Karaibach. Francuscy kolonizatorzy wytepiłi bowiem jego rdzenną ludność, a następnie sprowadzili niewolników z Afryki, aby zamienić wyspę w plantację.

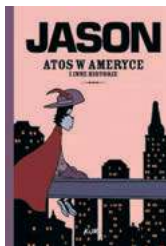
Siłą tego Biennale jest właśnie zwrócenie uwagi na niejednoznaczność sztuki. To, że niekoniecznie musi ona mówić wprost. Na praktyki artystyczne i na prace, które wydają się pozbawione politycznego czy społecznego znaczenia. A jednak dotyczą kwestii ważnych i trudnych zarazem. Jak kwiaty na zdjęciach Steve’a McQueena.

© PIOTR KOSIEWSKI



■ **Jason, ATOS W AMERYCE I INNE HISTORIE**, tłum. Jakub Syty, wyd. Wydawnictwo Kurc

Tytułowy ATOS, żyjący poza czasem muszkieter, spędza wieczór w nowojorskim barze. Opowiada barmanowi o swoich awanturniczych przygodach, przelotnych miłościach, a nawet hollywoodzkich perypetiach (gdyby nie nadepnął na odcisk pewnemu producentowi, może dziś odbierałby Oscara). Barwny życiorys legendarnego szpadzisty stanowi kontrpunkt dla sytuacji, w której się znalazł – rozmowa z nieznajomym jest nie tyle pretekstem do fanfaronady, ile sposobem na ucieczkę przed samotnością. Atos jest reprezentatywnym bohaterem zbioru komiksowych miniatur Jasona. Norweg w swoim albumie przygląda się płataninie uczuć, która powoduje zarówno muszkie-



terem, jak i szalonym naukowcem. Wyjątkowość tych historii polega na nietuzinkowym połączeniu wątków obyczajowych z gatunkową pomysłowością, surrealizmem i absurdem. Jason sięga po motywy z kina science fiction, gangsterskich kryminałów oraz romansów płaszcza i szpady. Raz tworzy kino-

filskie hołdy dla legendarnych filmów, takich jak „Mózg, który nie może umrzeć” Josepha Greena, innym razem snuje autotematyczną opowieść o rozpadzie związku. Ta różnorodność i nieprzewidywalność jest jednym z największych autów „Atosa w Ameryce...” – tworzy atrakcyjny kontrast z oszczędną formą. Jason nie sili się na eksperymenty, lecz wcale nie musi – w jego komiksach postaci nie uzewnętrzniają emocji, a mimo to w ich zastygłych wyrazach twarzy skupia się sedno historii. © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

■ **Peter Markus, DOBRZE, BRACIE**, tłum. Piotr Siwecki, Ha!art

NA KARTACH KSIĄŻKI ZATYTUŁOWANEJ „Bob albo mężczyzna na łodzi” (2022) amerykański pisarz stworzył coś w rodzaju poematu prozą o człowieku, który całe życie poszukuje jednej, najważniejszej ryby. Chwilami trudno się było zorientować: czy tekst jest dalekim krewnym znanej, internetowej pasty, traktatem w stylu wczesnego Wittgensteina, a może opowieścią o tęsknocie, w której poszukiwanie ojca z czasem staje się czekaniem na Godota? Na kartach drugiej wydanej w Polsce powieści Markus kontynuuje rzeczno-biblijną ekspedycję. Tym razem od milczenia absolutu ważniejsze są jednak wątki genezyjskie. Akcja „Dobrze, bracie” rozgrywa się w domu na przedmieściach przemysłowej metropolii. Matka ma dość rdzawej wody, ryb i brudnego krajobrazu. Ojciec z trudem przystaje na przeprowadzkę, która jest końcem świata dwóch synów, fanatyków wędkarstwa. W akcie buntu chłopcy przybijają dłonie do betonowego słupa, a następnie stwarzają z błota Dziewczynę – postać, która tłumi ich lęk, pozwala uciec w głąb rzeki, świata i siebie. Markus kreśli te – po równo schulzowskie i leśmianowskie – obrazy przy użyciu prostych słów. Hojnie rozporządza za to powtórzeniami fraz, symboli i scen, co sprawia, że całość można potraktować jako zapis świadomości, która w nieskończoność mieli utratę. Albo skrypt mistycznego rytuału. Bo na głębszym poziomie „Dobrze, bracie” przypomina relikwinię bluznierczej, rzekocentrycznej religii. © ADAM WOŹNIAK



■ **ALL INCLUSIVE FILM FESTIVAL**, Jastarnia, 24–27 lipca

ZAMIAST WCZASÓW Z NIEOGRANICZONYM dostępem do konsumpcji polecamy inkluzywność, czyli All Inclusive Film Festival w Jastarni. Imprezę – jak zapewniają organizatorzy – dostępną dla wszystkich. Otwartą również na widzów z rozmaitymi rodzajami niepełnosprawności i na osoby neuroróżnorodne, z ofertą także dla wykluczonych ekonomicznie. W programie, który nie chce być „przeglądem wykluczonych drużyn”, ale otwarciem się na szeroko rozumianą różnorodność, zapowiadane są filmy, warsztaty i spotkania. Na przykład panel Amnesty International, warsztaty Polskiego Języka Migowego dla dzieci i dorosłych, pogadanki z najmłodszymi o zdrowiu psychicznym, a z trochę starszymi o „grubancypacji” i współczesnej męskości. Wśród zaproszonych gości pojawi się między innymi wokalistka Maria Peszek i znawczyni tematyki romskiej Joanna Talewicz. A wszystko to w jastarniańskim „Żeglarku”, ostatnim kinie na Półwyspie Helskim. Jego fenomen polega również na tym, że jest przedsięwzięciem rodzinnym prowadzonym przez trzy pokolenia kobiet: babcię, mamę i wnuczkę. „Stawiamy na kobiecie inicjatywę, lokalne społeczności i wartościowe miejsca” – mówi Ane Piżl, pomysłodawczyni All Inclusive. © ANITA PIOTROWSKA

FOT. GRAZYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery
i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

WEEKEND Z SENSEM

Eseje, reportaże i analizy, które uczynią Twoje wolne dni spokojniejszymi, ciekawszymi i pełnymi dobrych myśli.

Prowadzi **PIOTR MUCHARSKI**

dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

Nauczanie początkowe

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Pozytywny przekaz filmu „Dzieci z Favoriten” uwiarygadnia prawdę, którą widzimy w oczach wszystkich jego małych bohaterów, mocujących się każdego dnia ze szkolną rzeczywistością.

NAUCZYCIELKA NAWOŁUJE: „SPRAWA dotyczy nas wszystkich!”. Trzeba na chwilę porzucić zabawę i omówić temat nowej dziewczynki w klasie. Nie zna niemieckiego i dzieci jej dokuczają, choć przecież same pochodzą z imigranckich środowisk. Witajcie w największej wiedeńskiej podstawówce z dzielnicy Favoriten. Dokument Ruth Beckermann pokazuje coś, w co wielu już dawno przestało wierzyć, a czemu niektórzy, także w Polsce, za wszelką cenę chcieliby przeszkodzić. Czyli: jak szkoła może przyczynić się do budowania wspólnoty pomimo wszelkich różnic – językowych, kulturowych, rasowych, rozwojowych. Kręcone przez trzy i pół roku „Dzieci z Favoriten” chwytają ten moment, kiedy jeszcze bardzo dużo dałoby się zrobić dla tych dzieciaków i przy okazji dla całego społeczeństwa. Potem już bywa różnie.

Lista obecności zdaje się mówić sama za siebie: Danilo, Rebeca, Fatima, Valentin, Mohammed... Każde z tych drugoklasistów przynosi do szkoły nie tylko zróżnicowane kompetencje językowe czy

trudne historie rodzinno-imigranckie, ale i różne przekonania czy nawyki. Ktoś uważa, że odsłonięty kobiecy brzuch jest *haram*, zaś klepanie koleżanki po pupie jak najbardziej w porządku – bo tak powiedział tata. Również o wojnie w Ukrainie mówią głosami swoich rodziców, często niewykształconych bądź zdegradowanych w następstwie przymusowej emigracji. Są wśród nich wiedeńscy budowlancy, taksówkarze, dostawcy pizzy, sprzątacze, opiekunowie ludzi starszych, słowem: współcześni „niewidoczni”, szukający lepszego życia w państwie dobrobytu. Matki zazwyczaj nie pracują i wiele z nich właśnie jest w kolejnej ciąży. Dlatego sfilmowana tutaj szkoła daje dzieciom szansę, żeby nie być w przyszłości obywatelami drugiej kategorii. Na naszych oczach odbywa się fascynująca praca edukacyjno-wychowawcza. Stoi za nią odgórnie ustanowiony system, lecz również odpowiednio nastawione ciało pedagogiczne.

Albowiem samej austriackiej oświacie sportretowanej w „Dzieciach z Favoriten” daleko do ideału. W coraz bardziej wielokulturowym społeczeństwie brakuje wsparcia językowego, doradców społecznych, psychologów. Ale na szczęście pojawia się ktoś taki jak Ilkay, młoda nauczycielka o tureckich korzeniach, która wierzy, że można dobrze pokierować życiem podopiecznych. Stąd nie mniej ważna od lekcji niemieckiego, rachunków czy gimnastyki jest tu nauka

bycia ze sobą razem, rozwiązywania konfliktów, wsłuchiwanie się w potrzeby i poglądy innych.

Dzieci jak to dzieci – bywają skarżypytami, kłamczuchami, komuś zdarza się kogoś uderzyć. Okazuje się jednak, że łącząc cierpliwość ze stanowczością, a pedagogiczne doświadczenie z ciepłym podejściem, można te dzieciaki zmotywować nie tylko do nauki. Beckermann wraz ze swoim operatorem Johnem Hammlem obserwuje, jak wszechstronnym procesem jest nauczanie początkowe. I jak wiele zależy od tego, komu się je powierzy. Powoli i wyraźnie Ilkay tłumaczy swoim uczniom świat, podzielony na rodzinny dom i wszystko to, co poza nim.

Nie przypadkiem w tego rodzaju dokumentach tak bardzo podkreśla się wyjątkową osobowość nauczyciela. Przypomnijmy chociażby francuskie „Być i mieć” (2002) Nicolasa Philiberta czy niemiecką „Klasę pana Bachmanna” (2021) Marii Speth, osadzoną w podobnym do „Dzieci z Favoriten” kulturowym tygł. Oczywiście, zawsze może w nas zakiełkować podejrzenie o zbyt wyidealizowany obraz szkolnej rzeczywistości, o wybiórcze potraktowanie tematu publicznej edukacji i zostawienie poza kadrem momentów niepasujących do wybranej przez reżysera tezy. Zwłaszcza że w przypadku pierwszego z tytułów życie dopisało dużo mniej „pedagogiczny” scenariusz, kiedy to bohater filmu, odchodzący na emeryturę wzorowy nauczyciel

MATERIAŁY PRASOWE DOCS AGAINST GRAVITY



RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



DZIECI Z FAVORITEN

(Favoriten)

– reż. Ruth Beckermann.

Prod. Austria 2024.

Dystryb. Docs Against Gravity.

W kinach od 11 lipca.

Ruth Beckermann jest doświadczoną reżyserką austriacką, znaną z zaangażowanych dokumentów „Amerykańskie pasażerki” (2011) czy „Walc Waldheima” (2018). Ma na koncie także osobiste filmy dokumentalne o tematyce żydowskiej, jak „The Paper Bridge” (1987), czy wojennej, np. „Jenseits des Krieges” (1996). Za „Dzieci z Favoriten” otrzymała nagrody w Berlinie i Hongkongu.

Kadr z filmu „Dzieci z Favoriten”

z Owernii, zaczął się procesować z twórcami o udział w zyskach z dystrybucji.

Austriacki dokument też bywa chwilami podejrzenie piękny. Przynosi sytuacje trudne do wyobrażenia sobie w naszym kraju, na przykład wycieczkę klasową do meczetu, za chwilę wspólne zwiedzanie kościoła i jeszcze bezstronną pogadankę o religijnej różnorodności. No i co właściwie miał na myśli ksiądz, gdy mówił do dzieciaków, w dużej mierze muzułmańskich, że gotycka katedra świętego Szczepana należy do wszystkich wiedeńczyków?

Tych, którzy mogliby pomyśleć, iż oglądając projekt nazbyt życzeniowy w dzisiejszych czasach, natychmiast uspokoję. Prawdę znajdują przede wszystkim w oczach małych bohaterów, mocujących się każdego dnia ze szkolną rzeczywistością. Tym trudniejszą, że społeczne pochodzenie skazuje ich z góry na rozmaite deficyty, wzajemne uprzedzenia i poznawcze dysonanse. Nie kłamie także Ilkay, gdy pewnego dnia będzie zmuszona przekazać klasę i daje wówczas upust swoim silnym emocjom. To nie jest jednak film o dziecięcej niewinności (a jeśli już, to pośrednio) ani o nauczycielskiej naiwności. Nie ma jej też sama reżyserka, która doskonale wie, skąd jej dzieci przychodzą i dokąd wracają po lekcjach. Modne hasła w rodzaju „edukacja, głupcze!” nabierają w jej filmie mądrego wydźwięku, wskazują bowiem nie tyle na „postępowy” program (swoją drogą, nie widać na ekranie, ażeby ktoś z muzułmańskich rodziców dopatrywał się „permissywnej edukacji seksualnej” w omawianiu anatomicznych różnic między mężczyzną i kobietą), co na rozsądną metodykę. W konfliktowych momentach nauczycielskiej kreatywności, elastyczność i uważność okazują się jedyną skuteczną metodą.

Film „Dzieci z Favoriten” dokumentuje także dziecięce strachy. Czasami gdzieś między wierszami wychodzą na wierzch rzeczy, których trzeba się domyślać i z którymi czujna Ilkay musi sobie poradzić. Zapewne, chociaż sama najprawdopodobniej pochodzi ze zasymilowanej rodziny, dobrze te niepokoje zna i czasem nawet, kiedy dziecku brakuje niemieckiego słowa, coś podpowiada po turecku. Bo nakręcono ten dokument przeciwko stereotypizacji, stygmatyzacji i dalszej segregacji imigranckich dzieci oraz na przekór antyimigranckim strachom. Kręcony wprawna ręką i z trzeźwą głową nie jako gotowy instruktaż, ale przykład na to, że inna szkoła jest możliwa. Pewnie mało wakacyjny to temat i dotyczy szkoły, jakiej jeszcze nie mamy u siebie. Mamy za to swoje, inaczej motywowane strachy przed integrowaniem tego, co inne czy „obce”. ©

Lektor: Wakacje



■ Denton Welch

MŁODOŚCI, W TOBIE UCIECH SIĘ

Przekład i posłowie Marcin Szuster,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2025, ss. 190.

CZY MOŻNA WIARYGODNIE ZAPISAĆ WŁASNĄ MŁODOŚĆ? WCZESNĄ młodość, bo Orvil Pym, bohater tej książeczki i alter ego autora, ma lat piętnaście. I spędza właśnie wakacje w hrabstwie Surrey, w hotelu nad Tamizą przerobionym z dawnego pałacu. Wraz z ojcem, którego zwykle widuje bardzo rzadko (Orvil jest uczniem szkoły z internatem, a ojciec pracuje na Wschodzie; sam Orvil urodził się w Szanghaju) i dwoma starszymi braćmi. Jednego uwielbia, drugiego się boi; myśli o powrocie do szkoły też budzi w nim lęk – angielskie internaty nie były zbyt przyjemne dla wrażliwców. Matka nie żyje od trzech lat, a jej osoba stanowi temat tabu, jako zbyt bolesny. Wszystko zaś dzieje się przed II wojną, w latach 30.

Wszystko? Dzieje się zwykle życie zanotowane w precyzyjnych mikroobserwacjach. Jakby uważność na szczegóły miała zrekompensować zawężenie pola doświadczeń. Welch przeżył zaledwie 33 lata (1915-1948), z czego pisarska przygoda trwała lat osiem. Przed nią był potworny wypadek – jadący na rowerze przyszły pisarz został potrącony przez samochód, a ciężki uraz kręgosłupa wywołał przejściowy paraliż i trwające już do końca życia kłopoty z układem moczowym. Ale eksploracja czasu przeszłego dokonana w tej powieści urzeka wrażliwością i prostotą, a przy tym pokazuje, że chwilę olśnienia może przynieść nawet... wdepnięcie w krowi placek.

William S. Burroughs, autor „Nagiego lunchu”, miłośnik Welcha, pisał, że „uświadamia on czytelnikom magię, która nieustannie rozgrywa się na ich oczach, bo większość opisanych przez niego doświadczeń ma pospolity charakter: spacer, podwieczorek, melba z brzoskwinia, deszcz na rzece, wizyta w sklepie ze starociami, obrazek na puszcze po biskoptach, przejażdżka rowerem, łzy okresu dorastania”. Marcin Szuster przypomina, że Welcha określano wręcz mianem „małego Prousta”, choć niezamierzenie proustowska była raczej jego sytuacja. I dodaje: „Jest w jego prozie coś tak rozbijającego, że upominanie się o jej miejsce w kanonie wydaje się gestem chybionym, próbą przydania jej niepotrzebnej wagi. Welch funkcjonuje w niszy, na marginesie, i w tym po części tkwi jego urok”.

Gdyby zaś ktoś chciał o Welchu przeczytać więcej i poznać fragmenty jego dzienników, a także zobaczyć fotografię tego dziwnego chłopca o wysokim czole – odsyłam do dwóch numerów „Literatury na Świecie”, 7-8/2023 i 3-4/2024. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Bohaterowie dostaw



DWA PROCENT PREMII ZA DOSTAWĘ w upale powyżej 32 stopni. Powyżej 36 stopni premia wzrasta dwukrotnie. A jak przygrzeje powyżej czterdziestu, to – klękajcie narody! – można dostać nawet osiem procent ekstra. Nie od razu, ale dopiero

przy rozliczeniu we wrześniu. Ponieważ liczy się te zawrotne wskaźniki od wynagrodzenia za każdy kurs z pizzą albo zupką pho, które wynosi grosze, to jest to raczej kpina niż realna motywacja czy rekompensata, pozwalająca wedle obietnic „wspomóc w zakupie kremów przeciwsłonecznych i elektrolitów”. We Włoszech, gdzie taki właśnie system zaproponowała jedna z głównych sieci pośrednictwa w dowozie wszelkiego spożywczego dobra pod drzwi – mniejsza o nazwę, na potrzeby tego tekstu nazwijmy ją roboczo Słoneczną, bo tak nam się kolorystycznie kojarzą jej plecaki – realny zysk kuriera pedałującego Bulwarem Morderczego Słońca wynosiłby jakieś kilkanaście centów.

W Polsce byłaby to pewnie złotówka, tyle że jak na razie dni naprawdę upalnych nie ma u nas aż tak wiele, żeby męka kurierów zaczęła kłuć w oczy i nadawać się na nagłówki portali. Poza tym okazało się to ślepą uliczką: włoska filia Słonecznej firmy szybko się wycofała z tego jakże hojnego pomysłu, zapowiadając „systemowe” rozwiązania i rozmowy z przedstawicielami pracowników. Czy raczej kooperantów, bo przecież w całej tej nowej gospodarce zakłętą w aplikacji chodzi także o to, że nikt, broń Boże, nikogo nie zatrudnia, tylko pozwala wolnym ludziom dorobić, kiedy kto zechce i gdzie mu bardziej pasuje. A że za łaskawe przyjęcie w grono „użytkowników” swojej aplikacji zgarnia lwią część wartości dodanej powstającej, gdy lenia na kanapie połączy się magicznie z jego ulubioną restauracją i stolicek magicznie się nakryje... no cóż, ofiarni fundatorzy katedr mediolańskich i ołtarzy gandawskich, które do dziś kierują nasze dusze ku lepszym światom, też byli kupcami nakładającymi trzystuprocentowy narzut na worek pieprzu z Indii.

Ciekawe, czy właściciele platformy będą musieli coś ofiarować (tylko czym się zaszuszyć dla Boga i piękna w kraju, gdzie byle pipidowa już dawno ma katedrę pełną ołtarzy?), bo niesmak wywołany ich propozycją rozdał się do rozmiarów politycznych. Pojawiły się postulaty, by np. objąć dowóz jedzenia zakazem pracy od południa do szesnastej. Taki zakaz w tej czy innej formie obowiązuje w wielu krajach śródziemnomorskich, ale dotyczy na razie budów i rolnictwa. Jeden z regionów już zdecydował i w apogeum upału kurierzy muszą pauzować. Co wcale nie budzi, jak wynika ze świadectw zbieranych przez dziennikarzy, ich entuzjazmu, bo odcina od zarobku w korzyst-



ANTONIO MASELLO / GETTY IMAGES

nej porze obiadowej, kiedy jest mnóstwo zleceń. Znow dobre intencje i proste odruchy pomocy u ludzi czyniących dobro zza biurka zderzają się z realiami ludzi podtrzymujących na plecach system zapewniający owym biurkom jako taką stabilną podłogę. Jak brzmi liczba mnoga od Atlasa? Nie wiem, czy w odruchu skrajnego szyderstwa, godnego najlepszego wydziału propagandy, czy ot tak, z niewinnego entuzjazmu, niemiecka (ale współzakładana przez Polaka) firma, do której należy Słoneczna aplikacja, nazywa się Delivery Heroes. Bohaterowie dostaw.

Tak przy okazji, bohaterska firma należy do globalnego funduszu (będącego odnogą innego, jeszcze większego), mającego w portfolio także konkurencyjną aplikację, którą wedle tej samej zasady kolorystycznej nazwijmy sobie Mandarynką. Obie kontrolują w wielu krajach już ponad połowę rynku, a transakcje przejęć i wykupu opiewają w tej branży na miliardy dolarów, bo to jest coraz bardziej fundamentalny biznes.

W raportach rynkowych powiada się, że w Polsce „zaledwie” jedna trzecia ludzi mieszka w zasięgu działania którejś z kilku platform... O ile jednak dobrze pamiętamy historię społeczną naszych ziem i całej Europy, przywilej siadania do zastawionego przez innych stołu (oraz np. bycia noszonym w lektyce) dotyczył do niedawna jednego-dwóch procent populacji. Akurat będący ciągle w ruchu kurierzy z jaskrawymi pakunkami są szczególnie widoczni, ale to przecież nie je-



40-stopniowe upały we Włoszech, ludzie chłodzą się w fontannie Barcaccia na Placu Hiszpańskim. Rzym, 1 lipca 2025 r.

dyni gwaranci naszego powszechnego wywyższenia. Są też inne klocki tej układanki, typowej dla późnego kapitalizmu opartego na konsumpcji oderwanej od przytomnie pojętych potrzeb, które łatwiej nam wypchnąć poza pole widzenia i ze świadomości.

Spotykamy się w tej samej kuchni już jedenasty rok, bo jednocześnie nas przekonanie, że to dobra rzecz: samemu i samej zadbać o swoje wyżywienie. Nawet zabełtanie jajecznicy w porannym pośpiechu daje nam cenną sprawczość, która się rozrzedza, im bardziej potem wchodzimy w interakcje ze światem. Kto miałby jednak oceniać, gdzie jest granica „potrzeby”, a gdzie zaczyna się kaprys lub absurdałna wygoda? I czy to zawsze źle, że musimy się jako zbiorowość mniej w czymkolwiek namęczyć niż nasi przodkowie? Czasem naprawdę ktoś musi sięgnąć po apkę. Bo leży z nogą w gipsie bez życzliwych sąsiadów albo tkwi sam w mieszkaniu z chorym dzieckiem lub wrócił na dalekie osiedle po dwunastu godzinach pracy do domu z całkiem pustą lodówką. Ważne, żeby – zwłaszcza przy paskudnej pogodzie, w lipcu albo styczniu – dodać do zamówienia kilka wyrzutów sumienia.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

DENI0109 / ADOBE STOCK



Fenkuł w czerwonym winie

Nawet proste bełtanie jajecznicy na patelni może skierować nasze oczy i duszę ku pięknu. W tym tylko celu lubię mieć pod ręką ze dwa-trzy kwiaty cukinii, które rzucone do masy jajecznej (po wyjęciu słupków ze środka, jeśli mamy do czynienia z kwiatami męskimi) stworzą fantazyjną płataninę linii i faktur. Smażę tak często, bo mam zbyt niezgrabne palce, by te kwiaty zręcznie nadziewać masą z ricotty. Pewnej siły w rękach wymaga za to obróbka świeżych bulw fenkuła.

SKŁADNIKI: 2 duże bulwy fenkuła 1 duża cebula
150 ml czerwonego wina ■ oliwa ■ sól

Po rozcięciu fenkułów na pół trzeba z nich ostrym nożykiem uważnie wyciąć twardy rdzeń w dolnej części i zdjąć być może zbyt już zeschniętą wierzchnią łuskę. Resztę kroimy w cienkie piórka, podobnie postępujemy z cebulą. Na dużej patelni dusimy na oliwie najpierw cebulę; gdy się zeszkli, dodajemy fenkuła, solimy, zwiększamy ogień, podsmażamy dwie-trzy minuty ciągle mieszając i uważając, żeby się nie przypaliło. Wlewamy wino, czekamy, aż się zagotuje, przykrywamy i zmniejszamy ogień do minimum, dusimy pomalutku dwadzieścia minut albo i dłużej, aż będzie całkiem miękkie. Jeśli robi się w trakcie za suche i zacznie się przypalać, można dolać nieco wody lub bulionu warzywnego. Jeśli kupiliśmy fenkuła razem z odrostami, można na wydaniu posypać zieloną „bródką”. Zjadamy ciepłe jako dodatek do mięsa, albo na zimno, z kropelką octu, do kanapki z kozim serkiem. ©P

ON W NAS WIERZY

Rozcinając niebo nad zmieniającym się
krajobrazem popkultury,
Superman zachowywał swoją tożsamość.
Uczył wiary w ludzkość.
Bez względu na zmieniającą się modę
pozostawał moralnym punktem odniesienia.

MICHAŁ WALKIEWICZ

TO PTAK! NIE, TO SAMOLOT!... NIE, NIE, TO NIE JEST KOLEJNY tekst rozpoczynający się od sugestii, że facet w spandek-sie i z podkreślonym loczkiem może wyglądać jak ptak albo samolot. Z okazji wchodzącego właśnie na polskie ekrany „Supermana” w reżyserii Jamesa Gunna pytamy, czy Kal-El – syn planety Krypton, który przybył na Ziemię, by wskazać ludzkości światło – wciąż jest tym, kim był przez ostatnie stulecie? Symbolem nadziei w beznadziejnym świecie? Metaforą żydowskiego doświadczenia Holokaustu, emigracji i poszukiwania nowej tożsamości? Amalgamatem Golema, Samsona, Chrystusa i Mojżesza? Każdym po trochu? Czy nikim w całości?

Twój coach Superman

W filmie „Kill Bill vol. 2” Quentina Tarantino tytułowy bohater dzieli się własną interpretacją postaci Człowieka ze Stali. Oto Kryptończyk, dziedzic obcej kultury, ucieka na Ziemię po zagładzie swojej planety, a następnie wtapia się w tłum jako skromny dziennikarz Clark Kent. Kostium Obcego chowa pod zgrzebnym garniturem, na nos nasuwa okulary, a niesforny loczek przylizuje na brylantynę. Lecz w przeciwieństwie do wielu innych superbohaterów, którzy wiodą podwójne życie, to czerwona peleryna i niebieskie rajtuzy pozostają sednem jego tożsamości. Superman jest wszechpotężny, niezniszczalny i niezłomny. Clark Kent – słaby, zakompleksiony i bezradny w konfrontacji z metafizyką. „Właśnie tak Superman postrzega *homo sapiens* – przekonuje Bill – Clark Kent to jego krytyka rodzaju ludzkiego”.

Podobnie jak w przypadku wersetu z Księgi Ezechiela z „Pulp Fiction”, ilustrującego psychomachię jednego z boha-



MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS

terów, słowa Billa bywają mylnie rozumiane. To nie tyle analiza komiksowej postaci, ile sąd nad odbiorcą, który mierzy *sacrum* świecką miarą. Taką tyradę mógłby wypowiedzieć któryś z arcywrogów Supermana, cynik wątpiący w to, że istota wszechwładna może być jednocześnie wszechdobra. I tak, z tej perspektywy „Clark Kent” jako mechanizm asymilacji może być wyłącznie okrutnym żartem. Tyle że to właśnie altruizm oraz wiara w immanentną czystość ludzkiej natury, a nie laserowy wzrok czy latanie z prędkością dźwięku są najpotężniejszymi mocami Kal-Ela. Mizantrop, nawet najsprawniejszy retorycznie, nie będzie w stanie pojąć tych motywacji.

Tarantino rozumie Supermana świetnie. Bill – wcale. „S” na piersi herosa przetrwało jako jeden z najważniejszych popkulturowych emblematów właśnie dlatego, że – wbrew obiegowej opinii – nie jest inicjałem; znakiem wyjątkowości,



David Corenswet jako Superman w nowej produkcji z 2025 r., reż. James Gunn

jednostkowości i egoizmu. To raczej zwiastun nadziei, symbol ludzkich aspiracji do wielkości. Przez dekady popkulturowej kariery Kal-Ela utożsamianej z walką wyzwolenczą, podbojem kosmosu, poszukiwaniem prawdy, ucieraniem nosa nazistom i skorumpowanym politykom. Superman stoi na straży tych aspiracji. I, paradoksalnie, jako boska istota ulepiona z fundamentalnych mitów chrześcijaństwa i judaizmu, przekonuje, że religia bywa drogą donikąd; że wszystko, czego potrzebujemy do transgresji, nosimy w sobie.

Zwykły amerykański chłopak

Słynny rysownik komiksów polsko-żydowskiego pochodzenia Art Spiegelman, autor wybitnej powieści „Maus” (którą w historii narracji o Holokauście wypadałoby ustawić obok „Shoah” Claude’a Lanzmanna albo „Zdążyć przed Panem

Bogiem” Hanny Krall), często mówił o Supermanie. Robił to z mieszaniną rezerwy i szacunku. Z jednej strony podkreślał, że poetyka komiksów superbohaterskich to nie jego bajka. Z drugiej – wielokrotnie wskazywał na powiązanie mitu o Supermanie z doświadczeniem żydowskim; z traumą nazistowskiego terroru, emigracją oraz walką o nową tożsamość na obczyźnie. Kal-El pojawił się na kartach komiksów jeszcze przed wojną, w czerwcu 1938 r. Lecz już wtedy jego amerykańską tożsamość budowały żydowskie nadzieje, obsesje i lęki.

„Nie jest przypadkiem, że mit superbohatera objawił się w czasie Wielkiego Kryzysu – mówił Spiegelman w rozmowie z Kurtem Snoeksem z magazynu „Bruz”. – Pod powierzchnią atrakcyjnych historii o superbohaterach krył się ważny mit. To było fundamentalne marzenie, które komiksowe medium przekazywało dalej. Na początku Superman był tworzony

→ przez (Jerry'ego) Siegela i (Joe) Shustera w pewnym kluczu. To perspektywa liberalnych Żydów zainteresowanych jakąś odpowiedzią na Wielki Kryzys, czyli programem Nowego Ładu. Stworzony przez nich bohater walczył o prawa związkowców, zmagał się z nazistami, brał na celownik skorumpowanych miejskich polityków. To byli jego pierwsi i najważniejsi wrogowie”.

Na przełomie lat 30. i 40. związki zawodowe oraz umoczeni w brudne interesy burmistrzowie Metropolis nie byli jedynymi problemami Supermana. Na okładkach komiksów Kryptończyk prał się z Hitlerem i Mussolinim. Z kolei scenarzyści audycji radiowych i kreskówek, zamiast przydzielać mu rolę żywej artylerii, ustawiali go w roli moralnej opoki dla walczących na froncie żołnierzy.

Później, w latach 50., działał w biurze propagandy na wojnie z komunizmem i dość powiedzieć, że ciekawie jest skonfrontować jego ówczesną karierę z wydanym już w XXI wieku komiksem „Czerwony Syn” Marka Millara, Dave'a Johnsona, Kiliana Plunketta i Andrew Robinsona. Co by było, gdyby zamiast w Kansas, malutki Kal-El wylądował na przedmieściach Moskwy? Mogłoby się dla przykładu okazać, że nawet nadczłowiek z gwiazdowego pyłu, po odpowiedniej propagandowej obróbce, stanie się nosicielem konkretnej ideologii.

Wiele mówiło się o jego pracy dla CIA. Jeszcze więcej – o wsparciu dla dziennikarza Stetsona Kennedy'ego w jego krucjacie przeciw Ku Klux Klanowi. Wojnę w Wietnamie przesiedział w osłej ławce – społeczeństwo dostrzegało w nim przecież symbol zgnitego establishmentu. W latach 70. i 80., w trakcie wielkiej fali reinterpretacji klasycznych superbohaterskich opowieści, dumał nad rasizmem, ekonomicznymi dysproporcjami i kryzysem mediów. Zaś w nowym milenium pomagał imigrantom nad Rio Grande i przestrzegał amerykański rząd przed inwigilacją obywateli.

W filmie „Człowiek ze stali” Zacka Snydera z 2013 r. Superman spytany o gwarancję wierności ideałom Wuja Sama odparł: „Wychowałem się w Kansas. Nie da się być bardziej amerykańskim”. Podobą mi się, że grający go Henry Cavill wypowiada te słowa delikatnie poirytowany, jakby narodowość oraz polityczna afiliacja herosa były wiedzą powszechną. A jednak – dzięki całemu multiwersum opowieści, alternatywnych ścieżek oraz wariantywnych narracji – w 2011 r. i 900. numerze „Action Comics” rzekł się amerykańskiego paszportu. Uniwersalność mitu została symbolicznie potwierdzona.

Trójca święta

Religijno-filozoficzne korzenie Supermana to jeszcze ciekawszy przypadek. Już samo imię Kal-El jest przedmiotem wielu analiz. Najpopularniejsza stawia znak równości pomiędzy „El” a hebrajskim „Bogiem”. „Kal” tłumaczy natomiast jako „głos” lub „wszystko”. Ergo, Superman jest „głosem Boga” lub „wszystkim w Bogu”. Droga do nowego świata w kosmicznej kapsule przypominającej koszyk również niesie oczywiście sko-

Supermana grało niemal trzydziestu aktorów.

Opowieści o nim snuło dwa razy więcej scenarzystów i reżyserów. Większość z nich miała sensowny pomysł na postać. Mimo tego jest niedopieczoną przez kino postacią. Jego duch wciąż pozostaje nieuchwytny.

jarzenia. Ale ten bohater nie wraca do siebie. Superman znajduje na Ziemi swój drugi – i ostatni – dom.

Shuster i Siegel, dzieci żydowskich emigrantów, widzieli w Supermanie rzecznika ich własnej religijnej sprawy. Od początku jednak wątki judaistyczne sąsiadowały w historiach o Człowieku ze Stali z motywami chrześcijańskimi. Obrazy ukrzyżowanego Kal-Ela pojawiały się na przestrzeni lat równie często, co opowieści o jego pasterskich powinnościach, odpowiedzialności za moralną edukację ludzkości, a także o śmierci oraz zmartwychwstaniu.

Powracają także w jego dziejach obrazy Trójcy Świętej. W jej skład, obok Syna Bożego Kal-Ela, wchodzi Bóg Ojciec Jor-El (w mojej wyobraźni na zawsze zaklęty w obliczu znudzonego i czekającego na wypłatę Marlona Brando), a także Duch Święty. Ten ostatni objawiał się wielorako. Raz był sztuczną inteligencją przybierającą holograficzną postać Jor-Ela. Kiedy indziej Fortecą Samotności – kwaterą główną Supermana i zarazem miejscem epifanii, pasażem do świata przodków. A może Duch Święty to sama ludzkość? W końcu to my prowadzimy Supermana, dajemy mu natchnienie i budujemy wokół niego Kościoł.

Wielkie dylematy, którymi oddychają opowieści o Kryptończyku – pokora czy buta, ciało czy duch, egoizm czy altruizm – można sprowadzić do tych dwóch wykładni: judaistycznej i chrześcijańskiej. To jednak zaledwie wierzchołek góry lodowej. Supermanowi było też po drodze z Nietzschem i Dostojewskim (choć koncepcja „nadczłowieka” wydaje się zazwyczaj źle interpretowana; w pierwotnym znaczeniu to jednostka występująca przeciw „stadu” i stojąca w opozycji do tzw. człowieka społecznego), a także z Mirceą Eliadem. Dla rumuńskiego historyka religii Superman był sakralnym pierwiastkiem w sekularnym świecie. Stanowił reinterpretację mitu Zbawiciela, tyle że częściowo odciętą od chrześcijańskich korzeni. Pojawienie się faceta w pelerynie nad Metropolis to w tej optyce współczesna hierofania – choć z racji skali sekularyzacji w społeczeństwie trudno porównywać ten obrazek z gorejącym krzewem.

Jak poprawić Supermana?

Błękit kontra czerń, Bóg kontra człowiek, najjaśniejszy dzień kontra najciemniejsza noc. Syn Kryptonu kontra Batman, Nietoperz z Gotham. Na przestrzeni lat Superman stawał w szranki z wieloma komiksowymi superbohaterami. Żaden jednak nie stanowił dla niego tak intuicyjnej przeciwwagi jak Batman – facet, którego motywacją do działania nie jest nadzieja, lecz strach. Jeśli Superman się wahał, wątpił lub błdził, to zawsze na drodze ku oświeceniu i odkupieniu win. I nic nie mówi o naturze rozmaitych trendów dekonstrukcyjnych więcej niż fakt, że tzw. Zły Superman, czyli postać stworzona przez jednego z arcyłotrów za pomocą czerwonego kryptonitu, był zazwyczaj oddzielnym bytem.

SZTAFETA SUPERMANÓW

■ GEORGE REEVES



Superman czasów prehistorycznych. Gdyby nie istniał, Ben Affleck nie dostałby za zagranie go w filmie „Hollywoodland” nagrody na festiwalu w Wenecji. I – kto to wie – może później nie zagratyby Batmana.

■ CHRISTOPHER REEVE



Z dzisiejszej perspektywy lepszy od „Supermanów” z Christopherem Reeve’em jest dokument „Super/Man” o Christopherze Reeve. Nie będę jednak narzekać – film Richarda Donnera z 1978 roku dał nam legendę o facie, który udowodnił, że w prawdziwym świecie superbohaterowie nie noszą peleryn.

■ HENRY CAVILL



Choć Cavill pożegnał się już z rolą Człowieka ze Stali i ruszył dalej z życiem, prędko o nim nie zapomnimy. Charyzma, prezencja, fizyczność oraz zaskakująco szeroka aktorska skala. Brytyjczyk miał wszystko, czego

trzeba do tej roli. Szkoda że w zalewie marnych produkcji doczekał się tylko jednego dobrego filmu.

■ TYLER HOECHLIN



Niedoceniony facet i w mojej skromnej opinii najlepszy serialowy Superman (z produkcji „Superman i Lois”). To Kal-El w wiecznym kłinczu pomiędzy rodziną a powinnościami. Fantastycznie zagrany i przez to – najbardziej ludzki.

■ DAVID CORESWET



Na razie wielka niewiadoma. W zwiastunie filmu Jamesa Gunna sporo krzyczy i narzeka. Jako pierwszy wielkoekranowy Superman jest jednak psiarzem. A wszyscy kochamy pieski. Bo każdy piesek to superpiesek.

Rozcinając niebo nad zmieniającym się krajobrazem popkultury, Superman zachowywał swoją tożsamość. Uczył wiary w ludzkość w postmodernizmie, w okresie „cynicznym” czy „postironicznym”. Bez względu na zmieniającą się w komiksie i kinie modę, pozostawał moralnym punktem odniesienia. Jasne, bywało różnie, bo przecież historia obydwu mediów jest niejednorodna. Piszą ją autorzy o odmiennych wrażliwościach oraz światopoglądach. Przez kolejne dekady ocalono jednak jakąś pierwotną „czystość” konceptu Supermana i to właśnie ona odróżnia Kal-Ela od jego mrocznych wariacji – apodyktycznego Omni-Mana z fantastycznego komiksu „Niezwycięzony” Roberta Kirkmana i Cory’ego Walkera; sadystycznego i zakompleksionego Ojczyznosława z komiksu i serialu „Chłopaki” Gartha Ennisa i Daricka Robinsona; kosmicznego chłopca z filmu „Brightburn” Davida Yarovesky’ego, który przybywa do Kansas w koszyku, ale wyrasta na psychopata.

Macierzyste medium komiksu przyniosło oczywiście najodważniejsze i najpełniejsze portrety Człowieka ze Stali. Kino i telewizja próbowały nadążyć, ale wciąż dostawały zadyszki. Na małym i dużym ekranie, w animacjach, serialach oraz filmach fabularnych, Supermana grało niemal trzydziestu aktorów. Opowieści o nim snuło dwa razy więcej scenarzystów i reżyserów. Większość z nich miała sensowny pomysł na postać. Niektórzy byli zakochani w materiale źródłowym do szaleństwa (jak Bryan Singer, który paradował po ulicach Los Angeles z wielkim transparentem: „Kocham Supermana”). I przekładało się do pewnego stopnia na różnorodność wizji – od slapstickowych filmów akcji (sequele filmu Richarda Donnera z 1978 r.), przez mroczne dramaty (wersje Zacka Snydera), po kino inicjacyjne (serial „Tajemnice Smallville”)

Przegląd wątków był zazwyczaj dość bezpieczny: związek Clarka Kenta z dziarską reporterką Lois Lane; przeciąganie liny z arcyłotrem Lexem Luthorem; kurs na czołowe zderzenie ze złowrogim Generałem Zodem; traktat o odpowiedzialności za ludzkość wygłoszony przez rodziców zastępczych – Marthę i Jonathana Kentów; spotkania i rozstania z innymi Kryptończykami: Supergirl, Superboyem oraz rezolutnym psem Krypto. Wszystko to fajne motywy, lecz z perspektywy blisko dziewięćdziesięcioletniej historii nieco nudnawe.

Wymieniwszy te wszystkie wcielenia, trudno bowiem oprzeć się wrażeniu, że Kal-El wciąż jest niedopieszczoną przez kino postacią. Jakimś cudem jej „duch” wciąż pozostaje nieuchwytny. Richard Donner był krytykowany za kicz, Zack Snyder dostał bęcki za mroczny nastrój i ciężką reżyserską rękę, a Bryan Singer za brak autorskiej sygnatury. Wszystkie te zarzuty mówią jednak więcej o nas niż o samym Supermanie. Jako widzowie wstydzimy się wzniosłości, patosu, prostych emocji i oczywistych symboli – i to nawet pomimo faktu, że równie gwałtownie reagujemy na ironię, humor oraz zmiekczone patos nawiasy.

Superman tymczasem przekonuje, że nie ma się czego wstydzić. To właśnie patos nadaje wielkość temu, co zwyczajne. To dzięki niemu proste historie o ludzkiej solidarności zamieniają się w wielki mit.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

TOMASZ

Stawiszyński:

Racjonalni nieracjonalni



W MEDIACH KONWENCjonalNYCH I Społecznościowych krążą wnioski z – pierwotnie ogłoszonego zresztą w lutym – raportu „Eurobarometr 2024. Wiedza i postawy obywateli europejskich wobec nauki i technologii”. Towarzyszą im głosy oburzenia, zdziwienia i rozpa-

czy. Czytając je, można odnieść wrażenie, że oto ludzie racjonalni, kierujący się w swoim życiu tylko rozumem i najnowszymi ustaleniami nauki, wyrażają słuszne zaniepokojenie i żal opłakanym stanem (nie)wiedzy pozostałych. Cóż, na tle innych krajów europejskich nasze wyniki faktycznie nie prezentują się imponująco. Ponad połowa badanych nie wierzy w antropogeniczne zmiany klimatu, 45% uważa, że istnieje niezawodny lek na raka, lecz jest ukrywany przez koncerny farmaceutyczne, a 50% sądzi, że naukowcy są zależni od przemysłu i w związku z tym nieobiektywni. I tak dalej, raport jest szczegółowy, niewątpliwie warto go odnaleźć w sieci i uważnie przestudiować. Czy jednak sytuacja polskiego społeczeństwa faktycznie rysuje się wedle tych podziałów? Po jednej stronie mądrzy i wykształceni, po drugiej niedouczeni, pogrążeni w ignorancji?

Otóż sprawa jest nieco bardziej skomplikowana, a „racjonalni i wyedukowani” być może wcale nie są tacy znowu racjonalni i wyedukowani, zaś „nieracjonalni i niewyedukowani” tacy znowu nieracjonalni i niewyedukowani. Wiele wskazuje bowiem, że obraz świata oraz *modus operandi* „racjonalnych i wyedukowanych” nie opierają się wyłącznie na nauce i rozumie, a „nieracjonalnych i niewyedukowanych” – na ignorancji. Jak to pokazali m.in. psycholog Andrew Shtulman, prawnik Dan Kahan czy antropolog John Tooby (a podsumował w „Nowym Oświeceniu” Steven Pinker) – uznawanie poszczególnych poglądów mieszczących się w naukowym konsensusie nie idzie wcale w parze ani z lepszym rozumieniem nauki jako takiej, ani z głębszą znajomością danej problematyki.

W jednym z testów mierzących poziom ogólnej wiedzy naukowej, opracowanych przez amerykańską National Science Foundation, już w 2010 r. zrezygnowano z niektórych pytań dotyczących ewolucji, bo odpowiedzi były niemiarodajne. Okazało się, że wskazują raczej na identyfikację religijną, a nie na kompetencję w tej czy innej dziedzinie. Po prostu ktoś, kto wykazywał sceptycyzm wobec *dictum*, że ludzie pochodzą od wcześniejszych gatunków zwierząt, nie okazywał się w innych obszarach wiedzy mniej obeznany od tych, którzy się z tym twierdzeniem zgadzali. Czy to nie dziwne? Nieszczerze mówiąc, jeśli weźmiemy pod uwagę, że wbrew odruchowym interpretacjom sprawa nie dotyczy wyłącznie edukacji. Ow-

szem, ona się tutaj liczy, bez dwóch zdań, niemniej popularność pseudonauki, myślenia spiskowego i rozmaitych innych osobliwości nie redukuje się ostatecznie do konwencjonalnie rozumianej głupoty.

W czym więc rzecz? W zjawisku, które można określić mianem „utożsamociowienia” poglądów. Wspomniany wyżej Dan Kahan z Uniwersytetu Yale zwrócił uwagę, że deklarowanie określonych przekonań – m.in. dotyczących kwestii klimatu – stało się dziś w pierwszej kolejności sposobem na manifestowanie kulturowo-politycznej przynależności. W bardziej szczegółowych testach ludzie uznający antropogeniczne zmiany klimatu nie wypadają lepiej od klimatycznych sceptyków czy negacjonistów, ponieważ ich pronaukowe deklaracje nie wynikają z wiedzy, lecz z lojalności wobec środowiska, w którym się obracają. Obie grupy są więc pod niektórymi względami równie irracjonalne, ale pod innymi... również racjonalne. We współczesnym świecie, w dobie małych społecznościowych i polaryzacji, kwestia przynależności i wierności grupie jest przecież niezwykle istotna. Z perspektywy planety czyjeś przeświadczenia dotyczące ocieplenia klimatu są w zasadzie zanedbywalne, z perspektywy jego indywidualnego losu, funkcjonowania w danym środowisku, pozycji społecznej czy bliskich relacji mogą mieć natomiast znaczenie rozstrzygające. Stąd taka czy inna deklaracja dotycząca klimatu, choć nie stoi za nią żadna realna wiedza, jest w obu przypadkach zachowaniem w pewnym sensie racjonalnym – chroni wszak przed środowiskowym ostracyzmem czy też innymi przykrymi konsekwencjami.

Oczywiście, jest to zjawisko ze wszech miar negatywne. Utożsamociowienie przekonań i wpisanie nauki w kontekst polaryzacji prowadzi do pogłębiającej się irracjonalności życia społecznego. A także do piętrzenia się nierozwiązanych problemów. Żeby je bowiem pomyślnie rozwiązywać, trzeba je najpierw dostrzegać, diagnozować, a następnie stosować odpowiednie środki zaradcze. Tego zaś nie sposób czynić bez realnego rozumienia, co się dzieje – samo selektywne powtarzanie po tych, co rozumieją, dalece nie wystarcza.

Powtórzmy, jakość edukacji jest tutaj fundamentalna. Niemniej przekonanie, że wszystko sprowadza się do opozycji pomiędzy oświeconymi i ignorantami, głupimi i mądrymi, racjonalnymi i irracjonalnymi, zaciemnia, a nie rozjaśnia problem. Pytania, które powinniśmy zadawać, brzmią więc raczej: dlaczego sobie nie ufamy? Dlaczego uznajemy, że politycy, media, lekarze, koncerny oraz przedstawiciele rozmaitych instytucji życia społecznego starają się nas oszukać?

O ile pozostawimy je bez odpowiedzi, o tyle będziemy się – zarówno „racjonalni i wyedukowani”, jak i „nieracjonalni i niewyedukowani” – dalej pogrązać w odmętach ignorancji. Niezależnie od tego, jak wiele zainwestujemy w edukację. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

Stowarzyszenie Muzyki Polskiej zaprasza
The Polish Music Association invites you

21.

FESTIWAL MUZYKI POLSKIEJ

THE FESTIVAL OF POLISH MUSIC

KRAKÓW
12.07-1.08.2025

12.07

godz. 20.00 8:00 pm

Sukiennice Cloth Hall

KONCERT INAUGURACYJNY

Stanisław Moniuszko: Polonez z opery *Hrabina*

Karol Kurpiński/Sebastian Gottschick: Koncert na klarnet i orkiestrę

Tadeusz Szeligowski: Epitafium na śmierć Karola Szymanowskiego

Ignacy Feliks Dobrzyński/Karol Respondek: Koncert klarnetowy As-dur

Krzysztof Grzybowski klarnet clarinet, **Sinfonietta Cracovia**, **Anu Tali** dyrygentka conductor

13.07

godz. 18.00 6:00 pm

Aula Collegium Novum UJ
Collegium Novum Auditorium UJ

Karol Szymanowski: Duety na skrzypce i fortepian

Preludium op. 1 nr 1 • Mity op. 30 • Świt i Dzikie Taniec • Pieśń Roksany z opery *Król Roger*
Romans op. 23 • Sonata d-moll op. 9 na skrzypce i fortepian

Wojciech Koprowski skrzypce violin, **Grzegorz Skrobiński** fortepian piano

17.07

godz. 19.00 7:00 pm

Aula Collegium Novum UJ
Collegium Novum Auditorium UJ

PORTRETY KOBIET

Grażyna Bacewicz: Sonata Da Camera

Mel Bonis: Sonata fis-moll op. 112

Clara Schumann: 3 Romanse

Grażyna Bacewicz: Sonata nr 4

Janusz Wawrowski skrzypce violin, **Anna Fedorova** fortepian piano

18.07

godz. 19.00 7:00 pm

Filharmonia im. K. Szymanowskiego
Krakow Philharmonic Concert Hall

Paweł Mykietyn: 3 for 13

Wolfgang A. Mozart: 22 Koncert fortepianowy Es-dur

Henryk Czyż: Divertimento B-dur *Meine Kleine Haydn Musik* (1947/77)

Wolfgang A. Mozart: 24 Koncert fortepianowy c-moll

Elisabeth Leonskaja fortepian piano, **Sinfonietta Cracovia**,
Marzena Diakun dyrygentka conductor

19.07

godz. 19.00 7:00 pm

Aula Collegium Novum UJ
Collegium Novum Auditorium UJ

Karol Szymanowski: Kwartet nr 1 C-dur op. 37

Constantin Régamey: Kwartet nr 1 (1952)

Fryderyk Chopin: 2 Koncert fortepianowy f-moll op. 21

Sylviane Deferne fortepian piano, **Quatour Sine Nomine**

27.07

godz. 18.00 6:00 pm

Aula Collegium Novum UJ
Collegium Novum Auditorium UJ

MADRIGALI DELL'ESTATE

Estera Wityńska *Estate* • **Michał Pawełek** *La sabbia del tempo* • **Maciej**

Jabłoński *L'orma* • **Szczepan Tesarowicz** *All'alba* • **Mateusz Bien** *A mezzodi*

Wojciech Widłak *In sul vespero* • **Marek Stachowski** *L'incanto circeo* • **Marek**

Stachowski *Il vento scrive* • **Henryk Jan Botor** *La lampade marine*

Marek Stachowski *Nella belletta* • **Karol Nepelski** *L'uva Greca*

Jolanta Kowalska-Pawlikowska sopran soprano, **Dominika Grzybacz** fortepian piano,

Messages Ensemble: **Oriana Masternak** skrzypce violin, **Maria Shetty** altówka viola,

Marcin Mączyński wiolonczela cello

1.08

godz. 19.00 7:00 pm

Filharmonia im. K. Szymanowskiego
Krakow Philharmonic Concert Hall

FINAŁ 21. FESTIWALU MUZYKI POLSKIEJ

Fryderyk Chopin: Scherzo b-moll op. 31 (arr. K. Respondek)

Emil Młynarski: I Koncert skrzypcowy d-moll op. 11

Ignacy Jan Paderewski: Symfonia h-moll *Polonia* op. 24

Orkiestra Filharmonii im. K. Szymanowskiego,

Miranda Liu skrzypce violin, **František Macek** dyrygent conductor

REKLAMA

Organizator:



Projekt współfinansowany
ze środków
Miasta Krakowa

Mecenas:



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury -
państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Muzyka”,
realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca



Partnerzy:



Partnerzy:



Bilety dostępne online, informacje na stronie www.fmp.org.pl oraz na godzinę przed koncertem

MARÍA LUISA BOMBAL
SPOWITA CAŁUNEM

Zapomniana matka boomu latynoamerykańskiego po raz pierwszy po polsku. To pełne napięcia opowieści o namietności i odosobnieniu, prześiąknięte fascynacją i lękiem przed tym, co nieludzkie, a zarazem głęboko cielesne, rozpięte między chłodnym realizmem codzienności a niemal fantastycznymi światami.

Znajdziemy tu zatopiony statek piratów, wyspy wylaniające się z jezior z dnia na dzień czy postaci tajemniczych femmes fatales w zagadkowy sposób związanych z siłami natury.

Poruszający reportaż o wojnie domowej w Jemenie, jednym z najtragiczniejszych i najbardziej przemilczanych współczesnych konfliktów zbrojnych. Buszra al-Maktari, by udokumentować cierpienie cywilów, przez dwa lata jeździła po kraju z narażeniem życia. Zebrała ponad 400 świadectw.

Buszra al-Maktari

Pasjonująca powieść historyczna z elementami horroru.
XVII wiek, jakiego nie znaliście.
Krzywdą jest powieścią szkatułkową o losach człowieka bez domu, rzuconego z miejsca na miejsce, przez daleki puszczy na Zmudzi, przez daleki ukraiński step i Prusy, po Karpaty.

Krzywdą
Paweł Rzewuski